

BĘDZIE SIĘ DZIAŁO
Kogo uratuje
Donald Tusk

PO CO TA TACA
Parafie uczą się
przejrzystości

POWRÓT TRUMPA
Więcej emocji,
więcej gniewu

UCZĘ SIĘ MÓWIĆ
Białoruska poetka
na wygnaniu

PRZYJACIELE Z BOISKA
Najpiękniejsze Euro,
historie bohaterów

Kraków 18 lipca 2021 nr 29 (3758)

cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Polska na weselu

SIŁA ŻYCIA
NA PRZEKÓR PANDEMII





Podkast Powszechny na Patronite

Wspieraj wartościowe dziennikarstwo i ciesz się przywilejami!



MICHAŁ KUŹMIŃSKI, POMYSŁODAWCA PODKASTU POWSZECHNEGO:

Podkast Powszechny ruszył w lutym 2019 r. i po emisji ponad 150 audycji ma już dziesiątki tysięcy Słuchaczek i Słuchaczy. Stworzyliśmy tematyczne cykle, nagraliśmy też wiele rozmów z naszymi gośćmi, którymi byli m.in. Katarzyna Nosowska, Wojciech Mann, Anna Dymna, Marek Kondrat, Dorota Masłowska, Jerzy Stuhr czy Adam Wajrak. Otwieramy zbiórkę w serwisie Patronite, by przyspieszyć rozwój Podkastu Powszechnego, przy okazji zachowując jego darmowy charakter. Słuchajcie nas w ulubionych platformach streamingowych!

MARTA FILIPIUK-MICHNIEWICZ, PROWADZĄCA PODKAST POWSZECHNY:

Przeprowadzka z Wiślniej na Dworską udało się wspañiale – dzięki Wam!

Przekazaliście ponad 630 tysięcy złotych na nową siedzibę „Tygodnika Powszechnego”.

Dziękujemy. Z tych pieniędzy powstało także nowe, profesjonalne studio Podkastu

Powszechnego. Nie spoczywamy na laurach, planujemy kolejne projekty

i otwieramy konto w serwisie Patronite, by je realizować.



Dlaczego Patronite?

Patronite to internetowa platforma, przez którą odbiorcy wspierają swoich ulubionych autorów i ulubione tytuły. To tutaj współpracujący z „Tygodnikiem” Dariusz Rosiak otrzymuje wsparcie w powstawaniu „Raportu o stanie świata”. Rejestrując się na Patronite, możecie wspierać podkast „Tygodnika Powszechnego” regularnymi wpłatami,

wybierając jeden z siedmiu progów – kwot przekazywanych twórcom raz w miesiącu. Jeśli uzyskane wsparcie będzie odpowiednio duże, będziemy w stanie zrealizować założone cele, takie jak większa liczba odcinków Podkastu Powszechnego czy reportaże z terenu lub zakup sprzętu i oprogramowania.

Progi

5 zł

Każda złotówka się liczy, nawet jeśli to truizm.

Przekazując tyle co miesiąc, stajesz się Patronem lub Patronką Podkastu Powszechnego. „Tygodnik Powszechny” jest suwerenny dzięki Czytelnikom, Podkast będzie niezależny dzięki Wam!

25 zł

Twoje nazwisko pojawi się na liście Patronek i Patronów na oficjalnej stronie Podkastu Powszechnego.

40 zł

Poza wszystkim, co powyżej, będziesz mieć **dostęp do wybranych odcinków Podkastu Powszechnego 24 godziny przed premierą** przez aplikację Patronite Audio.

70 zł

Poza wszystkim, co powyżej, otrzymasz prezent, który otrzymują wyłącznie prenumeratorzy „Tygodnika Powszechnego”. W ostatnich latach były to wyjątkowe „książki do pisania” ks. Adama Bonieckiego i Jerzego Turowicza.

120 zł

Poza powyższymi **Twoje nazwisko (lub nazwa firmy) zostanie wydrukowane w „Tygodniku Powszechnym”** na Liście Patronów Podkastu Powszechnego, publikowanej przynajmniej raz na miesiąc.

* Nagroda dostępna przy minimum trzymiesięcznym wsparciu.

500 zł

Poza powyższymi wymienimy Twoje nazwisko (lub nazwę Twojej firmy) w przynajmniej dwóch odcinkach Podkastu Powszechnego miesięcznie.

* Nagroda dostępna przy minimum trzymiesięcznym wsparciu.

2000 zł

Poza wszystkimi powyższymi dostaniesz tytuł Mecenasa Podkastu Powszechnego, a logo Twojej firmy pojawi się na jego oficjalnej stronie. Przed wybraniem tego progu skontaktuj się z nami w celu ustalenia indywidualnych warunków.

* Nagroda dostępna przy minimum trzymiesięcznym wsparciu.

Wpłacaj na

patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego



PATRONITE

TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

KS. ADAM

Boniecki: Szczepionka i autorytet

KILKUKROTNI PYTALIŚMY JUŻ NA TYCH ŁAMACH podczas pandemii o jasne i klarowne stanowisko Konferencji Episkopatu Polski w sprawie szczepień. W kontekście niefortunnych – delikatnie mówiąc – wypowiedzi niektórych duchownych wydawało nam się ono bardzo ważne.

Fakt, biskupi dotąd akceptowali zalecenia władz związane z pandemią, ze względu na zarządzane restrykcje dispensowali wiernych z obowiązku obecności w kościele na niedzielnej mszy, wymagali przestrzegania zarządzeń dotyczących dystansu, maseczek itd. Uznając kompetencję władz, sami nie ogłaszali dodatkowych obostrzeń, jak bywało w innych krajach, w których np. zarządzono udzielanie komunii wyłącznie na rękę. Choć sam papież Franciszek powiedział, że „z etycznego punktu widzenia wszyscy powinni się zaszczepić”, że jest to „opcja etyczna, bo stawką jest zdrowie, własne życie, a także życie innych”, i wyznał, że nie rozumie tych, którzy utrzymują, że „szczepionka na koronawirusa jest niebezpieczna”, to zachęta do szczepień ze strony biskupów (choćby taka jak w grudniu 2020 r. abp. Wojciecha Polaka) była czymś absolutnie wyjątkowym.

Teraz to się zmieniło. Za namową ministra zdrowia – co podkreślano w mediach – przewodniczący episkopatu abp Stanisław Gądecki ogłosił 8 lipca „Oświadczenie w kwestii szczepień przeciw Covid-19”, w którym przypominał, że „Kościół już wielokrotnie wypowiadał się w tej sprawie”. Zacytował, co prawda, tylko „Stanowisko Zespołu Ekspertów ds. Bioetycznych Konferencji Episkopatu Polski dotyczące szczepionek” – dokument, który wywołał sporo zamieszania, lecz jednak, przynajmniej to, zachętę do szczepień zawierał. Przewodniczący KEP napisał też – przywołując przykład Franciszka – że „Kościół wspiera wszystkich, którzy podejmują de-



cyzję o zaszczepieniu się”. W tym samym czasie (11 lipca), we wszystkich parafiach Archidiecezji Warszawskiej odczytano apel kard. Kazimierza Nycza o „podejmowanie akcji szczepień dla dobra całej społeczności”. Metropolita warszawski poinformował, że „przy Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie-Wilanowie otwarto powszechnie dostępny punkt szczepień”, co ma służyć jako „przykład konkretnej troski o dobro bliźniego”.

Także kard. Nycz nie krył, że apel ogłosił na prośbę wojewody mazowieckiego Konstantego Radziwiłła.

W kościołach diecezji kieleckiej odczytano z kolei komunikat, w którym na prośbę wojewody świętokrzyskiego bp Jan Piotrowski zwrócił się do „czcigodnych księży, osób konsekrowanych i wiernych świeckich” swojej diecezji z zachętą do korzystania z zainicjowanego przez wojewodę programu „Zaszczep się w wakacje”. Już wcześniej, na stronie Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego ukazał się apel bp. Józefa Guzdzka do żołnierzy i służb mundurowych: „Szczepimy się! Niech ten apel o zdrowy rozsądek, rozumne i odpowiedzialne podejście do akcji szczepień w szeregach Wojska Polskiego i służb mundurowych będzie przykładem dla reszty społeczeństwa. Jeżeli chcemy służyć, trzeba się zaszczepić”.

Przytoczyłem tu cztery apele biskupów zachęcające do szczepień. Prawdopodobnie było ich więcej. W tym trudnym dla Kościoła czasie, gdy już otrąbiono upadek jego autorytetu, władze – wobec szczepieniowego impasu – oczekują od tego autorytetu pomocy. Wojewoda Radziwiłł pisał do kard. Nycza: „Wierzę, że osobisty autorytet Księdza Kardynała i pozostałych duchownych oraz wywodzące się wprost z Ewangelii wezwania do troski o bliźniego i współodpowiedzialności za wspólnotę będą (...) przekonującymi argumentami do podjęcia decyzji o zaszczepieniu siebie i bliskich, w tym młodzieży”. Oby były. © P

9 lipca 2021 r. umarł

Leonard Neuger

Urodził się w 1947 r. w Krakowie. Od 1975 r. pracował na Uniwersytecie Śląskim.

Więzien polityczny w 1968 r. i w stanie wojennym w 1982 r. Potem emigrant, dyrektor Instytutu Sławistyki Uniwersytetu Sztokholmskiego. Niezawodny tłumacz literatury i ludzkich spraw.

Od kilku lat wreszcie z powrotem w Krakowie. Nasz dobry, ciepły i serdeczny przyjaciel.

Leonie, jesteśmy przy Tobie
„TYGODNIK POWSZECHNY”

Pogrzeb odbędzie się we wtorek 20 lipca o godz. 15 na Cmentarzu Żydowskim w Krakowie, ulica Miodowa 55



22 Daleka droga do Warszawy

KAROLINA LEWICKA

Powrót Donalda Tuska uruchomił nową dynamikę na scenie politycznej. Widać, kto ma powody do zmartwienia, ale ci, co się cieszą, muszą jednak poczekać na efekty.



32 PIN za Bóg zapłać

MARIUSZ SEPIŃSKI

W czasie pandemii załamały się finanse parafii. Czy zmiana w podejściu do zbierania pieniędzy w Kościele uratuje sytuację?

49 Po terminie

KAROLINA
PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Zmiana w zasadach repriwatyzacji ma położyć kres oszustwom. Przy okazji może pozbawić ojcowizny pewnego cichego bohatera Polski i Izraela.



60 I zimno,

i gorąco

BARTOSZ KABAŁA

Dzięki nowym szczepionkom mamy szansę zyskać przewagę w trudnej walce z malarią. Choroba ta ma jednak niebezpiecznego sojusznika: zmiany klimatyczne.



64 Uczę się mówić

ROZMOWA Z JULIĄ
CIMAFIEJEWĄ,
POETKĄ
BIAŁORUSKĄ
*„Boję się. / Jestem
nareszcie w domu. /
Dostałam w spadku
/ swój strach – /
rodzinną relikwię
/ drogocenny
kamień...”*



78 Przyjaciele z boiska

MICHAŁ OKOŃSKI

Mistrzostwa Europy zakończyły się zwycięstwem drużyny najlepszej. Takie rzeczy, wbrew pozorom, nie zdarzają się często, ale futbol okazał się sprawiedliwy.

6 Lex TVN:
nieskuteczne i szkodliwe
PAWEŁ BRAVO

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Daleka droga do Warszawy
KAROLINA LEWICKA

26 Zjazd do wiecznej zajezdni
BARTOSZ JÓZEFIK:
Łódź: jak żyć bez tramwajów

28 Domek dla monet
PIOTR WÓJCIK: *Mieszkanie dla inwestorów, nie lokatorów*

■ ■ **WIARA**

32 PIN za Bóg zapłać
MARIUSZ SEPIOŁO

36 Objawienia na szafie
BARTOSZ HLEBOWICZ
I MASSIMO FAGGIOLI:
Dlaczego Franciszek rozwiązał Ruch Apostolski

39 Ewangelia dnia zwykłego
PIOTR SIKORA: *Najważniejsze jest zawsze tu, gdzie jesteśmy*

■ ■ **ŚWIAT**

42 Byłe dociągnąć sezon
DOMINIK MATEJKO:
Portugalia: koniec świata na krańcu Europy?

45 Zemsta Łukaszenki
WOJCIECH KONOŃCZUK:
Jak Mińsk gra migrantami

46 Przyfrontowy Nowy Jork
PAWEŁ PIENIAŻEK ZE
WSCHODNIEJ UKRAINY:
Miasto w Donbasie odzyskało niezwyciężoną nazwę

TEMAT TYGODNIKA



12 Na nowej drodze życia

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Polskie wesele coraz bardziej przypomina amerykański film, po którym przez dziesięć minut suną napisy wymieniające niezliczonych ekspertów od scenariusza, światła, dźwięku, scenografii, choreografii, fryzur...

17 Groza i moc

ROZMOWA Z MAGDALENĄ ZYCH,
ANTROPOLOŻKĄ KULTURY

Okienko pandemiczne, w którym jesteśmy, to zielone światło dla wspólnoty. Jest okazja, żeby dzięki weselu zrozumieć, kim jesteśmy w relacji do innych.

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
55 ANDRZEJ STASIUK

76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAGDALENA BURDZYŃSKA dla „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

49 Po terminie
KAROLINA PRZEWROCKA-
-ADERET Z TEL AWIWU

52 Wersja startowa
MARTA ZDZIEBORSKA:
Donald Trump wraca do życia publicznego

■ ■ **HISTORIA**

56 Objazdowe rwanie
ALEKSANDRA KOZŁOWSKA:
Przez kilkadziesiąt lat przemierzali Polskę – mobilni dentyści z misją leczenia wsi i miasteczek

■ ■ **NAUKA**

60 I zimno, i gorąco
BARTOSZ KABAŁA

■ ■ **KULTURA**

64 Uczę się mówić
ROZMOWA Z JULIĄ
CIMAFAJEWĄ,
POETKĄ BIAŁORUSKĄ

68 Duma i zniszczenie
WOJCIECH KONOŃCZUK:
Śladem zniszczonych dzieł Johanna Georga Pinsla

72 Co świat w tym widzi
JAKUB MAJMUREK:
Izraelskie seriale: nieznana rzeczywistość, znane problemy

74 Rycerz na wirażu
ANITA PIOTROWSKA
o filmie „Żużel”
Doroty Kędzierzawskiej

76 Upalny dzień na Long Island
LEKTOR o książce Louise Glück
„Ararat”

■ ■ **ZMYSŁY**

78 Przyjaciele z boiska
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **TVP o Tusku**

Ilość nienawistnych i kłamliwych materiałów, jakie TVP produkuje ostatnio na temat Donalda Tuska, przerosła moje wyobrażenie o możliwościach ekipy Jacka Kurskiego – pisze **KALINA BŁAŻEJOWSKA** powszech.net/tvpotusku

➔ **Opowieści z Izraela [Podkast Powszechny]**

O fenomenie tang hebrajskich tworzonych w Warszawie w latach 30. i o tym, jak wraz z polskimi Żydami do Tel Awiwu przybyło zamilowanie do kultury, kawiarni i dansingów – w muzyczną podróż zaprasza **KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET** powszech.net/podkast

➔ **Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA**
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

LEX TVN: NIESKUTECZNE I SZKODLIWE

PiS-u nie opuszcza chęć zwasalizowania mediów.
Choć mający na naszym horyzoncie system władzy różni się od półdyktatury Viktora Orbána,
tutaj dwa bratanki myślą podobnie.

PAWEŁ BRAVO

ZŁOŻONY TYDZIEŃ TEMU PROJEKT NOWELIZACJI ustawy medialnej raczej nie zamieni się w prawo. Propozycji zmiany, która uściśla już zapisane ograniczenia dotyczące właścicieli zagranicznych w taki sposób, by to dotknęło naziemną telewizję TVN (a w konsekwencji np. nadawaną z satelity stację TVN24), nie poprze Porozumienie Jarosława Gowina. Trudno sobie też wyobrazić, by poparła ją gremialnie Konfederacja czy niektórzy posłowie Solidarnej Polski

– konsekwentnie wycinani ze wszystkich programów rządowej TVP, korzystający więc chętnie z prywatnej anteny.

Burza wokół pomysłu potrwa jednak jeszcze jakiś czas i taki z niej będzie pożytek, że przy okazji wyraźniej ujawni, w jakim jesteśmy położeniu, jeśli chodzi o ustrój i relacje między polityką a prawem. Marek Suski nie pierwszy raz firmuje polityczny niewypał (a przy okazji jest aktywny w promocji współpracy z Chinami, co kontrastuje z ofi-

*Posel Marek Suski
w Sejmie.
Warszawa,
czerwiec 2021 r.*

cjalną tezę, że nowelizacja zablokuje możliwość wrogiego przejęcia jakiejś polskiej stacji przez Rosję czy właśnie Chiny), jednak ci, którzy pisali projekt i zdecydowali się na tę wrzutkę, wyszli z założenia, że a nuż się uda. Co miałyby się udać? Wymuszenie na amerykańskim właścicieli sprzedaży TVN w chętnie polskie ręce powiązane z państwem i centralą na Nowogrodzkiej oczywiście. PiS-u nie opuszcza chęć zwasalizowania liczących się mediów. Choć w wielu aspektach mający na naszym horyzoncie system władzy różni się bardzo od półdyktatury Viktora Orbána, tutaj akurat dwa bratanki myślą bardzo podobnie.

Najważniejszym kontekstem międzynarodowym są jednak zawile stosunki z USA. Wydaje się, że część obozu władzy uznała, że może pójść na zwanie, bo są one i tak fatalne, a interesy strategiczne Ameryki zabezpieczają nas przed np. wycofaniem stacjonujących u nas żołnierzy. Może zresztą „zwarcie” to zbyt poważne słowo, chodzi raczej o przeżenie muskułów, odegranie się za niedawne próby ingerowania przez Waszyngton w legislację dotyczącą pośrednio reprivatyzacji. Na próżnych i głupich – bo nieskutecznych – działaniach na wiwat nie buduje się jednak szacunku, który może istnieć nawet w tak asymetrycznych relacjach jak te polsko-amerykańskie. Inna sprawa, że sposób, w jaki tę asymetrię wpływu próbuje wyostrzyć obecnie opozycja – strasząc Waszyngtonem jak groźną panią – jest równie głupio serwilistyczny.

Sytuacja prawna TVN, od kiedy 6 lat temu większość jej udziałów przejęła firma z USA, ukrywając się za spółką formalnie holenderską, była faktycznie sprzeczna z duchem ustawy o radiofonii i telewizji. Każda fikcja prawna w ostateczności szkodzi życiu społecznemu i jej zniwelowanie mogłoby wiązać się z sensowną dyskusją nad tym, jak zmieniły się media, od kiedy pisano ustawę. Może nawet z porzuceniem fetyszu, że wszystko musi być w „polskich rękach”. Wrzucona teraz nowelizacja – nieskuteczna, nieadekwatna do deklarowanych celów, kłamliwie przedstawiana – wpisze się w twórczo rozwiniętą przez PiS nieszczepną tradycję, że legislacja dla nas to nie filar sprawiedliwie urządzonego państwa, lecz domena porachunków i kaprysów aktualnych tegoż państwa właścicieli. ©P

Pałac Saski – lepiej późno niż wcale?

BEATA CHOMĄTOWSKA



WĄTPLIWOŚCI WOBEC KONCEPCJI ODBUDOWY Pałacu Saskiego zdaje się być więcej niż jej zalet – począwszy od retoryki władz, na wstępie zrażającej wielu do tej idei. Na to nakładają się pytania: czy lepiej stworzyć efektowne makiety czy odzwierciedlać architekturą ducha czasów? A jeśli już odbudowywać, to co właściwie? Towarzyszą one stale pomysłem wskrzeszania obiektów, których forma na przestrzeni dziejów ulegała zmianom. Do tego słyszymy argumenty finansowe (skala inwestycji!), a nawet odwołania do woli planistów z powojennego Biura Odbudowy Stolicy, którzy świadomie zostawili resztki kolumnady Pałacu (Grób Nieznanego Żołnierza) jako świadectwo zniszczenia Warszawy. Słowem: argumenty z różnych półek, które spotykają się w sferze symbolicznej, za tło mając politykę od zawsze splecioną z urbanistyką i architekturą.

Gdyby jednak zawiesić na moment emocje i spojrzeć na sprawę tylko przez szkiełko urbanistyki, pojawiają się też argumenty za. Np. skuteczne wypełnienie dziur w tkance miejskiej. Bo cokolwiek by mówić, plac Pił-

sudskiego jest jedną z nich. Także za sprawą takich dziur pokutuje opinia o stolicy jako mieście brzydkim, niespójnym, gdzie wyspy zwartej zabudowy oddziela pustka lub chaos.

Z podobnym wyzwaniem borykał się Berlin po 1989 r. Odbudowa tamtejszego zamku (jej krytycy pytali, czy demokratyczne Niemcy aby na pewno chcą sprawiać wrażenie odwoływania się do symbolu Prus) pozwoliła skutecznie zszyć jedną z ważniejszych luk w zabudowie berlińskiego centrum. Za sensownością podobnego eksperymentu w Warszawie przemawiałoby i to, że nie ma on sprowadzać się do rekonstrukcji pałacowej bryły, lecz ma zagospodarować całą pierzeję placu.

Fascynujące w całej sprawie wydaje się to, że prawie 80 lat po II wojnie światowej wraca dyskusja toczona tuż po niej, gdy architekci i konserwatorzy, a wraz z nimi władze, głosili się, czy i jak odbudować stolicę, by stała się przyjaźniejsza dla mieszkańców. Można tylko żałować, że dzieje się to dopiero po arbitralnym wyborze przedmiotu pierwszej takiej interwencji. Z drugiej strony, może lepiej późno niż wcale? ©

RPO: kompromis ze zmęczenia

PODCZAS SZÓSTEJ już próby wybrania nowego Rzecznika Praw Obywatelskich Sejm głosami posłów ze wszystkich partii poparł prof. Marcina Wiącka. Głosowanie w Senacie będzie tylko formalnością.

W trwającym od 10 miesięcy pacie spadały kandydatury: Zuzanny Rudzińskiej-Bluszcz, Piotra Wawrzyka, Bartłomieja Wróblewskiego, Lidii Staroń, a także samego Wiącka. Tym razem kandydata zgłoszonego przez PSL zaakceptowało też PiS. W sejmowych kuluarach spekuluje się, że to transakcja wiązana – w zamian senatorowie PSL mają poprzeć Karola Nawrockiego jako szefa IPN.

Wiącek jest prawnikiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego i pracownikiem Naczelnego Sądu Administracyjnego. Nie należy do żadnej partii. Współpracował z Markiem Sawickim z PSL, który wspierał jego kandydaturę, pisał też ekspertyzy prawne dla Jarosława Gowina.

Marcin Wiącek jeszcze przed pierwszym, czerwcowym głosowaniem mówił o potrzebie zmian w ustawie o RPO, by ten miał więcej narzędzi do walki z dyskryminacją np. ze względu na orientację czy kolor skóry. „Widzimy takie sytuacje, gdzie dyskryminacja jest nie tylko w relacji człowieka z państwem, tylko w relacjach międzyludzkich” – mówił.

W kilku obszarach (np. spór z UOKiK o prawidłowość przejęcia grupy Polska Press przez Orlen) Wiącek zapowiedział kontynuację działalności Adama Bodnara. W wielu innych kwestiach unikał jednoznacznych deklaracji. Planował spotkanie z Komendantem Głównym Policji w sprawie zachowania funkcjonariuszy podczas jesiennych protestów, jednocześnie mówiąc, że „przyjmuje do wiadomości” wyrok TK ws. aborcji.

Dzięki tej ostrożności kandydatura Wiącka stała się kompromisem do przyjęcia. Opozycja ma „swojego” człowieka jako RPO, PiS – rzecznika, który wydaje się mniej stanowczy niż Adam Bodnar, wszyscy zaś – koniec trwającego prawie rok chaosu.

©P KRZYSZTOF STORY

Nim nadejdzie tornado

„**BOŻE, TO SIĘ NIE DZIEJE**” – krzyczy autor zamieszczonego w sieci nagrania z czeskich Łużic, na którym widać trąbę powietrzną zmierzającą w kierunku jego domu. Tornado, które 24 czerwca przeszło przez południowe Morawy, zabiło sześć osób, a 90 poszkodowanych trafiło do szpitala. Autor nagrania miał szczęście, choć filmował żywioł z podwórka. Na innym nagraniu z Łużic lokatorzy mieszkania na drugim lub trzecim piętrze do ostatnich chwil obserwują z okien zbliżający się kataklizm. Przeciętny mieszkaniec tzw. pasa tornad w USA puknąłby się pewnie w głowę na taki widok, ale skąd w tej części świata mielibyśmy wiedzieć, jak się zachować podczas uderzenia trąby powietrznej?

Amerykańska agencja do spraw klęsk żywiołowych CDC publikuje na swojej stronie prosty poradnik. Widzisz bardzo nisko zawieszoną chmurę w ciemnostalowym odcieniu? Zaczynaj szykować się na możliwe uderzenie tornada. Gdy dodatkowo usłyszysz grad lub ryk wiatru, schowaj się natychmiast do piwnicy, a jeśli jej nie masz – do pomieszczenia bez okien, np. łazienki. Nie ratuj dobytku, zabezpiecz dzieci i starszych. Przykryj się tym, co masz pod ręką, starym matercem, torbami z nieużywaną odzieżą, śpiworem, nałóż kask rowerowy (ale nie szukaj go po mieszkaniu). Jeżeli w łazience zostawiłeś starą żeliwną wannę, wygraleś właśnie los na loterii – wejdź do niej i przykryj głowę. W niepodpiwniczonym bloku wielorodzinnym niezłym schronieniem będzie klatka schodowa, a ściślej – jej części bez okien. Unikamy tylko najwyższych kondygnacji. W centrum handlowym uciekamy do garażu; konstrukcja dachu na pewno nie wytrzyma pierwszego uderzenia, podobnie jak szklana fasada. Żadnej ochrony nie gwarantują drewniane domki i przyczepy kempingowe. Pułapką są także samochody, którymi tornado będzie rzucać jak zabawkami, i miejsca pod wiadukta-
mi, w których huragan wytwarza czasem dodatkowe ciśnienie. W terenie otwartym lepiej położyć się w rowie lub w innym zagłębieniu terenu i zabezpieczyć głowę. Byłe z dala od przewodów wysokiego napięcia, które najpewniej zostaną zerwane. © P MAREK RABIJ

LICZBA TYGODNIA

10

– tyle procent Polaków przyznaje, że w ciągu minionego roku wręczyło łapówkę, żeby zatutnić coś w urzędzie lub dostać się do lekarza – wynika z raportu Transparency International.

To więcej niż pięć lat temu. Większość z nas woli jednak nie zgłaszać prób wytudzenia łapówki z obawy przed konsekwencjami.

KRAJ W SKRÓCIE

KLIMAT

Ulewy, burze, grad, podtopienia i zalania to słowa-klucze pierwszych dni lipca: ocieplenie klimatu w praktyce wiąże się z interwencjami straży pożarnej, przerwami w dostawie prądu i korkami w sparaliżowanych po przejściu nawałnicy miastach.

MİŁOŚĆ

Są wszakże tacy, którym niestraszne nawałnice. „Panie ministrze, ci, którzy może nie kochają Polski i Boga, będą wszystko robić, żeby pana zniechęcić. Niech się pan nigdy nie zniechęca, nigdy się nie podda” – mówił do Przemysława Czarnka o. Tadeusz Rydzik podczas 30. Pielgrzymki Rodziny Radia Maryja do Częstochowy, dodając, że mamy do czynienia z „najlepszym ministrem edukacji i nauki po wojnie”.

PAMIĘĆ

Najlepszy minister edukacji i nauki nie pojechał, rzecz prosta, na 80. rocznicę obchodów pogromu w Jedwabnem: najwyższym rangą urzędnikiem, który wziął udział w skromnej uroczystości, był odchodzący rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar.

WIĘKSZOŚĆ

Nieznany dotąd szerszej poset Arkadiusz Czartoryski (na zdjęciu z Adamem Bieleńskim) stał się nieco bardziej znany: sam prezes Jarosław Kaczyński poinformował o jego powrocie na łono macierzystej partii (po kilku tygodniach spędzonych poza klubem PiS), dzięki czemu rządzące ugrupowanie znów ma większość w Sejmie.



JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

Ciężarna Polka więziona w Doniecku

W OKUPOWANYM DONBASIE prorosyjscy separatyści trzymają w tajnych więzieniach co najmniej 200 osób. Podstawą do zatrzymania często są proukraińskie poglądy lub fakt, że ktoś szukał wcześniej schronienia przed trwającą od 2014 r. wojną w części kraju kontrolowanej przez rząd Ukrainy. Władzom tzw. republik ludowych, donieckiej i ługańskiej, niewiele potrzeba, aby oskarżyć kogoś o „szpiegostwo” lub „zdradę”, za co grozi pokazowy proces i wyrok kilkunastu lat więzienia.

Taki los spotkał 35-letnią Oksanę Paraszynę, etniczną Polkę pochodzącą z Doniecka. Kobieta uciekła z Donbasu na początku wojny, ale w maju br. wróciła w rodzinne strony, by odwiedzić bliskich i przepisać mieszkanie na siostrę, która



ARCHIWUM PRYWATNE

tam została, by nie skonfiskowali go separatyści. Do tzw. Donieckiej Republiki Ludowej jechała autobusem przez Rosję, gdyż na czas pandemii przejścia między terenami okupowanymi i obszarem kontrolowanym przez Ukrainę są zamknięte. Zatrzymana przez funkcjonariuszy DRL trafiła do aresztu pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Ukrainy. Oksana jest obecnie w piątym miesiącu ciąży, cierpi na przepuklinę i przebieg ciąży powinien być kontrolowany przez lekarza. Nie wiadomo, jak warunki uwięzienia wpłyną na nią i dziecko. Oksanie może pomóc tylko wymiana jeńców lub międzynarodowe naciski na Rosję, aby kontrolowane przez nią parapaństwo uwolniło kobietę ze względu na stan zdrowia.

Patrząc na sytuację Ukrainy, warto pamiętać, że z powodu rosyjskiej agresji cierpią tam też nasi rodacy. Oksana i jej 6-letni syn Maksym mają Kartę Polaka potwierdzającą ich przynależność do narodu polskiego. Czy polski rząd pomoże kobiecie odzyskać wolność?

© MONIKA ANDRUSZEWSKA z Kijowa



MARTON MONUS / REUTERS / FORUM

SĄ WBRĘW WARTOŚCIOM, zasadom i prawu – uznała większość posłów Parlamentu Europejskiego, krytykując węgierskie przepisy zakazujące przedstawiania homoseksualizmu i transseksualizmu osobom niepełnoletnim (tj. w praktyce zakazujące mówienia o tym w szkołach i mediach). Weszły one w życie w minionym tygodniu, formalnie jako część regulacji zastrzegającej walkę z pedofilią – i prócz samej dyskryminacji właśnie to jest powodem krytyki. Postowie do Parlamentu Europejskiego domagają się obciążenia środków unijnych rządowi Viktora Orbána; grozi mu też sprawa w Europejskim Trybunale Sprawiedliwości. Na zdjęciu: tęczyowy balon ustawiony przed parlamentem w Budapeszcie przez organizacje pozarządowe sprzeciwiające się dyskryminującym przepisom, 8 lipca 2021 r. © © ŻYM

Deklaracja vs konferencja: poziom ogólników

PAWEŁ BRAVO



SZESNAŚCIE PARTII EUROPEJSKICH – z Polski PiS, z Węgier Fidesz, z Francji Zjednoczenie Narodowe (Marine le Pen), a z Włoch Liga (Matteo Salvini) i Bracia Włoscy, by wymienić te najważniejsze – podpisało deklarację, która zbiega się ze startem prac Konferencji na temat przyszłości Europy. Deklaracja to katalog znanych zastrzeżeń wobec większej federalizacji i przejmowania kompetencji przez instytucje w Brukseli – co, zdaniem sygnatariuszy, zmierza ku budowie „superpaństwa”. Czytamy też, że jest to wehikuł inżynierii społecznej o lewicowym charakterze; mowa jest o zagrożeniu tradycji, wiary i tożsamości narodowych, o obronie rodziny i zwalczaniu migracji.

Niektórzy przeciwnicy polityczni szesnastu partii ostrzegają, że oto rodzi się „międzynarodówka populistów”. To teza mocno na wyrost. Poszczególnych sygnatariuszy więcej dzieli niż łączy; np. od 2019 r. nie posunęli się ani o krok w dziele stworzenia wspólnej grupy w Parlamencie Europejskim (co dałoby im ogromne przełożenie na proces legislacyjny).

Rzeczona Konferencja na temat przyszłości Europy to pomysł Emmanuela Macrona, który chce sobie zapewnić efektowną klamrę prezydencji Francji w Unii (przypada na pierwszą połowę 2022 r.). Będzie to szereg dyskusji z udziałem posłów, delegatów organizacji i tzw. zwykłych obywateli. Miała ruszyć wiosną ub.r., ale nie udało się, nie tylko z powodu pandemii – trzy instytucje przez wiele miesięcy nie mogły uzgodnić, kto ma kierować pracami. Dopiero na początku tego roku ustalono kompromis (kierownictwo kolektywne), ale jeszcze w przeddzień inauguracji, w maju, trwały zażarte spory o szczegóły procesu decyzyjnego – chodzi o to, by konkluzje debat nie sugerowały żadnych zmian traktatów.

Konferencja będzie bardziej zajęta sobą i wzajemnym pilnowaniem granic możliwej debaty niż Europą. Jej realne znaczenie dla przyszłości Unii jest więc równie nikłe jak ów dokument szesnastu partii, pozostający na takim jak ona poziomie czczych ogólników.

© ©

Londyn wzorem Australii

PRZEJĘCIE PEŁNEJ KONTROLI nad własnymi granicami: taki ma być – według słów minister Priti Patel, kierującej brytyjskim Home Office (to odpowiednik polskiego MSW) – cel nowego, zaostżanego właśnie systemu azylowego. Patel uważa, że będzie on „twardy, ale sprawiedliwy”. Krytycy polemizują, że może naruszać konwencję ONZ o uchodźcach z 1951 r. i radykalnie ograniczyć możliwość ubiegania się o azyl na Wyspach.

Projekt Ustawy o obywatelstwie i granicach, który trafił właśnie do parlamentu, składa się z kilku elementów. Pierwszy to nowe uprawnienia dla straży granicznej: będzie mogła zawracać łodzie z imigrantami próbującymi przedostać się nielegalnie przez kanał La Manche. Łodzie jest ostatnio coraz więcej: oficjalnie do końca kwietnia br. tą drogą dostało się tu już ponad 2 tys. osób, dwa razy więcej niż w tym okresie w 2020 r., a wg niektórych szacunków do końca czerwca liczba ta miała sięgnąć 6 tys. osób. Drugi element to zaostżenie kar za nielegalne przybycie do kraju (do 4 lat więzienia) i za przemyt ludzi (nawet dożywocie); Patel podkreśla, że chce ukrócić przemytniczy biznes. Nowe prawo ma też ułatwić deportację osób przebywających nielegalnie na Wyspach. Wiele kontrowersji budzi pomysł przenoszenia osób wnioskujących o azyl poza terytorium brytyjskie do czasu decyzji. Podobny model stosuje Australia, a w Europie pokrewny zapis przyjęła niedawno Dania.

Organizacje pomagające imigrantom twierdzą, że projekt dzieli uchodźców nie wedle tego, jakie mają podstawy do azylu, lecz tego, jak dostali się na Wyspy: drogą legalną (np. program osiedleńczy lub łączenie rodzin) czy po podróży pontonem lub ukryci w ciężarówce. Ci drudzy byłiby traktowani jak przestępcy bez względu na powody, dla których opuścili ojczyznę.

Około dwóch trzecich osób, które uzyskują obecnie w Wielkiej Brytanii azyl, przybywa tutaj drogą nielegalną. Jeśli nowe prawo wejdzie w życie, nie będą miały na niego szans.

© © PATRYCJA BUKALSKA z Londynu

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

POSTĘPOWANIE

Rzecznik dyscyplinarny KUL skierował wniosek do uczelnianej komisji dyscyplinarnej o wszczęcie postępowania wobec ks. Alfreda Wierzbickiego.

Wcześniej uczelnia informowała, że chodzi o ocenę tych wypowiedzi filozofa, które „odnoszą się do nauczania Kościoła i oficjalnego stanowiska KEP w kwestii LGBT”.

PROTEST

„Nie zgadzamy się na taki niecywilizowany sposób manifestowania poglądów, który urąga czi ofiar Zagłady – czytamy w proteście Polskiej Rady Chrześcijań i Żydów oraz Klubu Chrześcijań i Żydów „Przymierze” wobec niedawnej prowokacji Młodzieży Wszechpolskiej pod ambasadą Izraela. – Od symbolicznych aktów agresji i wyrzucania gruzu na chodnik już tylko niewielki krok do rzucania kamieniami w okna i w ludzi”.



JAROSŁAW JAKUBCZAK / POLSKA PRESS / EAST NEWS

PRZYKAZANIE

„Pijani kierowcy wiozą śmierć”

– powiedział krajowy duszpasterz kierowców ks. Marian Midura. „Zagrożenie życia i zdrowia powodowane przez stan nietrzeźwości i siadanie za kierownicą to łamanie piątego przykazania” – przypomniał i zaznaczył, że zgadza się ze słowami premiera, iż jazda pod wpływem alkoholu to potencjalne morderstwo.

Szczepienia, dyplomacja i Ewangelia



MACIEJ MÜLLER

WISZĄCE JESZCZE GDZIE NIEGDZIE PLAKATY z uśmiechniętymi celebrytami i hasłem „ostatnia prosta” to smutny komentarz do przedwczesnego optymizmu rządu. Dotychczas 40 proc. Polaków przyjęło dwie dawki szczepionki przeciw COVID-19, a skuteczną ochronę przed ciężkim przebiegiem choroby w przypadku zakażenia dominującym w Europie wariantem Delta daje tylko pełne zaszczepienie. Już nawet minister zdrowia Adam Niedzielski nie wyklucza, że czwarta fala zacznie się w lecie.

W zeszłym tygodniu Niedzielski spotkał się z sekretarzem generalnym KEP bp. Arturem Miżińskim. Wskazał, że akcji szczepień „potrzebny jest nowy impuls”, a „autorytet Kościoła mógłby bardzo w tym pomóc”. Hierarchowie wzięli sobie tę prośbę do serca: szef KEP abp Stanisław Gądecki wydał oświadczenie. Wskazuje w nim jako wzór papieża, który „nie tylko sam się zaszczepił, ale wielokrotnie apelował o zaszczepienie się”. Czytamy też, że „Kościół (...) wspiera edukacyjne i informacyjne inicjatywy społeczne i publiczne, których celem jest zwiększenie świadomości wiernych”, a także „wspiera wszystkich, którzy podejmują decyzję o zaszczepieniu się”.

Nigdzie nie pada jednak prosta zachęta: zróbcie to. Arcybiskup uznał natomiast za stosowne podkreślić, że „zgodnie z Notą Kongregacji Nauki Wiary (...) »szczepienie nie jest, co do zasady, obowiązkiem moralnym«”.

Wątpliwości co do moralnych obowiązków chrześcijanina nie ma natomiast kard. Kazimierz Nycz. Do proboszczów swojej diecezji rozesłał list wojewody Konstantego Radziwiłła z prośbą o zachęcanie wiernych do szczepień. Według kardynała wezwanie to „wiąże się z odpowiedzialnością za zdrowie społeczne w duchu piątego przykazania Bożego”. „Kościół Warszawski apeluje o podejmowanie akcji szczepień dla dobra całej społeczności” – podkreślił hierarcha (pisze o tym także ks. Adam Boniecki na str. 3).

Oświadczeniu szefa KEP nie można odmówić kunsztu dyplomatycznego: daje alibi wobec zarzutów o bierność Kościoła, ale nie skłania tych, którzy się wahają, do zmiany decyzji. Może być też łatwo użyte przez ludzi, którzy podają w wątpliwość dowody naukowe. Pytanie, na ile przystaje do chrystusowego „tak, tak, nie, nie” i ilu księży po jego lekturze zachęci wiernych do wizyty w punkcie szczepień. ©P

Czy papież da jeszcze radę

POBYT FRANCISZKA W SZPITALU rodzi pytania o jego stan zdrowia i dalszy przebieg pontyfikatu. Choć podczas niedzielnej modlitwy Anioł Pański, odmawianej z balkonu kliniki Gemelli, widzieliśmy go w dobrej formie, to nie wiadomo, jak długo będzie wracał do sił i czy odzyska je w pełni. Dla 84-letniego pacjenta każda operacja, nawet nieskomplikowana (jak resekcja części jelita grubego), wiąże się z ryzykiem.

Podobny zabieg w 1992 r. nadwerżył siły dużo młodszego Jana Pawła II i był momentem zwrotnym jego pontyfikatu: z roku na rok papież stawał się coraz słabszy. Benedykt XVI złożył urząd, gdy poczuł, że opada z sił, chcąc oszczędzić Kościołowi „powtórki z chorego papieża”. Takie rozwiązanie bierze też pod uwagę Franciszek.

„Papież jest ciężko chory dopiero po śmierci” – mawiają w Watykanie. Bo jaki jest naprawdę stan zdrowia papieża, dowiemy się nie z oficjalnych, uspokajających komunikatów, ale z jego aktywności w najbliższych tygodniach i miesiącach. Z tego, czy i co jeszcze da radę zrobić.

©P EDWARD AUGUSTYN

Wsparcie najślabszych

POWIKŁANIA POCOVIDOWE były przyczyną śmierci jezuity Stana Swamy'ego, ikony walk o prawa indyjskich Adiwasów, przedstawicieli plemion uważanych za rdzennych, przedaryjskich mieszkańców Indii. Zakonnik przebywał w areszcie od jesieni ub. roku. Władze odmawiały mu zwolnienia, mimo że cierpiał na zaawansowaną chorobę Parkinsona.

Zakonnika aresztowano pod zarzutem działalności terrorystycznej. Pretekstem stała się jego obecność w kręgu tzw. wydarzeń w Koreagon Bhima w 2018 r., gdzie doszło do zamieszek w trakcie obchodów 200. rocznicy bitwy, w której brytyjskie oddziały złożone głównie z zaliczanego do Adiwasów plemienia Maharów pokonały siły ostatniego z władców (peśwa) państwa Marathów. Przedstawiciele najniższych klas społecznych wspominają tę bitwę jako triumf nad feudalizmem, rządzący nacjonaliści z BJP próbują natomiast ją marginalizować jako część dziedzictwa kolonialnego. ©P MR



IAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

On – pięć wieków Zygmunta

NAJSŁYNIEJSZY DZWON w Polsce już od 500 lat wisi na wawelskiej wieży zwanej od jego imienia Zygmunto-wską. Ufundowany przez króla Zygmunta Starego, odlany został przez Hansa Behama, norymberskiego ludwisarza w służbie królewskiej, w warsztacie niedaleko Bramy Sławkowskiej. Operacja umieszczenia go na wieży, z dramatycznym nerwem wyobrażona przez Matejkę, odbyła się na początku lipca 1521 r., a 13 lipca majestatyczny dźwięk Zygmunta usłyszano po raz pierwszy. Od tej pory rozbrzmiewa on w ważne święta i w dniach radosnych lub smutnych. „Bardzo rzadko dzwonił niespodzianie... Ludzie stawali na ulicach, kupcy wychodzili ze sklepów, robotnicy przerywali pracę, bo on wzywał” – pisze Karol Estreicher w pięknym opowiadaniu „On”. A wprawiają Zygmunta w ruch wawelscy dzwonnicy, których elitarne bractwo nie wyklucza kobiet. ©© TF

Sputnik: skuteczny i bezpieczny?

ŚWIATOWA ORGANIZACJA ZDROWIA i Europejska Agencja Leków wciąż nie zakończyły procesu dopuszczenia rosyjskiej szczepionki Sputnik V, choć preparat stosowany jest już w 67 państwach świata. Nie wszędzie z entuzjazmem. Ale badania pokazują, że może być skuteczna i bezpieczna.

Historia tej szczepionki nie przypomina procedur, jakie przeszły inne preparaty. Rosjanie zaaprobowali Sputnika przed zakończeniem badań I i II fazy oraz przed rozpoczęciem badań III fazy. Jednak dane z nich opublikowane w lutym w „Lancecie” mówią o 91,6 proc. skuteczności wobec wszelkich objawów i 100 proc. przy objawach ciężkich. Ministerialne komunikaty z ZEA i Argentyny również potwierdzają wysoką skuteczność, także w postaci jednodawkowej. Dane z tego ostatniego kraju świadczą też o bezpieczeństwie – blisko 3 mln dawek i brak zgónów.

Ale nie wszędzie system rejestrowania powikłań jest taki, jak w Europie, a to może zaciemniać obraz. W dodatku naukowcy podkreślają, że nie ma dostępu do surowych danych z początków badań. © BARTOSZ KABAŁA

KULTURA W SKRÓCIE

POETKI

Podczas 10. edycji Festiwalu Miłosza poznaliśmy laureatki Nagrody im. Wisławy Szymborskiej za lata 2019 i 2020. Zostały nimi Anna Adamowicz, wyróżniona za tom „Animalia”, i Genowefa Jakubowska-Fijałkowska, autorka „Roślin mięsożernych”.

PIANIŚCI

Rozpoczęły się eliminacje do XVIII Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego. Zmaganiom pianistów, które potrwać do 23 lipca, przystąpić się może na stronie Dwójki, w aplikacji mobilnej Chopin Competition oraz na Chopin2020.pl. Historia konkursu sięga 1927 r., jego pomysłodawcą był prof. Jerzy Żurawlew – pedagog, rektor Konserwatorium Warszawskiego.

PIOSENKI

Michał „Mata” Matczak jako pierwszy polski artysta zadebiutował na międzynarodowej liście przebojów Billboard Global Excl. USA. Notowanie zestawia najpopularniejsze piosenki cieszące się powodzeniem poza granicami Stanów Zjednoczonych.

PRZEDAWNIE

Prokuratura umorzyła śledztwo dotyczące Włodzimierza Staniewskiego, dyrektora Ośrodka Praktyk Teatralnych „Gardzienice”. Jeden z wątków sprawy dotyczył naruszania praw pracowniczych. Drugi – stosowania przemocy wobec aktorek i pracowniczek.



ALEKSANDRA KOZŁOWSKA będzie go-

ściem Piotra Zubera w radiu RDC w środę o 7.30. Audycję można odsłuchać też w podcastach na stronie radia – www.rdc.pl Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu.

Czy to koniec Zachęty

PIOTR KOSIEWSKI



PIOTR GLIŃSKI POINFORMOWAŁ, ŻE nie przedłuży kadencji Hannie Wróblewskiej kierującej od 2010 r. warszawską Zachętą. Z komunikatu MKDNiS: „Wydaje się, że po tak długim czasie zmiana na stanowisku kierowniczym może korzystnie wpłynąć na kondycję instytucji oraz jej dalszy rozwój”.

Po 1989 r. Zachęta stała się jednym z najważniejszych miejsc dla polskiej sztuki i szerzej – kultury. Zawdzięcza to wielkiej pracy kolejnych osób nią kierujących, w tym Hanny Wróblewskiej. Przez dekadę udało się jej realizować świetny program, w którym namysł nad przeszłością łączył się z prezentacją najciekawszych zjawisk w sztuce najnowszej. Wystarczy wymienić wystawy przekrojowe poświęcone malarstwu, rzeźbie czy scenografii teatralnej, a także prezentacje klasyków współczesności: od Jerzego Jarnuszkiewicza, Marii Lassnig i Zbigniewa Warpechowskiego po Marlene Dumas. Siłą Zachęty jest umieszczenie naszej sztuki w międzynarodowym kontekście. Hanna Wróblewska stworzyła kompetentny zespół i zdobyła zaufanie publiczności: przed pandemią wystawy oglądało 110-120 tys. osób rocznie.

Jeżeli decyzja o nieprzedłużaniu kontraktu zostanie utrzymana (wciąż jest czas na jej zmianę), niezbędny będzie konkurs, czyli – jak podkreślał Gliński przy okazji wyboru szefa innej galerii – „najbardziej transparentna i rekomendowana przez środowiska twórców metoda wyboru dyrektora instytucji kultury”. Dodajmy: konkurs wiarygodnie przeprowadzony. Doświadczenia krakowskiego Starego Teatru czy warszawskiego Muzeum Narodowego pokazują, do czego prowadzą nieodpowiedzialne nominacje: do marginalizacji instytucji i upadku ich znaczenia. Czy takiej zmiany chce minister? Na to pytanie musi odpowiedzieć nie tylko ludziom kultury, ale przede wszystkim publiczności, bo to przecież jej instytucje publiczne mają służyć. ©

NA NOWEJ DRODZE ŻYCIA

Polskie wesele coraz bardziej przypomina amerykański film, po którym przez dziesięć minut suną napisy wymienające niezliczonych ekspertów od scenariusza, światła, dźwięku, scenografii, choreografii i fryzur.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Z MARCINEM ODYŃCEM ZNAM SIĘ od dawna. Jest muzykiem, jednak w przeciwieństwie do dużej części moich kolegów artystów nie uważa, że jedynie wiarygodny jest artysta głodny. Wiele lat temu założył zespół grający cove-ry na imprezach firmowych, bankietach i – oczywiście – weselach.

– Marzenia są fajne, ale muzyka może być też poważną codzienną pracą – mówi dziś. – Muzyka użytkowa jest ludziom potrzebna. Można to robić tak, żeby być z tego zadowolonym.

Przez ostatnie lata budował równowagę między biznesem i rozwojem artystycznym. W tym czasie doskonalił nie tylko technikę gry na saksofonie, lecz także umiejętności z zakresu marketingu, zarządzania ludźmi i prowadzenia firmy. – Często muzycy traktują wesela po macoszemu. Chcą grać koncerty, ale na koncertach zarabiają dwieście złotych, bo grają niszowy jazz. Do wesela się nie przygotowują i coś tam zagrają, bo doświadczony muzyk zawsze potrafi zagrać złote przeboje – mówi.

Ale świat się zmienił, a wraz z nim polskie wesela.

– Płacimy za zespół i chcemy, żeby była energia jak na koncercie, a nie czterech obrażonych panów i pani wokalistka, która śpiewa teksty, a myśli o tym, czy wyłączyła żelazko – tłumaczy Marcin.

Poprosiłem go, żeby został moim przewodnikiem po zmieniającym się świecie polskich wesel. W swoim niepowtarzalnym, estradowym stylu opowiedział mi o rosnących oczekiwaniach, rozwoju branży i o epidemii, która wstrząsnęła jej fundamentami.

Posłuchajcie.

82 elementy

Pierwsze wesela Marcin zagrał jeszcze przed własnym, na studiach, gościnnie współpracując z innymi muzykami. Wychodzi 17 lat. „Stare” wesela Marcin nazywa czasem „tradycyjnymi”, a czasem „peerelowskimi”. I ma rację. Wiele zwyczajów weselnych, nie tylko muzycznych, ale też kulinarnych czy lokalowych odziedziczyliśmy po Polsce Ludowej. Dziś tamte wesela często wspomina się jako coś prząsnego. W naszej rozmowie i moich internetowych poszukiwaniach wra-

cają jako negatywny punkt odniesienia – coś, czego młodzi chcieliby uniknąć.

Z punktu widzenia muzyka pierwszą rewolucję przyniosły keyboardy. Opowiada o tym owiany złą sławą film „Zenek”, który jest biografią nie tylko jednego artysty, lecz także całego środowiska.

– Tam dosyć dobrze pokazano – mówi Marcin – że jeden, dwóch chłopaków umiejących coś zaśpiewać po prostu kupowało prosty keyboard, wykorzystywało gotowe podkłady i grało na imprezach.





JACEK TARAN

Przygotowania do przyjęcia weselnego, Gródek nad Dunajcem, październik 2018 r.

Rok 2005, gdy mój przewodnik zaczyna przygodę z polskim weselem, to już następny etap. Muzyka z dyskieitek – minidyski, formaty midi, możliwość nagrywania z keyboardów bardzo różnych podkładów. I początek internetu jako kluczowego medium wymiany.

– To ciągle musiał być zespół – tłumaczy Marcin. – Instytucja DJ-a jeszcze nie zdobyła popularności. Nie było za dużo DJ-ów, którzy odtwarzali z winyli, miksowali.

Ludzie przedstawiający się jako DJ-e po prostu odtwarzali płyty, a nawet kasety. W ten sposób wytworzyło się specyficzne połączenie podkładów i muzyki na żywo. Dziś także zespoły grające na żywo wspierają się podkładami, żeby wzbogacić występ. Muzyka rozwija się produkcyjnie, a możliwości zespołu, nawet pięcio- czy sześciuosobowego, są siłą rzeczy ograniczone.

– Gdy występujemy na weselu – wyjaśnia mój rozmówca – jesteśmy porównywani z oryginałem: z muzyką świa-

tową, opracowaną brzmieniowo przez najlepszych producentów. Można włączyć telefon, włączyć internet i od razu porównać.

Podobne wymagania dotyczą każdego aspektu pracy zespołu. I nie tylko zespołu. Polskie wesele coraz bardziej przypomina amerykański film, po którym przez dziesięć minut suną przez ekran napisy wymieniające niezliczonych ekspertów od scenariusza, światła, dźwięku, scenografii, choreografii, fryzur.



→ – Bardzo mocno rozwinął się np. „temat dekoracji” – mówi Marcin. – Kiedyś trzeba było wynająć salę weselną i koniecznie pieśni. Teraz są nie tylko dekoracje, ale czasem przywozimy specjalne meble, krzesła w stylu rustykalnym albo siedzenia obite pod kolor wesela.

W trakcie pandemii Marcin zaczął prowadzić live'y na Facebooku i Instagramie. Taki cykliczny program, w ramach którego opowiada o branży. W jednym z odcinków jego gościem była Anna Piwońska – doświadczona wedding plannerka, czyli osoba zawodowo zajmująca się organizowaniem wesela. Typowa impreza, którą planuje, wymaga zsynchronizowania 82 elementów – od kwiatów, przez samochód czy tort, aż po zespół. Scenariusz tak rozpisanego przyjęcia liczy 14 stron.

– Twój plan też jest zawsze szczegółowy – włącza się w naszą rozmowę Kasia, żona Marcina. On potwierdza – rozpisuje starannie przebieg całej imprezy z punktu widzenia muzyka i MC, czyli mistrza ceremonii. Od razu zwraca jednak uwagę na istotną różnicę. Scenariusz wedding plannerki nie jest przeznaczony dla niej. To brief, na podstawie którego będzie później ustalać warunki z kilkudziesięcioma różnymi firmami i wykonawcami.

Współczesne polskie wesele to złożone przedsięwzięcie, które wyobrazić można sobie w postaci sieci. Są wykonawcy i podwykonawcy, a ci podwykonawcy też mają swoich podwykonawców... To właśnie Branża. Misterny ekosystem, który zderzył się z pandemią. Ale na razie wciąż jeszcze rozmawiamy o świecie sprzed katastrofy.

Coraz bardziej kombinujemy

Dziś wesela są przede wszystkim różne. Nie ma jednego obowiązującego schematu. Jest pewne wspólne wyobrażenie o „typowym polskim weselu”, ale częściej staje się ono raczej czymś, od czego młodzi chcieliby się odciąć, niż wzorcem godnym naśladowania.

O zespołach była już mowa – wybierać możemy z bogatej oferty od człowieka orkiestry aż po prawdziwą orkiestrę. Tak samo z jedzeniem. Kiedyś wjeżdżały półmiski, schabowy, ziemniaki. Jedzenie przez cały czas leżało na stołach (tatar pod koniec miał już kolor zielono-niebieski – śmieje się Marcin). Tortu nie trzeba serwować o drugiej nad ranem, jak ludzie są już pijani. Oprócz

Dziś wesele nie ma jednego obowiązującego schematu. Młodzi chcieliby się odciąć od wyobrażenia o „typowym polskim weselu”.
Przestało być już wzorcem godnym naśladowania.

głównych dań na sali mogą pojawić się stoły wiejskie, candy bary, stanowiska obsługiwane przez profesjonalnych barmanów serwujących kolorowe drinki. Wódka straciła monopol (Marcin: – Pije się różnie. Jedna pani wybiera prosecco, inny pan drinki).

W podobny sposób zróżnicował się każdy inny element wesela. Np. kwiaty. Można na stole postawić tulipany w wazonie. Można też... no właśnie, ograniczenia praktycznie nie istnieją. Marcin wspomina firmę Rock&Flowers. Zaglądam na ich stronę internetową i podziwiam realizacje, na których przenieśli do wnętrza całe drzewa albo zbudowali imponujące ściany z kwiatów. Niewiarygodne!

Nawet niewielkie wesela rzadko organizuje się dziś w domu czy mieszkaniu. Dominują wynajęte przestrzenie. Ważną rolę odgrywają tu domy weselne (opisywane w rozmowie obok), ale na nich polski pejzaż weselny w żadnym razie się nie kończy. Są zabytkowe dworki i pałace, luksusowe hotele, surowe postindustrialne wnętrza, restauracje, kluby, kawiarnie... Coraz większą popularnością cieszą się też imprezy plenerowe – piękne ogrody, stare drzewa.

Nie tylko wesele, ale nawet sam ślub może się odbyć w plenerze. Jeżeli urzędnik stanu cywilnego nie spełnia naszych oczekiwań – zawsze można zawrzeć ślub w kameralnym gronie, przed właściwą ceremonią, a później przysiąc sobie miłość przed przyjacielem, autorytetem lub nawet specjalnie wynajętym do tego celu aktorem, który – w przeciwieństwie do prawdziwego urzędnika – spełni wszelkie nasze zachcianki. „Jestem zawodowym aktorem, który od wielu lat wciela się w postać Urzędnika Stanu Cywil-

nego – czytamy w ogłoszeniu, które wyrzuca Google po wpisaniu frazy „aktor na ślub”. – W zależności od potrzeb dostosowuję formę ceremonii. Do tej wspinałem dla Państwa chwili podchodzę poważnie w pełni się angażując. Tworząc wspólnie scenariusz uroczystości staram się zrealizować Wasze marzenia i oczekiwania, tak aby ten dzień był wyjątkowy i niezapomniany”. Krótkie internetowe poszukiwania sugerują, że w narodzie jest także zapotrzebowanie na aktorów udających księży.

Ale przebiegać można nie tylko w detalach, lecz także w całej kompozycji imprezy. Kluczowe znaczenie ma tu globalna rzeczywistość, w ramach której Polki nie tylko oglądają coraz więcej brytyjskich komedii romantycznych, ale też coraz częściej zawierają śluby z Brytyjczykami (i odwrotnie, oczywiście). Marcin często gra na weselach międzynarodowych. Polacy podróżują, mieszkają za granicą, zrobili tam kariery. Zdarza się, że przyjeżdżają specjalnie po to, żeby zrobić wesele. Nie tylko o sentymencie. W Polsce za tę samą cenę można dostać więcej.

– Zdarzało się, że na weselach mieliśmy irlandzki taniec – opowiada mój rozmówca. – Albo te brytyjskie przemówienia. Najlepszy kumpel pana młodego wspomina zawstydzające historie z czasów, gdy byli dziećmi. Jest prześmiewczo, ale życzliwie. Goście z Kanady też byli ciekawi. U nich nie ma czegoś takiego jak wesela całonocne i tańce, bo od jedenastej jest prohibicja, bar jest zamykany.

W Anglii przyjęcia weselne odbywają się w zupełnie innej konwencji. Koktajl, toasty, charakterystyczne przemówienia, konkretna forma... Impreza bardziej statyczna niż taneczna. Towarzyszy jej raczej slow jazz albo kwartet smyczkowy niż muzyka biesiadna. Taka forma coraz większą popularność zyskuje też w Polsce. I świetnie komponuje się z plenerowym ślubem.

W plenerze doskonale sprawdzi się też *slow wedding*, gdzie każdy robi, co chce. Jak komuś się tak podoba, może sobie całą imprezę przesiedzieć na leżaku i nikt nie będzie wołał do stołu. Co w tej sytuacji dzieje się ze starymi zwyczajami weselnymi? Na początek Marcin zwraca mi uwagę, że nie są wcale takie stare.

– Co jest staropolskiego we wnoszeniu panny młodej do domu weselnego? Dlaczego goście muszą stać na ulicy, po co ta wódka? Przecież to Breżniew pił

wódkę przy przecięciu wstęgi, a w dawnej Polsce często świętowało się winem albo miodem.

Pytam o zabawy oczepinowe.

– To kolejna fajna rzecz, jeżeli chodzi o zmiany – zapala się. – Jeszcze jak zaczynałem grać, było normą, że na weselach biegano między stołami z akordeonem. „Wszystkie rybki śpią w jeziorze”, „Miejsię”... Młodzi w kółko musieli się całować, gości trzeba było wytarzać po ziemi, sztafety z piciem wódki to był standard. Teraz chodzi o to, żeby to nie było upokarzające. Bo po co robić zabawy, z których wszyscy uciekają? Jak jest fajny zespół, to nikt nie ucieka. Może być przecież zabawa. „Jaka to melodia” na przykład.

A jeżeli ktoś lubi tamte zabawy?

– Jak młodzi chcą mieć biesiadę przy stołach, to zapraszają zespół w strojach ludowych, który ma odpowiedni repertuar. Można wydobyć coś z lokalnego folkloru. Jeżeli są jakieś korzenie żydowskie – można grać klezmerkę. Bo my coraz bardziej lubimy i doceniamy tę smakowitą, różnorodną tradycję – podsumowuje Marcin.

Zwierzciadło

Standardem weselnym staje się kilka kamer, zdjęcia z drona, a nawet mikroporty czy małe kamery montowane w klapie marynarki pana młodego, by z perspektywy młodej pary utrwalić składane przez gości życzenia. Do tego oczywiście oddzielna sesja ślubna w profesjonalnym studiu, malowniczych wnętrzach albo zjawiskowym plenerze.

Jeżeli wykonujemy ją po uroczystości i nie planujemy sprzedać sukni, możemy pokusić się o coś szalonego. Sesja typu „Trash the dress” polega na demonstracyjnym zniszczeniu sukni poprzez wskoczenie w niej do wody, podarcie, wytarzanie się w błocie, a nawet (starannie kontrolowane) podpalenie. Taki współczesny rytuał demonstracyjnego niszczenia bogactwa.

Ale na typowym polskim weselu gości dziś przecież kilkudziesięciu kamerzystów. W końcu prawie każdy gość ma w kieszeni smartfona podpiętego do mediów społecznościowych. Coraz więcej par bierze to pod uwagę, a wesela stają się wielkimi multimedialnymi pokazami, przygotowanymi do uwiecznienia setką obiektywów. W salach weselnych stoją fotobudki z pomysłowymi gadżetami lub ścianki do zdjęć, znane z kinowych



Co będzie dalej?
Wesela z muzyką ze Spotify?
Mniejszy rynek, za to
bardzo profesjonalnych
wykonawców?
**Wszystko okaże się
po pandemii.**

premier. Pod kątem fotogeniczności wybierane są dekoracje kwiatowe i atrakcje kulinarne – drinki z suchym lodem albo płonące koktajle, malownicze bary lodowe, cukierkowe, a nawet food trucki pomysłowo wkomponowane w weselną aranżację.

Media społecznościowe odgrywają kluczową rolę w rozpowszechnianiu się nowych trendów weselnych i wyznaczaniu tego, co uznajemy za fajne, ciekawe, wartościowe. Imponujące imprezy weselne oglądamy już nie tylko na amerykańskich filmach, lecz także na Instagramie, i to niekiedy podglądając życie celebrytów.

Nic dziwnego, że internet stał się kluczowym środowiskiem pracy branży weselnej. Przeglądam strony różnych zespołów. Profesjonalne sesje zdjęciowe, doskonałe oświetlenie, przemyślana stylizacja. Marcin wiele razy podkreśla, że jego zespół cały czas buduje swoje portfolio. Każdy zadowolony klient, każda pozytywna opinia – to kapitał. Dobre zdjęcia nie wystarczą. Potrzebne są profesjonalne nagrania, świetne filmy na YouTube i, oczywiście, dobrze prowadzone konta w mediach społecznościowych. Są na Instagramie, Facebooku, mają też kanał na YouTube. Wszędzie mnóstwo radości, energii i uśmiechu.

To w końcu show-biznes. Pozytywne emocje są tutaj budulcem sukcesu.

Oberwało szerokie grono

– Covid nas obciął – Marcin się zamyśla. – Nasza branża składa się z wielu podwykonawców, czasem pracując pod jakąś agencją, która to wszystko spina. W tej branży, nawet jak to jest zwykłe wesele

w hotelu, też są podwykonawcy. Więc trzeba sobie uświadomić, że w przypadku wesel, koncertów, branży rozrywkowej oberwało bardzo szerokie grono.

Z początku wszyscy mieli poczucie, że to tylko tymczasowe. Przecież ta nadzwyczajna sytuacja nie może potrwać długo. To był też czas branżowej solidarności.

– Catering, cukiernie, cała gastronomia mogła sobie odbić tylko tym, że lepił pierogi i dowozili – opowiada Marcin. – Sami zamawialiśmy, w ramach solidarności. Nie uratuję ich, ale może będę jednym z wielu. Zapłacę więcej, ale za to zjem dobre pierogi.

Ale lockdown się przedłużył. Imprezy były najpierw przekładane, potem odwoływane. Zamiast nich odbywały się małe śluby. Branża musiała się dostosować. Gastronomia spróbowała przekwalifikować się na dostawy. Firmy nagłośnieniowe weszły w obsługę wydarzeń online. Ale co mają zrobić wedding planerki w świecie, w którym z 82 elementów weselnej imprezy został jeden czy dwa? Ludzie z branży nie mogą epatować negatywnymi emocjami w mediach społecznościowych, więc lukrują rzeczywistość, ale wielu po prostu się wycofało. Niektórzy próbują sił w innych zawodach. A co z technikami? Co ze specjalistami z wąskich dziedzin, których praca miała sens tylko jako element większej całości?

Alternatywą, przynajmniej dla niektórych, okazało się zejście do podziemia.

Nielegalne zgromadzenie

– Wzięliśmy po prostu pierwszy termin, w którym mieliśmy wolny weekend. Liczyliśmy, że pandemia się do tego czasu zakończy – opowiadają Basia i Karol (imiona zmienione). – Okazało się, że terminy w Urzędzie Stanu Cywilnego są bardzo odległe. Straszne kolejki. Nie przez dużą liczbę ślubów, tylko przez zgony. W końcu Karol znalazł urząd w małej miejscowości, który zgodził się nas przyjąć, w takim rozpadającym się budynku nad jeziorem. Bardzo miła pani. Tylko dzięki temu maj był realny. Żyliśmy w przekonaniu, że do tego czasu pandemia się skończy.

Wcale się nie skończyła. Urząd w małej miejscowości przesłał dokumenty do dużego miasta, ale tam zaczęły się kolejne przygody.

⇒ – Upatrzyliśmy sobie knajpę – mówi Basia. – Hiszpańska, dobre jedzenie. Miało być przyjęcie na 30-40 osób. No i tak sobie żyliśmy w przekonaniu, że będzie dobrze, aż w kwietniu zaczęliśmy myśleć, że sytuacja wymyka się spod kontroli. Próbowaliśmy namówić właściciela, żeby zrobił imprezę na czarno. Załatwimy zaświadczenie, że jesteśmy planem filmowym, weźmiemy kamerę od kolegi, dwa światła zdechłe, podpiszemy umowy z rodziną i w ten sposób odbędzie się przyjęcie. Pan się wahał, kombinował. Ostatecznie zaproponował, że może w ogrodzie zrobimy catering, ale w tym celu pół ogrodu musi zostać wycięte i wtedy postawi się namiot. Karol się oburzył, bo trzeba by wyciąć krzewy i jabłonkę. Zrezygnowaliśmy.

– Dzwoniliśmy do różnych knajp – opowiada dalej Basia. – Cała rodzina się zaangażowała w szukanie. Sąsiadka znalazła jakiś zajazd przydrożny, który się zgodził, ale myśmy tam zajrzeli i stwierdziliśmy, że to już za dużo dla nas. Większość lokali odmawiała, bo są kontrole, kary. Chcieliśmy po prostu zrobić to w domu. Tam kiedyś robiliśmy imprezy rodzinne, mieściło się czterdzieści osób. Ale to były czasy, kiedy dziesięć osób wchodziło do malucha. Myśleliśmy, żeby wrócić do tamtego świata. Mama nagotuje, ja w ciąży, więc nie mogę pomagać za bardzo, Karol będzie biegać i obsługiwać gości. Ale jednak pomysł mamę przeraził. Powiedziała, że zmywarka nie jest wydajna. To wesele, trzeba się cieszyć, świętować, a nie harować. Miała rację. I moja mama, która nigdy nie robiła nic niezgodnego z prawem, uruchomiła podziemie. Okazało się, że sąsiadka dorabia, robiąc dekoracje na weselach, które z kolei organizuje jej znajoma w prywatnym domu.

Dom był usytuowany na modnym w latach 90. osiedlu. Mama poinformowała nowożeńców, że ma dla nich propozycję nie do odrzucenia. Jak się okazało, organizatorka podziemnych weseł w ogóle nie wierzyła w pandemię, co z pewnością ułatwiło jej łamanie zasad.

– A jeszcze na dwa dni przed tym weselem Karol wpadł na pomysł, żeby zrobić ślub plenerowy – opowiada Basia. – Wtedy by wszyscy to widzieli, a nie tylko świadkowie i fotograf. Powiedziałam, że to nie do zorganizowania, ale się uparł. Obdzwonił, pojechał i załatwił.

Kierowniczka USC zadeklarowała się, że specjalnie przyjedzie. Zawieźliśmy do niej dokumenty. Przywitała nas z uśmiechem od ucha do ucha, mówiąc: „Mili państwo, to co, chcecie mnie zaprosić na nielegalne zgromadzenie?”. Okazało się, że dopuszczalna liczba osób to nawet nie 20, jak nam się wydawało, tylko mniej. Zresztą dzień po naszym ślubie te zasady zmienili.

Pani z urzędu przyjechała do domu, w którym odbywało się przyjęcie. Ślubu udzieliła w altance przystrojonej przez gospodarzy. Wszyscy goście ustawili się dookoła. Było naprawdę romantycznie: – Nie przesadzam, jak zaczęliśmy tę uroczystość, padał deszcz, a jak składaliśmy przysięgę, wyszło słońce. Pełna symbolika. Gdyby nie covid, pewnie nie bralibyśmy ślubu w altance.

Pytam Marcina o weselne podziemie. On sam nie grywał nielegalnych imprez. W ogóle ma do epidemii poważne podejście: osobny mikrofon do konferansjerki, osobny dla gości, i ten drugi dezynfekuje po każdym rozmówcy.

– Widzę, co się dzieje. Gram nie tylko wesela, ale i pogrzeby – wyjaśnia. – Nie chodzi o to, że chcę uratować świat przed wirusem. Zakładam maseczkę na klatkę, chociaż mam dwie dawki szczepionki, bo mogę spotkać kogoś, kto ma prawo czuć się komfortowo. Ale imprezy w podziemiu świadczą o tym, że ludzie nie wierzą w sens obostrzeń.

Marcin zwraca mi też uwagę na inne podziemie: – Wiele zespołów działało w szarej strefie. Wesela są imprezami prywatnymi, zamkniętymi. Klienci nie potrzebują faktury, nie wrzucą tego w koszty. Dlatego statystyki nie ukazują w pełni rzeczywistej skali zapaści. A skala jest przerażająca.

Marcin nie daje się namówić na narzekanie – w branży się tego nie robi – ale wiem, że ostatni rok kosztował go wiele. I to w walucie cenniejszej niż pieniądze.

I co dalej

Pytam, czy teraz jest już lepiej.

– Tylko medialnie. Ludzie myślą, że przecież artyści grają, bo są festiwale. Ale co z tego, że Zenek miał koncert w filharmonii i była publiczność. Zenek miał koncert, bo był medialny, można było pokazać w telewizji, że już jest dobrze. Natomiast masa rzeczy się nie odbywa, bo żeby działać normalnie, musimy mieć zielone światło parę miesięcy

naprzód i wiedzieć, że w tym czasie nie będziemy zamknięci. Gdyby było normalnie, to w lipcu miałbym zabukowany wrzesień, październik, listopad... A teraz prowadzę ledwie dwie rozmowy o imprezach na jesień, ale o umowie nie ma mowy. Tak samo z weselami. Wesela nie organizuje się w miesiąc. Ludzie rezerwowali przecież sale na dwa, trzy lata naprzód.

Poważnie ucierpiała też techniczna część branży: – Firmy z jednej strony gryzą gruz, bo mają leasingi, a z drugiej strony nie mają ludzi do roboty. Mój przyjaciel, realizator dźwięku, znalazł gdzieś etat, którego nie rzuci, bo są pogłoski, że będzie kolejna fala. Ma zrezygnować na dwa miesiące, ryzykując stabilność rodziny?

Cała branża oparta była na stabilności i planowaniu z wyprzedzeniem. Można było podjąć się nagłośnienia dużej imprezy, nawet jeżeli nie miało się wymaganego sprzętu, bo ten sprzęt brało się w leasing, wiedząc, że inwestycja się zwróci.

– I nagle mamy marzec 2020 r. i spada wszystko. Nie będzie imprezy, nie będzie festiwalu. Bank mówi: my nie chcemy tego sprzętu od was, możemy go za 10 proc. wartości odkupić. Więc próbujesz sprzedać chociaż za 50 proc. w internecie, ale nikt nie kupi. Ci, którzy mogliby kupić, sami sprzedają coś innego. Nagle w ciągu miesiąca ludzie stracili wszystko, zostali z milionowymi długami, potwornym stresem, depresjami.

Marcin ma plik z mailami do wszystkich agencji, z którymi kiedykolwiek współpracował. Mnóstwo pozycji, dużo fajnych kontaktów. Kiedy na początku tego roku rozesłał mailing na tę listę, od połowy adresatów wrócił komunikat, że domena nie istnieje. Agencje się pozamykały.

Co będzie dalej? Wesela z muzyką ze Spotify? Mniejszy rynek, za to bardzo profesjonalnych wykonawców? A może wrócimy do półamatorskich zespołów grających cokolwiek, byle jak najtaniej?

Narazie Marcin nie narzeka: – Nie wrzucam marudzenia na Insta, bo ile razy można wrzucić zdjęcie z podpisem, że jest ciężko. Klient przestanie oglądać taki kanał, bo wie z własnego życia, że jest ciężko, nie musi jeszcze tego w sieci oglądać.



GRAŻYNA MAKARA

Jaki czas, taki obyczaj: epidemiczna brama weselna, Munina k. Jarosławia, sierpień 2020 r.

Groza i moc

MAGDALENA ZYCH, ANTROPOLOŻKA KULTURY:

Okienko pandemiczne, które teraz trwa, to zielone światło dla wspólnoty. Okazja, żeby dzięki weselu zrozumieć, kim jesteśmy w relacji do innych.

MARCIN ŻYŁA: Czy pandemia zmieniła polskie wesela?

MAGDALENA ZYCH: Na pewno zweryfikowała ich ważność. Dla niektórych okazały się tak niezbywalne, że organizowali je mimo zakazów albo w pierwszym możliwym terminie. Byli też tacy, którzy sobie wesele odpuścili.

Sam rytuał ma się jednak dobrze. I choć mało jeszcze wiemy o skutkach, jakie wywołała pandemia, fakt, że teraz, gdy poluzowano ograniczenia, odbywa się wesele za weselem, jest znaczący.

Dlaczego?

Wraz z tym, jak zmienia się świat, rytuał weselny również podlega zmianom. Ale z badań, jakie prowadziliśmy jeszcze

przed pandemią, wynikało, że dzieje się to głównie na powierzchni. Potrzeba, by rytualny proces łączenia się pary przebiegał w obecności świadków z najbliższego otoczenia, jest trwała. Ich obecność tworzy święto, osadza społecznie fakt powstania nowego węzła.

Podczas badań wyszłyśmy poza aspekt wizualny – powstały audioetnograficzne rejestracje wesel. Ten sposób pracy pozwolił zajrzeć pod powierzchnię podlegającą modom i przekonać się, że reguły, o których pisze klasyczna literatura etnograficzna, wciąż działają. Na przykład, że słowo ma sprawczą moc i wiele znaczy – to się ujawnia choćby w treści życzeń. Zaskoczyło nas, że podczas wesela tak ważna pozostaje figura koła, obecna

w zabawie i tańcu, i w sytuacjach, gdy goście kręgiem otaczają parę. Tego nie da się zrobić zdalnie albo gdy nie ma gości – tylko obecność i energia ludzi pozwalają przeżyć rytualną przemianę dwojga ludzi w żonę i męża.

Czy to, co buduje wesele, jest w nas – czy to coś zewnętrznego w kulturze? Na ile my, jako uczestnicy kultury, poddajemy się temu?

O tym, jak ostatecznie wygląda wesele, decyduje wiele czynników. Podczas długiego okresu przygotowań pary często zmieniają podejście. Ktoś planuje skromną uroczystość dla przyjaciół, a kończy z weselem na 150 osób. Dlaczego? Ponieważ zaczyna wchodzić w interakcje, czuć, czym wesele jest, co ono czyni, jak wydobywa więzi między ludźmi, jak je odnawia i zawiązuje.

Tak działa przymus rytuału. On nie zaniknie po pandemii. Myślę, że ludzie będą wręcz spragnieni stabilności, którą daje.

Stabilność stabilnością, ale mocowanie się z organizacją wesela to szkoła kompromisu.

Tak, to rzeczywiście mocowanie się, ponieważ dobrze przeprowadzony rytuał →

→ nie jest czymś łatwym. Ludzie, zaczynając do niego przygotowania, muszą się mierzyć z niewidzialnymi, ale istniejącymi siłami społecznymi oraz prozą organizacji dużego wydarzenia. To właśnie z kompromisów związanych z negocjowaniem tego, jak ma wyglądać wesele, kto ma w nim brać udział, wypłata się tkanka społeczna.

Dlaczego to tak ważne?

Bo sam przebieg wesela ma znaczenie. Jeśli zadamy o to, żeby goście byli właściwie uhonorowani, unikniemy wpadek, które źle wróżą trwałości i powodzeniu związku. Wesele to poligon doświadczeń, jeden z nielicznych, gdzie rzeczywiście wychodzimy poza codzienne punkty odniesienia. Bo nasi kuzyni, krewni, których nie chcemy, ale może jednak powinni być, decydowanie o usadzeniu gości... To jest właśnie to zetknięcie z odmiennością postaw. Wesele jest ramą wspólnoty, która jest ważniejsza od podziałów.

Dlatego ludzie, którzy planują skromny ślub daleko od krewnych, często finiszują z hucznym weselem. Ustępując, robią miejsce czemuś, co jest ważniejsze od ich indywidualizmu, dominującego w kulturze. Wspólnota wesela powstaje na styku wszystkich ludzkich obecności, musi się z czegoś wydarzyć. A długi czas przygotowań służy temu, żeby to wszystko miało szansę wybrzmieć, zrealizować się.

Co jeszcze odśpiewa się podczas wesela?

Objawia się czas. Ze sceny ustępuje starsza część rodziny, wchodzi kolejne pokolenie. Jest chwila, która to podkreśla, tzw. błogosławieństwo, czyli pożegnanie z domem rodzinnym. Rodzice pary odczuwają wówczas wyraźnie upływ czasu i jednocześnie jego nielinearność – sami przecież dwie, trzy dekady wcześniej zegnali swoje domy, więc są sobą, ale i widzą się w młodych.

Żyjemy dziś wyizolowani, mało jest sytuacji, które łączą pokolenia. Nasze doświadczenia społeczne są horyzontalne. A wesele to doświadczenie „w głąb”. Nasuwają się metafory geologiczne – coś się rozkrusza i coś bardzo starego wychodzi z miejsca, gdzie to rozkruszenie następuje. Na weselach wspominamy się też bliskich zmarłych. Ta wspólnota sięga dużo dalej niż świat żywych.

Podziemne wesela niszczyły zaufanie do prawa.
Ratowały jednak porządek rytuału, który dla wielu jest ważniejszy, bo tworzy więź, której państwo nie może zastąpić.

Nie zapominajmy też, że wesele jest symbolem i wyrazem siły witalnej. Na jednym z planów to święto płodności – jego efektem jest powołanie nowej rodziny, chodzi też o seks, w tańcach, strojach, całej zmysłowej otoczce święta, w tym całym weselnym rauszu jest dużo życiodajnej energii.

Czy ta witalność nabrała nowego znaczenia w chwili poluzowania ograniczeń? Po tym dojmującym okresie, kiedy osoby starsze – które również odgrywają rolę w rytuale weselnym – były, poprzez uczestnictwo w weselach, narażone na chorobę lub śmierć?

To może mieć duże znaczenie. Okienko pandemiczne, w którym jesteśmy, to zielone światło dla wspólnoty, które w końcu się zapaliło. Przypuszczam, że ludzie będą z tego korzystać, ponieważ wyczuwają – choć może tego nie werbalizują – że to okazja, by dzięki weselu zrozumieć, kim jesteśmy w relacji do innych.

Mamy teraz do czynienia z natężeniem uroczystości, jeszcze bardziej niż wcześniej brakuje terminów. Uznaliśmy, że pewnych rzeczy nie można odkładać na później, ponieważ podczas pierwszych fal pandemii ujawniła się nam jakby groza końca świata. W jej obliczu sięgnięcie po stare rytuały, choćby i w nowych szatach, jest lekarstwem. To może być wręcz rodzaj magicznego zabiegu: zrobmy wesele tak, jak należy, to nam pozwoli odczarować rzeczywistość.

W czasie największych ograniczeń, gdy był właściwie absolutny zakaz organizowania imprez, wesela i tak się odbywały – istniało weselne podziemie.

Tu spotykają się różne sprawy. Choćby podejście do zakazów właściwe dla na-

szego kręgu kulturowego – raczej się je omija, a obecna w kulturze kreatywność jest świadectwem pewnej zaradności, mocy sprzeciwienia się struktury nieformalnej, niepaństwowej, świata, który coś nam narzuca. Ale też ci, którzy podporządkowali się zakazom, wysyłali inny komunikat – że szanują prawo.

I życie.

Tak, bo wielu ludzi nie chciało stawiać gości w trudnej sytuacji. Ci zaś, którzy decydowali się jednak ich narażać, mieli inną argumentację. Przeważała właśnie witalność – hasło „raz się żyje”, oraz: musimy to zrobić, bo tak się zawsze robiło, sankcja tradycji. Byli też tacy, którzy decydowali się organizować wesele nielegalnie, ponieważ w ich otoczeniu ten rytuał okazywał się mocniejszy od pandemii.

Ze względu na presję otoczenia?

Nie tylko. Również ze względu na uwewnętrznioną presję rytuału – że on taki jest i nie da się go inaczej przeprowadzić, bo to nie będzie wesele. Spotkaliśmy się z taką postawą w badaniach. O wszystkich rozwiązaniach hybrydowych – obiad dla znajomych, osobno przyjęcie dla rodziny – wielu gości mówiło, że to nie wesele. Co najwyżej pewien ukłon w stronę schematu, jak zgodnie z prawem usankcjonować związek małżeński.

To odległe skojarzenie i jednak nie te proporcje, ale wesela podziemne kojarzyły mi się ze ślubami branyymi np. w czasie powstania warszawskiego. W tym sensie lockdown był okolicznością znaczącą dla przyszłości tych związków, dla ich wspomnień.

Wielu badaczy twierdzi, że pandemia jest rodzajem katastrofy, końca świata, odczuwalnym w osobistych doświadczeniach biograficznych. Widać to wśród osób, które miały w tym czasie zaplanowane uroczystości weselne, ale też tych, którzy nie mogli spotkać osobiście przychodzących na świat wnuków, i tych, którzy nie mogli brać udziału w pogrzebach swych bliskich. Wszystko było inaczej, a przepisy mówiły jasno – ma być bez ludzi. A to jest nieludzkie. W czasie największych obostrzeń ważniejsze niż zwykle były też święta – niektórzy łamali przepisy i jechali do rodziny, inni robili święta online.

W tych ekstremalnych okolicznościach ciekawa była obserwacja, jak jednostka może udźwignąć odpowiedzialność za trwanie świata społecznego. Może się podporządkować prawu, ale też zrobić coś wbrew niemu i rozsądkowi, zachowując tym samym porządek mitu, symbolicznie odwracając tę katastrofę.

To jak ważenie dwóch racji: z jednej strony zdrowia i przepisów, z drugiej tego, że postąpienie wbrew prawu ratowało na przyszłość, wzmacniało?

Na wadze są tu dwa porządki funkcjonowania świata. Podziemne wesela niszczyły zaufanie do państwa prawa, szacunek dla innych związany z przestrzeganiem higienicznych obostrzeń. Z drugiej strony ratowały porządek rytuału, który dla wielu ludzi ma ogromne znaczenie, jest ważniejszą wartością, bo tworzy więź, której państwo nie może zastąpić. Przy najmniej nie tutaj.

Ostatnio, już nie tylko za sprawą pandemii, nowego znaczenia nabrały domy weselne. Przybyło ich – stały się naturalnym elementem pejzażu wielu wsi, obok kościoła, remizy strażackiej czy szkoły.

Dodałabym do tego jeszcze kluby fitness – to również miejsca, które scalają społeczność i pozwalają komunikować się określonym stylem życia. To prawda, przestrzeń domu weselnego zbiera energię wspólnoty. Sam fakt, że dom weselny jest, stanowi pewnego rodzaju nobilitację



WOJCIECH WILCZYK

MAGDALENA ZYCH jest kustoszka i kuratorką w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, gdzie wraz ze współpracownikami realizowała projekt badawczy „Wesela 21” (2009-14). Zaowocował on kolekcją, książką (2015) i wystawą (2016) pod tym samym tytułem.

miejsowości – to u nas odbywają się znaczne uroczystości, takie, które wymagają odpowiedniej oprawy. Z drugiej strony restauracje w mieście nas nie dziwią, przestrzenie wsi i miasta po prostu się upodabniają.

W czasie badań spotykaliśmy pary, które rezerwowały termin w dopiero powstających domach weselnych. Obserwowałam reakcje gości z zagranicy, którzy nie mogli pojąć, dlaczego ta przestrzeń jest tak urządzona. Dlaczego głośnik towarzyszący tańcom jest blisko stołów, więc nie można swobodnie rozmawiać?

Nieoddzielanie tych miejsc jest w pewnym stopniu naśladowaniem wnętrza zwykłego domu. Ale technologia wprowadza do tego zakłócenia i hałas. Hałas, dodajmy, rytualny. Dom weselny jest bramą, przez którą kapitalizm wkracza w starą strukturę z innego porządku, tym samym wesele to coraz częściej już nie świat przysług, ale płatnych usług.

Żeby się mocować z weselem, wejść w ten mit w działaniu, trzeba mieć trochę sił i mocy. Skąd się je bierze w czasach, gdy więzy rodzinne nie są tak mocne jak kiedyś?

Niekoniecznie są słabsze, lecz inne. Dziś wsparciem bywają ludzie, z którymi łączą nas inne sprawy niż więzy krwi. Oczywiście, stały jest lęk wejścia w relacje, które w czasie rytuału weselnego są niejako spotęgowane. To trudna, wymagająca społecznie sytuacja. Jeśli odpowiedzialność za pomyślność imprezy, jak w ostatnich latach, spada coraz bardziej na parę młodą, robi się trudniej. Nie można się oprzeć na doświadczeniu życiowym starszych, ono się zbyt różni.

Oczywiście, lęk przed pewnego rodzaju grozą wesela, jako wydarzenia z radykalnie innego porządku, rodzi komentarze, które chcą je osłabić – stąd umniejszanie, obśmiewanie wesel. Ale to jeszcze jeden dowód na to, że moc tej uroczystości bardzo na nas oddziałuje i zwykle nadchodzi taki moment, że trzeba się z nią skonfrontować.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Spornik (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowski, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław
Łubieński, Szymon Łucy, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocur, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Stawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław
Stróżewski, Marcelina Szmer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOŻA

S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne
dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Śluby panieńskie*



JAK WIELKI POTENCJAŁ TWÓRCZY DRZEMIE w naszych słowach! Kiedy ortodoksyjny pan młody mówi do swej wybranki – która czasem jest wybranką rodziców i/lub roztropnej swatki – „Oto jesteś mi poślubiona [dosł. poświęcona] tą obrączką

wedle prawa Mojżesza i Izraela”, po czym rzeczona łąduje na palcu narzeczonej, uznajemy, że niniejszym powstała nowa komórka społeczna.

Ślubowanie też jest wypowiedzią performatywną – nie tylko opisującą, ale i zmieniającą rzeczywistość. Śluby i przysięgi już starożytni Izraelici traktują ze śmiertelną powagą. Trzecie przykazanie (według chrześcijan drugie) brzmi wszak: „Nie wzywaj imienia Wiekuistego, Boga twojego, do fałszu!” (Wj 20, 7; Cylkow). Najlepiej w ogóle nie ślubować, a wstrzeźliwość w rzeczach dozwolonych jest sprzeczna z duchem judaizmu.

Trzydziesty rozdział Księgi Liczb traktuje właśnie o ślubach i przysięgach. Po zaanonsowaniu tematu jeden wers dotyczy zobowiązań mężczyzn (po prostu są wiążące), czternaście kolejnych zaś – kobiet. Pokróćce: ojciec może unieważnić ślub złożony przez córkę „w młodości swojej”, a mąż – zobowiązanie podjęte przez żonę, i jedynie dla wdowy bądź rozwódki ślubowanie jest wiążące. „W młodości swojej” wygląda na określenie ogólne, ale rabini definiują je niezwykle szczegółowo: chodzi o dziewczynę mającą nie więcej niż 12,5 roku. Skoro nie ma mowy o dorosłej (powyżej tego roku) w domu ojca, widocznie to anomalia – dziewczyny są czym prędzej wydawane za mąż.

Unieważnienie zobowiązania podjętego przez kobietę znajdującą się pod męską jurysdykcją jest porażająco łatwe: wystarczy, że ojciec bądź mąż ma obiekcje, gdy się o nim dowiaduje, i sprawę uważa się za niebyłą. Cóż z tego, że kobieta przysięgła na Imię Boże? „Bóg jej wybaczy”. Czy mężczyzna ma być dla kobiety bogiem?! W obliczu wyłuszczonych w oddzielnym traktacie Talmudu skomplikowanych procedur, umożliwiających zwolnienie mężczyzny ze spełnienia tego, co „wyszło z jego ust”, to niebywałe. Mianowicie trzeba dowiedzieć, że w momencie podejmowania zobowiązania człowiek nie w pełni zdawał sobie sprawę z jego konsekwencji albo miał fałszywy obraz sytuacji i gdyby wiedział to, czego wówczas nie wiedział, nie ślubowałby w ogóle.

Jak ślubowanie nieposiadającej prawie nic kobiety mogłoby ograniczyć męską władzę? Jeśli zobowiąże się ona do wstrzeźliwości płciowej, jak ojciec „sprzeda” taką córkę i jak taka żona spełni wobec męża „obowiązek małżeński”? Tak, w opisie stworzenia ludzi mężczyzna był pierwszy i wzięta zeń kobieta do niego należy. Ale w Księdze Rodzaju jest przecież jeszcze drugi opis stworzenia człowieka (1, 26-27)... ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Cud burzenia*



PAWEŁ APOSTOŁ PISAŁ DO EFESKIEJ GMINY chrześcijańskiej: „Niegdyś byliście daleko, w Chrystusie Jezusie staliście się bliscy dzięki Jego krwi. On bowiem jest naszym pokojem. On w swoim ciele z dwóch części uczynił jedno i obalił dzielący je mur wrogości. Uchylił Prawo przykazań zawartych w przepisach, aby z dwóch części stworzyć w sobie jednego nowego człowieka i wprowadzić pokój. On poєднаł z Bogiem obie części w jednym ciele przez krzyż, zabijając tę wrogość w sobie. Przyszedł ogłosić dobrą nowinę: pokój wam, którzy byliście daleko, i pokój tym, którzy byli blisko. Dzięki Niemu jedni i drudzy mamy dostęp do Ojca w jednym Duchu”. A to znaczy, że Jezus połączył lud Pierwszego Przymierza z ludami Ziemi. Nie usunął Tory, ale jej opaczne „przepisy”, czyli rozumienie i zastosowanie. Zapłacił za to swoim życiem.

W świetle wydarzenia na Golgocie jasno widać, że Żydzi i nie-Żydzi razem uśmiercają Jezusa Mesjasza. Mówiąc pompatycznie, a taki sposób mówienia bardzo lubią kłamcy, składają Go w ofierze na ołtarzu najświętszych dla nich wartości. Ale też można podejrzewać, że również egoistycznych interesów. Historia religii pokazuje, że ten dramat nie był wydarzeniem jednorazowym, ale wciąż się powtarza. Wciąż zabijamy niewinnych ludzi, pozbawiając ich prawa do istnienia i rozwoju. Dlatego zadaniem zarówno chrześcijan, jak i niechrześcijan jest burzenie „murów wrogości”. Na przykład na Bliskim Wschodzie, na naszych oczach dokonuje się taki właśnie cud burzenia. Dzięki pamiętnemu spotkaniu Franciszka z imamem Ahmedem al-Tayebem w Abu Zabi powstaje kompleks obejmujący synagogę, kościół i meczet, co jeszcze parę lat temu wydawało się niemożliwe.

Mamy też drugi cud, ma on inny charakter, ale ten sam sens i oburza wielu pobożnych. Pod koniec czerwca Franciszek w odręcznym liście wysłanym do amerykańskiego jezuity Jamesa Martina, duszpasterza osób LGBT, z okazji webinaru Outreach LGBTQ Catholic Ministry napisał, że „styl” działania Boga „ma trzy cechy: bliskość, współczucie i czułość. W taki sposób zbliża się On do każdego z nas. Myśląc o Twojej pracy duszpasterskiej, widzę, że stale starasz się naśladować ten styl Boga. Jesteś kapłanem dla wszystkich, tak jak Bóg jest Ojcem wszystkich. Modłę się, abyś nadal to robił, będąc bliskim, współczującym i z wielką czułością”.

Franciszek podziękował o. Martinowi za jego gorliwość duszpasterską i „umiejętność bycia blisko ludzi tą bliskością, jaką miał Jezus i która odzwierciedla bliskość Boga”. Pisał: „Modłę się za Twoich wiernych, Twoich »parafian«, wszystkich, których Pan postawił obok Ciebie, abyś się o nich troszczył, ochraniał i sprawiał, by wzrastali w miłości naszego Pana Jezusa Chrystusa”. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Obietnica dla Jakuba

*Jeżeli to zależało od mojej
woli, nigdy nie zasnęłam
przechowując w sercu
urazę do kogoś,
ani nie pozwoliłam, by ktoś
zasnął mając żal do mnie.*

ABBA AGATON



*Niewdzięczny jest,
kto niechętnie zaciąga
dług wdzięczności.*

SENEKA



„KIEDY JAKUB, WY-
szedłszy z Beer-
Szeby, wędrował
do Charanu, trafił
na jakieś miejsce
i tam się zatrzymał
(...) We śnie ujrzał drabinę opartą na
ziemi, sięgającą swym wierzchołkiem
nieba (...) A oto Pan stał nad nim i mó-
wił: Ja jestem Pan, Bóg twego ojca, Abra-
hama, i Bóg Izaaka. Ziemię, na której
leżysz, oddaję tobie i twemu potom-
stwu. A potomstwo twoje będzie tak
liczne, jak proch ziemi (...), wszystkie
plemiona ziemi otrzymają błogosła-
wienie przez ciebie i przez twych po-
tomków” (zob. Rdz 28, 10-22).

Liturgia niedawno uczyniła nas
świadkami tej obietnicy udzielonej
przez Boga Jakubowi. Obietnica to
niezwykła. Przedłuża tę daną Abra-
hamowi – aktualizuje ją – już w trze-
cim pokoleniu. To akurat nie dziwi –
wiemy: Bóg jest wierny.

Rozmiary tej wierności każą jednak
upaść na kolana i wybuchnąć uwiel-
bieniem.

Tym razem jest to obietnica udzie-
lona uciekinierowi. Jakub właśnie
opuszcza (i nie wie, na jak długo) tę
ziemię, którą Bóg mu oddaje.

Opuszcza ją, ponieważ żyjąc tutaj –
pod jednym dachem ze swoimi rodzi-

cami i bratem – okazał się krętaczem,
złodziejem i oszustem. Od brata wyłu-
dził przywilej pierworództwa; od ojca
– błogosławieństwo. Wszystko pod-
stępem. Teraz musi uciekać – brat po-
przysiągł, że go zabije.

Ucieka do Charanu – do miejsca bał-
wochwalstwa, z którego wyszedł jego
dziad, Abram, i do którego nie pozwo-
lił nigdy, przenigdy zabrać z powro-
tem Izaaka – nawet w poszukiwaniu
żony.

On ucieka właśnie tam – szuka ra-
tunku w ziemi obcych kultów.

W tym krętaczu i złodzieju, po-
rzucającym ziemię Boga, Ten widzi
swojego wybranego, który – również
w zmaganiu się z Nim – stanie się Izra-
elem.

Najpierw jednak musi poprowa-
dzić go w kierunku głębokiej, osobi-
stej wiary; i tu właśnie potrzebna jest
obietnica – kluczowe słowo naszej
wiary.

Co tak naprawdę obiecuje Bóg Jaku-
bowi?

Otóż, obiecuje mu, że da mu za
darmo to, o co do tej pory walczył wła-
snymi siłami, i to nierzadko w niego-
dziwy sposób. Otrzyma to za darmo;
więcej: otrzyma to mimo wszystko.

To wielkie objawienie Boga. Wier-
nego, bo miłosiernego. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 VII)

16. niedziela zwykła: Jr 23, 1-6;
Ps 23; Ef 2, 13-18; Mk 6, 30-34;

Poniedziałek: Wj 14, 5-9. 10-18;
Ps: Wj 15, 1b-6; Mt 12, 38-42;

Wtorek: Wj 14, 21 – 15, 1;

Ps: Wj 15, 8-10. 12. 17; Mt 12, 46-50;

Środa: Wj 16, 1-5. 9-15; Ps 78; Mt 13, 1-9;

Czwartek: Pnp 8, 6-7 lub 2 Kor 5, 14-17;
Ps 63; J 20, 1. 11-18;

Piątek: Ga 2, 19-20; Ps 34; J 15, 1-8;

Sobota: Wj 24, 3-8;

Ps 50; Mt 13, 24-30;

17. niedziela zwykła: 2 Krl 4, 42-44;

Ps 145; Ef 4, 1-6; J 6, 1-15.

Wybrał PIOTR SIKORA



DALEKA DROGA DO WARSZAWY

Powrót Donalda Tuska uruchomił nową dynamikę na scenie politycznej. Widać, kto ma powody do zmartwienia, ale ci, co się cieszą, muszą jednak poczekać na efekty.

KAROLINA LEWICKA

DLACZEGO WRACAM WŁAŚNIE DZIŚ? – zapytał sam siebie Tusk podczas obrad Rady Krajowej swojej partii, która oddała mu stery, ale jednoznacznej odpowiedzi udzielił dopiero następnego

dnia. Wrócił, bo Platforma znalazła się na „śmiertelnym zakręcie”, a wcześniej sądził, że jednak sobie poradzi. Historia jego niedokończonych powrotów jest długa, a kiedy w listopadzie 2019 r. zrezygnował

z udziału w wyborach prezydenckich, odczytano to jako ostateczne pożegnanie byłego premiera z krajową polityką. W rezultacie teraz Tusk zaskoczył wszystkich: i sympatyków, i przeciwników.



Rafał Trzaskowski i Donald Tusk podczas obrad Rady Krajowej PO, Warszawa, 3 lipca 2021 r.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Wrócił w momencie szczególnym, kiedy słaby jest zarówno PiS, jak i opozycja. Rząd Mateusza Morawieckiego walczy o utrzymanie większości w Sejmie, a obliczony na odbudowę masy mięśniowej Polski Ład nie rezonuje jakoś szczególnie w społeczeństwie, w czym Jarosław Kaczyński, jak to on, dopatrywał się spisku wrogich sił („Ten program jest w tej chwili przedmiotem wielkiej kampanii dezinformacyjnej”). Zjednoczona Prawica zaczęła gnić, klątwa drugiej kadencji działa, zużycie władzą jest aż nadto widoczne.

Ale po opozycyjnej stronie nie jest lepiej. Mimo licznych, wciąż nowych pomysłów na siebie ludowcy i lewica bokują nadal w wadze piórkowej. Polska 2050 wprawdzie się umacnia, ale to projekt wciąż nieprzetestowany w prawdziwym boju, PO zaś spadała na dno, gdzie na dodatek, z każdym kolejnym sondażem,

słyszała pukanie od spodu. Tusk wraca zatem na pobojuwisko, gdzie śmiertelnie zmęczone są wojska obu stron. Rozpocznie od odbudowy pozycji swojej partii.

Młody niech poczeka

Lwia część Platformy przyjęła byłego premiera z otwartymi ramionami, a pierwsze dni jego urzędowania kwitowała z uznaniem: „Tusk jest w formie!”. Ale byli i tacy, którzy klaskali, ale się nie cieszyli. Rafał Trzaskowski zmarnował swoją bezczynnością kilkanaście miesięcy po wyborach prezydenckich, a politycznie przyspieszył dopiero wtedy, gdy Tusk ogłosił zamiar powrotu. Od tej wypowiedzi do jej realizacji upłynął raptem miesiąc – zbyt mało czasu, by się politycznie zbudować. Deklaracja prezydenta Warszawy, że jest gotów wziąć odpowiedzialność za PO, została uznana za gest rozpaczyliwy i już niepotrzebny.

Samorządowcy, na których Trzaskowski chciał się oprzeć, zapewne przyjmą teraz postawę wyczekującą. Symptomatyczne jest zdjęcie, które wrzucił do mediów społecznościowych prezydent Sopotu Jacek Karnowski, na którym on oraz Wadim Tyszkiewicz i Jacek Jaśko-wiak, zanurzeni w Bałtyku, wyciągają ręce w geście wiktorii. Do fotografii załączono gratulacje dla Tuska. Jeśli były premier zapewni PO zwyczaj sondażową, Trzaskowski może się zżegnać z dotychczasowymi sojusznikami, a jego stronnictwo w partii nie jest na tyle mocne i liczne, by wystarczyło na samodzielny projekt. Zresztą, jak przekonuje poseł PO, który od początku orientował się na byłego premiera: – Młode wilczki od Rafała, które chwilę temu krzyczały o zdradzie Borysa Budki, teraz na wyścigi udowadniają swoją przydatność przy nowym projekcie Donalda.

Widoczne u Trzaskowskiego rozczarowanie obrotem spraw szybko ustąpiło urzędowemu entuzjazmowi. „Donald Tusk przewodniczącym PO – dzięki temu będziemy silniejsi. Dalej do przodu, wszyscy razem!” – napisał na Twitterze. Jego postawa oznacza, że nie będzie grał na rozbiście partii i wyprowadzenie posłów, a Campus Polska Przyszłości, którym pod koniec sierpnia miał zainaugurować

nowy polityczny byt, będzie definitywnym końcem tej przygody, bo głównym gościem imprezy będzie Donald Tusk.

Na razie Trzaskowski wraca na pełen etat do warszawskiego ratusza, by stamtąd obserwować rozwój wypadków. „Jest młody, może jeszcze poczekać” – skomentował w wypowiedzi radiowej Bronisław Komorowski. Suflowane są wprawdzie plotki o możliwości jego porozumienia z Szymonem Hołownią, ale na razie nic na to nie wskazuje.

Są jeszcze koalicjanci PO – Inicjatywa Polska Barbary Nowackiej, Nowoczesna oraz Zieloni – którzy większe nadzieje pokładali w lewoskrętnym Trzaskowskim, ale i oni zaciągną się pod komendę silniejszego, takie jest prawo dżungli. Tym bardziej że Tusk uznał Koalicję Obywatelską za wartość i wyraził nadzieję, że będzie trwała. – Cieszy nas ta deklaracja, bo jesteśmy za dalszą współpracą w dotychczasowym gronie, ale też za ewentualnym poszerzeniem Koalicji o nowe podmioty – mówi mi szef Nowoczesnej, Adam Szlappa. – Mamy tylko nadzieję, że zostanie utrzymana formuła cotygodniowych spotkań liderów KO.

Tusk spotkał się z nimi w czwartym dniu urzędowania, atmosfera była dobra.

Trzecia droga donikąd

Niewątpliwie powrót byłego lidera ma dla Platformy znaczenie symboliczne: jest nowym początkiem, niezwykle pożądanym przez ugrupowanie, które w ostatnim czasie potykało się o własne nogi. Teraz można się odciąć od nieciekawego rozdziału po 2015 r., niejako wyzerować swoją opozycyjną historię i wystartować raz jeszcze. Zwłaszcza że na czele stanął polityk wagi ciężkiej, o kilka długości wyprzedzający nie tylko tych ze swojej partii, ale też wszystkich pozostałych. Działacze poculi wiatr w żaglach. – Odzywają się do nas ludzie kiedyś związani z partią, a przez ostatnie lata nieaktywni, którzy znowu chcą się zaangażować. Widać, że Donald Tusk jest tym politykiem opozycji, który najskuteczniej skupia uwagę wyborców, budzi nadzieję i jako jedyny daje realną szansę na odsunięcie Kaczyńskiego od władzy – cieszy się Marcin Kierwiński, sekretarz generalny PO.

Zdaniem wielu politologów to był ostatni moment, by uratować tę partię. – Zakładam rychły zysk sondażowy, nawet do 25 proc. – prognozuje dr Anna Materska-Sosnowska z UW. – Jeśli PO →

→ zdoła ten poziom utrzymać, ma szansę na odzyskanie inicjatywy po opozycyjnej stronie. Jeśli jednak po początkowym piku zacznie się zjazd, to będzie koniec, bo skoro nawet z Tuskiem się nie udało, to nie powiedzie się już z nikim.

Politolożka zwraca uwagę na umiejętności komunikacyjne powracającego lidera. – Jest mistrzem mowy politycznej, ma zdolność nazywania rzeczy po imieniu i wyznaczania pola gry. Dotychczasowi liderzy poruszali podobne co on kwestie, ale nie byli słyszalni. A słowa Tuska bezbłędnie trafiają do odbiorców.

Dotychczasowe sondaże nie wskazywały wprawdzie, by naród w swej masie czekał na Tuska, a sentyment do jego czasów nie jest powszechną emocją. Na razie jednak PO wystarczy przeskok Szymona Hołowni i odzyskanie pozycji lidera opozycji. Co będzie dalej, to się zobaczy.

– Stoimy w obliczu ryzyka odbudowy polaryzacji PiS-PO, która niszczy nas od 2005 r. – postraszył Szymon Hołownia, który na wejściu Tuska może stracić najwięcej, bo to on tuczył się słabnącą Platformą. Zresztą na dzień przed powrotem Tuska z PO odpłynął w kierunku Polski 2050 kolejny poseł, Michał Gramatyka. Teraz Hołownia obawia się jednak, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci nie tylko nie skorzysta, ale wręcz – przy potężnym ssaniu obu partii – zacznie brakować mu tlenu. W podobne tony uderzył Robert Biedroń, pisząc, że „wojna polsko-polska przyniosła nam tylko podziały”. Przypomnijmy, jak ta polaryzacja wyglądała w liczbach: w 2005 r. PiS i PO zagospo-

darowały łącznie 51 proc. głosów, dwa lata później już 73 proc. W 2011 r. było to 69 proc., a w 2015 nieco mniej, bo 61 proc. W ostatnich wyborach Zjednoczona Prawica i Koalicja Obywatelska podzieliły między siebie 70 proc. wyborców.

Trend może się dalej umacniać, o czym świadczą wyniki wewnętrznego badania zamówionego przez Lewicę. Jedną z jego konkluzji mówi, że znaczna część Polaków przestała głosować w zgodzie ze sobą, za swoimi kandydatami, wartościami; głosuje przeciwko tym, których się boi. Ponieważ to już nie polityka, ale wojna, to wyborca niechętny PiS zaczyna kalkulować, kto ma szansę go pokonać. I przy urnie jest już bez sentymentów, bo wizja straconego głosu skłania, by wybrać najmocniejszego rywala Kaczyńskiego, co widzieliśmy w zeszłorocznych wyborach, kiedy to elektoraty lewicy czy ludowców już w I turze udzielały poparcia Rafałowi Trzaskowskiemu. W takiej sytuacji małe partie tracą, a największy gracz opozycji zyskuje. Jeśli pod wodzą Tuska PO wróci na pozycję lidera, to w sondażach może pojawić się efekt kuli śnieżnej. „Trzecia droga”, którą usiłuje iść Hołownia, stanie się dróżką.

Giganci w trasie

Polaryzacji będzie też sprzyjać totalna opozycyjność, której Tusk nadał nowy, biblijny wymiar. „Dzisiaj zło rządzi w Polsce, wychodzimy na pole, żeby bić się z tym złem” – mówił na Radzie Krajowej PO, niemalże odtwarzając świat tołkienowski: z jednej strony Armia Zachodu,

stojąca przed Czarną Bramą, z drugiej zastępy orków Saurona, obie siły w przededniu ostatecznego starcia. Hasło „opozycji totalnej” wymyślił „wczesny” Tusk, ten sprzed 16 lat, przegrany w wyborach i prezydenckich, i parlamentarnych. Ogłosił je na pierwszym posiedzeniu klubu PO, po fiasku rozmów o wspólnym rządzie z Jarosławem Kaczyńskim. Nietrudno będzie je teraz z całą mocą realizować, bo PiS w destrukcji ustrojowej i brutalności politycznej osiągnął szczyty, faktycznie stając się dla wielu wyborców wcieleniem zła. Zresztą, jak już kilka lat temu przekonywał Marek Migalski w swoich „Szkicach o (polskiej) polityce”, na naszym krajowym gruncie w ogóle nie opłaca się być opozycją merytoryczną, wręcz trzeba być totalną, która polega na „całkowitej odmowie współpracy, delegitymizacji rządzących, odbieraniu im moralnego prawa do uczestnictwa w życiu publicznym”.

Tusk zamierza więc działać tak, jak to robił za pierwszego rządu PiS-u, jak wcześniej postępował Leszek Miller wobec AWS-u, później zaś Jarosław Kaczyński wobec rządów PO-PSL. Stary-nowy lider PO już nazwał Kaczyńskiego „swoim głównym oponentem”, a wywołany do tablicy rękawicę podjął. „Zapowiada się z powodów, o których tutaj mówił nie będę, bo nie warto, zaostrenie walki politycznej” – mówił Kaczyński drugiego dnia kongresu PiS. Nazwisko byłego premiera nie padło, tak jakby był on „tym, którego imienia nie można wymawiać”. Swoją drogą, podobnie postępuje Putin wobec Nawalnego.

Powrót Tuska ucieszył TVP

TUSK w roli najczarniejszego z charakterów to w TVP żadna nowość – od lat przypomina się widzom, jakim pasmem nie-szczęść dla Polski były jego rządy. Nowością jest zagęszczenie tych komunikatów, od kiedy pojawiły się pogłoski o powrocie byłego premiera do polskiej polityki. Od końca maja „Wiadomości” częściej zaczęły pokazywać jednosekundową przebitkę z Tuskiem mówiącym „für Deutschland”. Bez informacji, że to fragment wystąpienia szefa Europejskiej Partii Ludo-

wej na kongresie najważniejszej części tego ugrupowania – niemieckiej CDU.

Od 3 lipca Tusk stał się w TVP Info i „Wiadomościach” centralną postacią. Zajmujący się analizą częstotliwości treści w „Wiadomościach” użytkownik Twittera Flash podał, że w wydaniu z 3 lipca jego nazwisko padło 39 razy, 4 lipca – 35 razy, a 5 lipca – 41 razy. Według TVP Info prawdziwe powody powrotu Tuska są dwa: chęć uratowania podejrzanego o korupcję Sławomira Nowaka

(pasek „Złoty chłopiec Tuska i wielka korupcja”) i realizacja misji wyznaczonej przez Angelę Merkel (pasek: „Powrót Tuska ucieszył Niemców”). W „Wiadomościach” z 7 lipca lidera PO przedstawiono słowami „wskazany przez niemieckie media na przywódcę opozycji w Polsce”. Gdy w innych mediach pisał się o agresji i manipulacjach TVP w stosunku do Tuska, TVP wyświetla paski: „Kampania kłamstwa Donalda Tuska” i „Powrót Tuska – będzie więcej agresji?”. 7 lipca

pracownik TVP Info zapytał socjologa Arkadiusza Jabłońskiego: „Na co liczy polityk generujący w przestrzeni publicznej liczne półprawdy, nieprawdy, kłamstwa, przeinaczenia, które zresztą bardzo łatwo i szybko można zweryfikować?”. Zanim ekspert zdążył odpowiedzieć, na ekranie pojawił się wielki napis: „Donald Tusk liczy na krótką pamięć wyborców”. © KB

Więcej szczegółów na powszech.net/tusk-tvp

Dokończenie rywalizacji obu gigantów polskiej polityki to zresztą osobny spektakl, na który publiczność może sobie już ostrzyć zęby. Kiedy Tusk odchodził do Brukseli, Kaczyński zdecydował się uściśnąć mu rękę i pogratulować, choć od czterech lat trwali w śmiertelnym uścisku po katastrofie smoleńskiej. Wkrótce potem Kaczyński pokonał PO, ale już bez Tuska na horyzoncie, a to nie to samo. Wybory parlamentarne w 2023 r. zapowiadają się na ich bezpośredni i ostateczny pojedynek. Tusk wrócił tego samego dnia, którego Kaczyński został wybrany ponownie na szefa swojej własnej, całkowicie sprywatyzowanej partii. I w rocznicę dnia, w którym na polityczną emeryturę odesłał go dzisiejszy prezydent stolicy, apelując jednocześnie, by scenę polskiej polityki opuścił także Jarosław Kaczyński. Tymczasem obaj wciąż są niekwestionowanymi przywódcami dwóch Polsk, po kilku dekadach politycznej działalności.

Pytanie, jakie obiorą wobec siebie strategie. Na razie wygląda na to, że PiS z jednej strony będzie próbował Tuska zamilczeć, z drugiej zaś zohydzić, w czym już prym wiedzie TVP. Tusk będzie niezmiennie recenzentem działań PiS-u, co świetnie mu wychodzi. Na samym początku Kaczyński podarował Tuskowi dwa prezenty: komiczną uchwałę przeciwko nepotyzmowi oraz porozumienie zawarte z europejskimi apologetami rosyjskiego prezydenta – obu tych spraw były premier nie omieszczał wykorzystywać. Obaj ruszyli też w Polskę. Kaczyński już wcześniej zapowiadał peregrynację po kraju z Polskim Ładem w rękę, także Tusk oznajmił, że do wyborów zamelduje się w każdym powiecie. Zaczął od Zachodniopomorskiego.

Ludowcy bez wyboru

No i co z resztą opozycji? Kiedy Tusk zapowiadał swój powrót, przekonywał, że jego celem jest zjednoczenie ugrupowań po jasnej stronie mocy. Dopytywany przez dziennikarzy o możliwość budowy takiego szerokiego bloku na wybory parlamentarne w 2023 r., odpowiadał, że „im bardziej razem, tym lepiej (...) z respektem i szacunkiem dla autonomii innych oraz ich pomysłów. Na pewno nie będę się nikomu narzucać na siłę, nie jestem z natury stalkerem”. W kolejnych wypowiedziach przekonywał, że jest z pozo-

Czeka nas dokończenie
rywalizacji dwóch
gigantów polskiej polityki.
**Kaczyński i Tusk wciąż
są niekwestionowanymi
przywódcami dwóch Polsk,**
po kilku dekadach
politycznej działalności.

stałymi liderami w przyjaźni, darzy ich sympatią.

– Taka narracja, uznanie podmiotowości partnerów nam odpowiada – mówi mi wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski z PSL-u i przekonuje, że na razie najlepsze dla opozycji będzie przyjęcie strategii Helmutha von Moltkego: „Maszerować osobno, ale uderzać razem”. Ludowcy muszą sobie zdawać sprawę, że znowu grozi im wepchnięcie w rolę wasala, ale ze względu na własną niemoc polityczną sojusz z „katolikiem Tuskiem” musi im się wydawać szansą.

Obok Władysława Kosiniaka-Kamysza drugim politykiem, z którym nowy szef PO rozmawiał w ostatnim czasie, był Szymon Hołownia – choć politycy Polski 2050 od razu zaczęli Tuskiem straszyć i z niego szydzić. Zdjęcie z jego porannej przebieżki, wrzucone na profil PO, senator Jan Bury skomentował: „Radzieckie Radio: 6:30 Towarzysz Stalin wstaje, a wraz z nim cały ZSRR”.

Oficjalnie kierownictwo Polski 2050 spodziewa się spadków w sondażach, ale niewielkich, ponoć najwyżej punkt lub dwa. – Patrzymy na rozwój sytuacji ze spokojem, bez jakiegokolwiek paniki – mówi mi Joanna Mucha, wcześniej wieloletnia posłanka PO. – Powrót Donalda oznacza powrót anty-PiS-u, a taka oferta nie będzie w naszym przekonaniu zwycięska. Wie o tym i sam Tusk, przecież właśnie z tego powodu nie wystartował w wyborach prezydenckich, bo nie miał szans na 51 proc.

Politycy Polski 2050 przekonują, że tylko oni są w stanie zagospodarować wyborców, którzy odchodzą od PiS-u, a którzy na pewno nie poprą PO, bo przepływu elektoratów między tymi oboma ugrupowaniami po prostu od dawna nie ma. – Na razie każdy powinien obrabiać swoje poletko – przekonuje Mucha.

Surowa wiosna

Lewica, choć na zwarciu PO i PiS-u musi tracić, woli Tuska niż Trzaskowskiego. Wedle rachub kierownictwa Nowej Lewicy były premier będzie zagospodarowywał centrum, z wychyleniem w prawo. Trzaskowski zaś zbierał pod swoim sztandarem centrum oraz lewą stronę. Stąd nadzieje lewicowych polityków, że w cieniu Tuska uda im się obrocić swój skromny stan posiadania.

Na razie między Tuskiem i Lewicą brak chemii. „Nie pytajcie mnie o Lewicę, bo tam mamy do czynienia z pewną turbulencją (...) ryzykownym przedstawieniem myślenia” – mówił Tusk. Liderzy Lewicy nie znaleźli się wśród osób, z którymi wcześniej się kontaktował i które informował o swoim powrocie. To pokłosie wsparcia, jakiego Lewica udzieliła rządowi przy głosowaniu nad Funduszem Odbudowy – w opinii wielu działaczy PO dając się sprowadzić do roli „pozytecznego idioty” Kaczyńskiego.

Ale też nie wiadomo, jaka Lewica wyłoni się jesienią po swoim kongresie zjednoczeniowym i wyborze władz. Słabnie – i w klubie parlamentarnym, i w terenie – pozycja Włodzimierza Czarzastego, przestał się liczyć Robert Biedroń. Obaj mają coraz silniejszą wewnętrzną konkurencję. Nie zyskał uznania skręt Czarzastego w kierunku postulatów lansowanych przez Razem, co oznacza zbliżenie z PiS-em na gruncie socjalnym i grozi odplywem elektoratu światopoglądowego, czyli wielkomiejskiego. Samo Razem już ogłosiło, że PiS i PO to „dwa walczące na śmierć i życie obozy, które nie różnią się od siebie znacząco”. Wzajemne ułożenie stosunków między PO a Lewicą nastąpi wobec tego zapewne dopiero za kilka miesięcy, kiedy sytuacja po lewej stronie się wyklaruje i wyłoni się jej przywództwo.

Już samo pojawienie się Donalda Tuska uruchomiło zupełnie nową dynamikę na polskiej scenie politycznej. Jego sympatycy piszą o „powrocie króla”, ale król przecież wcale jeszcze nie wrócił do stolicy, a i droga ku temu daleka i trudna. „To surowa wiosna – mówi w ostatniej księdze „Władcy Pierścieni” Aragorn. – Niejedna nadzieja jej nie przetrzyma”. A pierwszy bilans będzie możliwy dopiero i tak za dobrych kilka miesięcy.

© KAROLINA LEWICKA

Autorka jest dziennikarką radia TOK FM.

Zjazd do wiecznej zajezdni

BARTOSZ JÓZEPIAK

Łódź sprawdza, czy duże osiedla mogą żyć bez tramwajów. Okazuje się, że owszem, mogą. W zamian za ogromne korki.

WTRZECIM CO DO WIELKOŚCI MIEŚCIE w Polsce torowiska zagrażają zdrowiu i życiu. Spece z MPK powiedzieli: po tych szynach tramwajów nie puścimy. Wagony nam powypadają i będzie tragedia. Dlatego awaryjnie wyłączono torowiska na ulicach: Legionów, Warszawskiej, Wojska Polskiego, Niższej, Kilińskiego, Cmentarnej, Srebrzyńskiej. Większość z nich to ważne arterie w samym centrum. Na to nakładają się rozpoczęte już remonty oraz budowa podziemnej linii kolejowej, która odciąłaby ważne skrzyżowania. Efekt? Na tory wyjeżdża o jedną piątą mniej tramwajów. Tylko cztery z osiemnastu linii kursują po normalnych trasach. Reszta jeździ objazdami albo nie jeździ wcale. Bez tramwaju zostały tysiące mieszkańców z osiedli Zdrowie, Koziny, Dąbrowa czy Doły. Musieli opracować strategię przetrwania tramwajowego armagedonu.

Tramwaj to jest miasto

Szyny na Wojska Polskiego zarastają trawą. Ostatni raz tramwaj pojechał po nich dwa lata temu. Część torowiska już zaanektowali kierowcy.

– Mamy parking zamiast tramwaju – denerwuje się Tadeusz. Z Teresą właśnie wracają z zakupów. Drepczą krok po kroku, ciągną wielką torbę, każde złapało za jedno ucho. Z dumą podkreślają: jesteśmy starzy łodzianie, osiemdziesiątkę mamy na karku, większość życia na tym samym osiedlu.

– Tramwaj to jest miasto. Jak jeździłem na obozy harcerskie, to każdy tylko pytał: A ile linii w takim, dajmy na to, Grudziądzu macie? Jedną. O, to dziadostwo. W Toruniu? Cztery. Też dziadostwo. A w Łodzi? Dwadzieścia osiem. Bo był tramwaj numer 28. Tak mieliśmy dużo! A teraz tylko zamykają. Niby że sezonowo, ale jak się zawiesi, to się potem trzy lata nic nie robi. A oszczędności są!

– Tramwaj to jeździł prosto do centrum. A teraz, z tymi autobusami trzeba

się przesiadać. I jeszcze znacznie rzadziej jeżdżą – dodaje Teresa.

Ola jeszcze niedawno z budzikiem nastawionym na siódmą spokojnie mogła zdążyć do pracy na ósmą. Tramwaj jeździł bez korków. Autobus w godzinach szczytu do centrum jedzie bitą godzinę.

– Do tej pory rodziny na naszym osiedlu miały po jednym samochodzie. Teraz dwójka rodziców ma już po dwa samochody. Ja auta nie kupuję, bo to są większe koszty, a stoisz w korku tak samo, jak w autobusie.

Rafał, inżynier z branży IT, nie patrzy na koszty. Liczy się wygoda. – Ja już nie mam czasu na przystankach wystawać. Poprzednią pracę miałem przy rondzie Lotników, to jest dziewięć kilometrów stąd. Wszystkiego próbowałem: samochód, rower, komunikacja miejska, nawet biegałem. Ale nie powiem, korki też mnie denerwują, bo potrafię i pół godziny stać. Wyprowadzam się z tej Łodzi pod miasto. Tylko najpierw sprawdzę, gdzie będę miał najlepsze drogi.

Efekt Bilbao po Łódzku

– W latach 80. tramwaje w Łodzi dojeżdżały w wiele miejsc, o których dzisiaj moglibyśmy tylko pomarzyć, jak Złotno czy Ruda. U progu wolnej Polski zaczęły się pierwsze cięcia – opowiada Jarosław Ogrodowski, łódzki społecznik.

Powodów było kilka. Tramwaje jeździły wolniej niż autobusy. Ruch na ulicach był niewielki, dzisiejszych korków nikt sobie nie wyobrażał.

Drugi powód – oszczędności. Łódź, miasto z dwudziestoprocentowym bezrobociem, nie mogła sobie pozwolić na zbyt wiele. Tak przepadły linie do Aleksandrowa i Rzgowa.

I w końcu – priorytet dla samochodów. Linie tramwajowe na Rudzkiej i Łagiewnickiej zaorano i wylano betonem. Na ich miejscu powstały dwupasmowe drogi.

– Łodzianie traumatycznie zapamiętali te likwidacje z lat 90. Ale tamte zmiany



bledną w porównaniu z tym, co się dzieje teraz – opowiada Ogrodowski. – My od dekady wiedzieliśmy, że te torowiska są w fatalnym stanie.

Według łódzkiego społecznika są trzy powody tej sytuacji. Po pierwsze, kolejne władze miasta wierzyły, że jakoś to będzie. Wystarczy czasem coś tam zespawać i tramwaje pojadą. I faktycznie przez lata jeździły. Aż w końcu przestały.

Na to nakłada się problem drugi, czyli dziura w budżecie. Łódź, jak każde duże miasto, ma ogromne wydatki na zadania zlecone, jak edukacja czy pomoc społeczna. Na to pieniądze muszą być. W ten sposób z budżetu rządu czterech-pięciu miliardów do wydania zostaje kilkaset milionów. Pandemia mocno ścięła samorządowe budżety, a podatkowe pomysły rządu jeszcze je dobiły.

Do tego dochodzi trzeci wymieniany przez Ogrodowskiego powód: efekt Bilbao. To hiszpańskie przemysłowe miasto w lata 90. wchodziło, podobnie jak Łódź, w ogromny kryzys. Przeszło jednak udaną transformację i dziś jest centrum kulturalno-turystycznym. Wielu wierzy, że do zmiany doprowadziło Muzeum Guggenheima – perła architektury. Eksperti nie są pewni, że coś takiego jak efekt Bilbao w ogóle istnieje, ale wielu de-



Wiata przystankowa przy al. Mickiewicza. Mieszkańcy zaczęli ją zwać Stajnią Jednorożców i w ramach budżetu obywatelskiego sfinansowali w pobliżu rzeźbę jednorożca.

cydentów w polskich miastach uparcie w to wierzy.

Przykłady gigantycznych inwestycji w Łodzi można mnożyć: choćby budowane właśnie orientarium za 230 mln zł, ogromny i przeskalowany Dworzec Fabryczny (to inwestycja kolejarzy, do której miasto dobudowało infrastrukturę), centrum kulturalne EC1 na terenie dawnej elektrociepłowni, wiata przystankowa zwana Stajnią Jednorożców. Władzom Łodzi nie można odmówić rozmachu. Gdy mierzy się wysoko, trudno zauważyć to, co pod stopami. Na przykład rozpadające się torowiska.

Większość projektów powstaje z unijnym dofinansowaniem. Ale z tą unijną hojnością też jest problem.

– Jak bierzemy pieniądze unijne, to myślimy, że musimy z nich wycisnąć jak najwięcej. Robimy bardzo drogie przebudowy, przeskalowane projekty – wskazuje Ogródowski.

Nie jest tak, że Łódź w tramwaje zupełnie nie inwestuje. Dzięki nowej unijnej perspektywie powstał np. program „Tramwaj dla Łodzi”. Za 660 mln zł wyremontowane zostanie 11 km torowisk. Problem w tym, że przebudowa dwóch kilometrów trasy na Rydza-Śmigłego miała skończyć się rok temu. Prace trwają

i końca nie widać. Pozostałe remonty czekają jeszcze dłużej.

A mieszkańcy czekać nie mogą.

– Jak ktoś raz wsiądzie do samochodu, to już w nim zostanie. On już do tramwaju nigdy nie wróci – podsumowuje Jarosław Ogródowski.

Z pretensjami to do cara

Mateusz Walasek, radny od 15 lat, szef klubu Koalicji Obywatelskiej, prosi tylko, żeby nie siać dezinformacji. Magistrat zamierza wyremontować każdą podmiejską linię. Potrzeba tylko czasu.

– Łódź zawsze była biedniejszym miastem, niedoinwestowanym. To są lata zaniedbań. Moglibyśmy z pretensjami cofnąć się jeszcze do cara. Dzisiaj mówimy jasno: nie ma takiej zawieszanej linii, której nie chcielibyśmy przywrócić. Kiedy zawieszano kursowanie kolejnych linii, trwały już przetargi na ich przebudowę, wybierano wykonawcę. Procedury po prostu niemiłosiernie długo trwają.

Problemem jest też finansowanie. Wiele przetargów trzeba było powtórzyć, bo ceny wykonawców wielokrotnie przekraczały kwoty zaplanowane przez magistrat. Jakże są przyczyny? Radny wskazuje niewielką konkurencję wśród firm budujących torowiska. Firmy mogą dyktować

ceny. Sytuację wyraźnie pogarsza cykl unijnych dofinansowań. Gdy tylko ruszają unijne perspektywy, wszystkie samorządy ogłaszają mnóstwo przetargów. Wykonawcy nie wyrabiają się ze zleceniami i windują ceny. Kosztorysy sprzed roku czy dwóch nagle stają się nieaktualne, bo na rynku brakuje wszystkiego: sprzętu, materiałów, ludzi. Wszyscy przecież budują w jednym momencie.

Dlaczego jednak Łódź nie zabrała się za remonty wcześniej? Radny Walasek wyjaśnia, że nie można było rozkopać całego miasta jednocześnie!

– Po drugie nie dostalibyśmy dofinansowania na wszystkie inwestycje w tym samym czasie. Skoro wiedzieliśmy, że mamy szansę na unijne dotacje, to bylibyśmy nieodpowiedzialni, gdybyśmy remontowali z własnych pieniędzy.

Barłomiej Dyba-Bojarski, opozycyjny radny z Polski 2050, dopowie trochę złośliwie, że miasto jakoś znajduje własne pieniądze na inne inwestycje. Na przykład na rozbudowę stadionu ŁKS-u za 223 mln zł albo budowę tunelu samochodowego w centrum za 90 mln.

Radny Walasek doda jeszcze, że nie jest przecież tak, że mieszkańcy są całkiem odcięci od świata. W miejscach tramwajów podjeżdżają miejskie autobusy. A czy szef klubu KO sam jeździ komunikacją miejską? Akurat nie. Tłumaczy, że codziennie ma wiele spotkań rozrzuconych po mieście. Bez samochodu w życiu by się nie wyrobił.

Z prędkością piechura

Zarośnięta pętla tramwajowa na Warszawskiej oblegana jest przez pasażerów. Tyle że nie tramwaju. To robotnicy z Ukrainy czekają akurat tutaj na busy, które rozwiozą ich do magazynów i fabryk pod miastem. Natalia chciałaby od czasu do czasu pojechać nie tylko do pracy. Chętnie odwiedziłaby też centrum. Niestety, autobusy jeżdżą dwa razy dłużej niż tramwaj.

Emeryt Edward pamięta, jak tramwaj dojeżdżał do centrum w 20 minut. Potem jeździł coraz wolniej i wolniej, po Warszawskiej jechał z prędkością piechura. Gdyby jechał szybciej, toby się wykołubił. Prawdziwe cyrki to zaczną się we

→ wrześnie, jak uczniowie wrócą do szkół. Ruch tu będzie jak na autostradzie!

Borys za dwa tygodnie kupuje swoje pierwsze w życiu auto. Do tej pory do szkoły, na imprezę na Piotrkowską czy zakupy do Manufaktury jeździł tramwajem. W 20 minut był na miejscu. Teraz autobusami z dwoma przesiadkami droga zabiera mu 45 minut.

– Nigdy wcześniej nie myślałem o samochodzie. No ale teraz nie mam wyjścia.

Kto się boi kierowców?

– Łódź na tle innych polskich miast to jest dramat – mówi dr Michał Wolański z katedry transportu SGH, ekspert od komunikacji. – Ale w innych ośrodkach tramwaje też pozostawiają wiele do życzenia.

Zaczął się jeszcze w latach 70., kiedy rosły nowe miejskie osiedla. Siatka tramwajowa nie pokrywała się z mapą nowych blokowisk. W efekcie tramwaje w wielu miejscach jeżdżą nie tam, gdzie powinny. Najlepiej widać to w aglomeracji śląskiej.

Przyszły lata 90. i zaczęły się likwidacje linii tramwajowych. Ich miejsce często zajmowały dodatkowe pasy jezdni. Wtedy nikt nie myślał o tym, że już niedługo statystyczną polską rodzinę będzie stać nie tylko na jeden, ale też dwa i trzy samochody. Uznano, że autobusy lepiej zaspokoją potrzeby przewozowe.

– Politycznie efekt nowości łatwiej i taniej osiągnąć na nowym autobusie, który kosztuje dziś milion złotych, niż na tramwaju za siedem milionów – dodaje dr Wolański.

Torowiska zaczęły podupadać nie tylko w Łodzi, ale też na Śląsku, w Szczecinie, Wrocławiu czy Krakowie. Na szczęście dzięki morzu unijnych pieniędzy miasta znów mogły postawić na tramwaje, a nawet wybudować nowe linie. Tramwaj niedługo pojedzie na Nowy Dwór we Wrocławiu, wagony jeżdżą już na krakowski Ruczaj. Gdańsk rozbudował sieć na nowe blokowiska na górnym tarasie.

Nie wszystkie inwestycje są jednak przemyślane. W Sosnowcu tramwaj będzie przebiegać na zewnątrz, a nie przez środek osiedla. To oznacza, że skorzysta z niego znacznie mniej osób. Kraków i Poznań zainwestowały potężne środki w podziemne przystanki tramwajowe. Taki pomysł był popularny na Zachodzie,

ale w latach 70. Potem Niemcy i Belgowie doszli do wniosku, że podziemny tramwaj to droga inwestycja i problem dla pasażerów, bo trzeba się nabiegać po schodach do przystanku. Do Polski nowa moda nie zdążyła jednak dotrzeć.

– Najbardziej nas odróżnia fakt, że na Zachodzie tramwaje nie stoją na światłach. W Polsce jeżdżą makabrycznie wolno, nawet tam, gdzie wydano spore unijne pieniądze na inteligentne systemy transportowe. Systemy nie pomagają tramwajom. Politycy boją się kierowców zdenerwowanych tym, że tramwaj jechałby szybciej, a oni staliby w korku. Z tego samego powodu nie kupujemy długich, 60-metrowych składów. Bo taki tramwaj potrzebuje więcej czasu na światłach, więc spowalniałby ruch samochodów. Ale ruch samochodowy to nie powinien być żaden argument przy tramwajowych inwestycjach – uważa Wolański.

Sam sobie winien

Ulica Legionów, ważna droga w samym centrum miasta, wygląda jak pocztówka z czasów wojny. Rozpadające się kamienice, zamiast asfaltu kocie łby i dziury. Powykrzywiane tory pasują do krajobrazu. Auta wciąż odbijają się na bruku. Tramwajarze po takiej drodze nie mogli już jeździć.

W związku z likwidacją tramwaju Tomek musiał opracować nowy plan dnia. Wstaje codziennie o czwartej, żeby żonę zawieźć do pracy na Limanowskiego. Co prawda będzie ona pół godziny przed rozpoczęciem zmiany, ale lepiej tak, niż miałaby się spóźniać. Potem Tomek gna do siebie do pracy na drugi koniec miasta. Jak się pospieszy, to zdąży, zanim uruchomią sygnalizację świetlną, i dojedzie w 20 minut. Inaczej będzie jechał dwa razy dłużej.

Sąsiadka Ania i tak dojeżdżała samochodem, ale chyba przerzuci się na rower. Odkąd zlikwidowali tramwaj, to korki są masakryczne. Jej syn ma większy problem. Codziennie na szóstą dojeżdża do fabryki Hutchinsona. Musi wstać przed czwartą, żeby te dziewięć kilometrów pokonać autobusami z przesiadką. Ania żartuje, że szybciej by chyba doszedł. Ale sam jest sobie winien, jak nie chciało mu się prawa jazdy zrobić. Może teraz zmądrzeje.

© BARTOSZ JÓZEPIAK

Domek dla monet

PIOTR WÓJCIK

Mieszkania przestały być traktowane w pierwszej kolejności jako dobro podstawowej potrzeby. Ich rynek staje się domeną inwestorów, a nie lokatorów.

LUDZIE ZWYKLI TRAKTOWAĆ NIERUCHOMOŚCI MIESZKALNE jako po prostu miejsce do życia. Istnieje jednak też niewielka grupa, dla której mieszkanie to inwestycja. Interesy obu grup są w sposób oczywisty rozbieżne. Dla pierwszej grupy lepiej jest, gdy ceny mieszkań są umiarkowane – raty kredytu lub czynsze w przypadku wynajmu są wtedy niższe. Celem inwestorów jest natomiast wyraźny wzrost cen nieruchomości mieszkalnych, który zapewni im solidny zwrot. Dominacja tych drugich skutecznie utrudnia życie pierwszym – z taką sytuacją mamy w coraz większym stopniu do czynienia w Polsce. Rządzący najwyraźniej problemu nie widzą, gdyż w Polskim Ładzie próżno szukać rozwiązań, dzięki którym polski rynek mieszkaniowy stałby się nieco bardziej przyjazny dla człowieka szukającego dachu nad głową dla siebie i swojej rodziny.

Trzy czwarte metra za średnią krajową

Pandemiczny rok 2020 upłynął pod znakiem zamrażania kolejnych branż, jednak akurat mieszkaniówka była rozgrzana do czerwoności. Według Eurostatu w połowie ubiegłego roku mieszkania w Polsce były droższe nawet o 11 proc. niż w analogicznym okresie 2019 r., a na koniec roku ceny mieszkań wzrosły o 9 proc. Drożały więc niemal dwukrotnie szybciej niż w całej Unii Europejskiej, a nawet minimalnie



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Osiedle Bliska Wola usytuowane w kwartale ulic Ordona, Kasprzaka, alei Prymasa Tysiąclecia. Warszawa, październik 2020 r.

szybciej niż w lubianej przez inwestorów Holandii. W tym roku ceny nieco wyhamowały, ale nieprzesadnie. Według NBP na koniec marca w dziesięciu największych miastach ceny transakcyjne mieszkań na rynku wtórnym wzrosły o niecałe 7 proc., a na rynku pierwotnym o 8 proc. W samej Warszawie nowe mieszkania drożały jeszcze szybciej, bo o 9 proc.

Mniej więcej do 2017 r. rynek mieszkaniowy w Polsce był względnie spokojny, a ceny mieszkań rosły wolniej lub tylko minimalnie szybciej niż ceny konsumpcyjne. Jednak od 2018 r. coś się zmieniło – wzrost cen mieszkań zaczął wyraźnie przewyższać inflację i to nawet o 6-7 punktów procentowych. W ujęciu realnym, a więc po uwzględnieniu inflacji, ten wzrost w pandemicznym 2020 r. był na piątym miejscu w Unii Europejskiej.

Hossa na rynku mieszkaniowym jest zwykle fatalną wiadomością dla każdego, kto akurat szuka lokum dla siebie. Ceny mieszkań rosną wtedy szybciej niż płace, więc ich realna dostępność spada. Tak też było w ubiegłym roku, gdy płace rosły prawie dwukrotnie wolniej niż ceny nieruchomości mieszkalnych. Narodowy Bank Polski co kwartał oblicza wskaźnik szacowanej dostępności mieszkaniowej, który pokazuje, jaki fragment mieszkania możemy kupić za przeciętną pensję. Na koniec 2020 r. wskaźnik wyniósł ledwie 0,76 m kw., choć jeszcze w 2015 r. wynosił 0,84 m kw. W tym roku nieznacznie wzrósł (do 0,79 m kw.), jednak nadal pod względem dostępności mieszkań jesteśmy biedniejsi niż w połowie ubiegłej

dekady. Mimo tego, że ostatnie lata upływały pod znakiem szybkiego wzrostu gospodarczego i rosnących wynagrodzeń.

Konwersja mieszkań na aktywa

Skoro w drugiej połowie ubiegłej dekady wzrost cen mieszkań zaczął wyraźnie przewyższać inflację, to znak, że sytuacja na rynku mieszkaniowym oderwała się od realnej gospodarki. Mieszkania przestały być traktowane jako dobro podstawowej potrzeby, a stały się aktywami inwestycyjnymi. Rynek mieszkaniowy po woli zamienia się w klasyczny rynek kapitałowy, którego ceny nie zależą od popytu konsumentów, lecz od zachowań inwestorów. Trochę na wzór giełdy, której nikt już nie analizuje w kontekście sytuacji gospodarczej w kraju.

Inwestorzy spekulacyjni napływają szerokim strumieniem do mieszkaniówki przynajmniej od 2016 r., co początkowo nie było specjalnie odczuwalne. Według danych NBP jeszcze w połowie 2015 r. udział środków własnych (czyli, upraszczając, kupowanie miesz-

kań za gotówkę) w przypadku nowych lokali wynosił 59 proc. Tak więc środki własne pokrywały nieco ponad połowę wartości ówczesnych transakcji na rynku pierwotnym. Pozostała część została pokryta z kredytów. Jednak od końca 2016 r. udział środków własnych zaczął szybko rosnąć. Na koniec 2017 r. już trzy czwarte wartości transakcji mieszkaniowych na rynku pierwotnym sfinansowane było środkami własnymi. Podobnie było też na koniec 2019 r. W pierwszym kwartale tego roku udział środków własnych wyniósł równie 70 proc.

Te dane jasno wskazują, że rynek mieszkaniowy staje się domeną inwestorów, a nie lokatorów. Mieszkania za środki własne kupuje się przede wszystkim w celu zarobienia na nich. Według NBP tylko jedna czwarta nabywców kupujących lokale, aby w nich zamieszkać, pokrywa koszt w całości ze środków własnych. W przypadku zakupu mieszkań w celu ich odsprzedaży z zyskiem udział środków własnych wynosi ponad dwie trzecie. Obecnie już prawie połowa →

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 151/20 toczy się postępowanie z wniosku Teresy Grabiec-Chudzikiej o stwierdzenie nabycia spadku po Tadeuszu Korbuszewskim, s. Teofila i Genowefy, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Młynarskiej 30, ur. 12 września 1934 r. w Nasielsku, zm. 5 września 2018 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

→ kupujących mieszkania na rynku wtórnym robi to, by je wynająć lub odsprzedać z zyskiem. Co ciekawe, wśród sprzedających nadal zdecydowaną większość (dwie trzecie) stanowią zwyczajni lokatorzy, którzy zamierzają zmienić mieszkanie na inne. Najwyraźniej większość inwestorów jeszcze nie zaczęła realizować zysków, przekonana, że w nadchodzącym czasie ceny ich aktywów mieszkaniowych nadal będą rosły.

Złoty czas deweloperów

Pod koniec czerwca prasa informowała o rekordowym zakupie hurtowym mieszkań. Jeden z nordyckich funduszy za jednym zamachem nabył mieszkania w stolicy o wartości stu milionów euro, a więc prawie pół miliarda złotych. Inwestorzy instytucjonalni stanowią jednak margines kupujących. 82 proc. nabywców mieszkań na rynku wtórnym to obywatele polscy, a kolejnych 11 proc. – obywatele innych krajów.

Znaczną część inwestorów stanowią więc zamożni Polacy, którzy lokują w mieszkaniach oszczędności. Skłaniają ich do tego stopy procentowe, które umożliwiają osiąganie zysków na zwykłych lokatach, oprocentowanych dziś na rekordowo niskim poziomie. Podobnie zresztą jak obligacje Skarbu Państwa. Obecnie inwestycje w mieszkania są najatrakcyjniejszym sposobem lokowania nadwyżek kapitału – zapewniają wysokie zyski bez przesadnego ryzyka, które wiąże się np. z inwestowaniem w akcje.

Konwersja mieszkań na aktywa finansowe jest na rękę deweloperom, którzy mogą oferować ceny przewyższające zdolności nabywcze zwyczajnych kupujących, gdyż w ich miejsce bez problemu znajdą chętnych inwestorów. Według NBP w pierwszym kwartale tego roku stopa zwrotu z kapitału własnego (ROE) deweloperów mieszkaniowych wyniosła 23 proc. Rok wcześniej – 19 proc. i już wtedy była bardzo wysoka. Dla porównania w sektorze informatycznym i motoryzacyjnym ROE wynosi 9-10 proc. W Warszawie przeciętna cena netto metra kwadratowego mieszkania to 10 tys. zł, z czego zysk deweloperski wynosi 3 tys. W Krakowie przy cenie ponad 8 tys. za metr zysk deweloperski to przeszło 2 tys. Deweloperzy mieszkaniowi to dziś najbardziej intratna branża w Polsce, która wymiennie korzysta z mieszkaniowej hossy.

Bez przeciwwagi

Pozornie najprostszym rozwiązaniem problemu drożejących mieszkań jest podniesienie stóp procentowych. Dzięki temu inne sposoby lokowania oszczędności stałyby się wtedy nieco bardziej atrakcyjne, co przyciągnęłoby do nich inwestorów – a odciągnęło z rynku mieszkaniowego. Problem w tym, że stopy te musiałyby zostać podniesione bardzo wyraźnie, co równocześnie podniosłoby raty kredytobiorców hipotecznych, nie dając żadnej gwarancji, że inwestujący w mieszkania przerzucą kapitał w inne miejsce. Poza

tym niskie stopy ułatwiają kupno lokalu w celach mieszkaniowych.

W bogacącym się społeczeństwie nieuchronny jest stopniowy napływ inwestorów na rynek mieszkaniowy i nieruchomości zawsze będą atrakcyjną formą lokowania nadwyżek finansowych. Jedynym rzeczywiście skutecznym narzędziem hamującym ceny mieszkań jest mieszkalnictwo publiczne. Obecnie hegemonem na polskim rynku mieszkaniowym są deweloperzy – inne podmioty, takie jak gminy czy TBS-y, odpowiadają za nieistotny margines oddanych mieszkań. Przeciwwagą mogłoby być „Mieszkanie plus”, niestety program ten spalił na panewce. Polski Ład jest dowodem na to, że polski rząd zrezygnował z prowadzenia aktywnej polityki mieszkaniowej. Zaproponowane tam rozwiązania dopłat do kredytów stanowią powrót do przeszłości – czyli do takich programów jak „Rodzina na swoim” czy „Mieszkanie dla młodych”, które nie zahamowały wzrostu cen, za to umożliwiły bankom nakładanie wyższych marż.

Państwowy deweloper, oferujący tańsze mieszkania na wynajem, mógłby być świetną alternatywą dla młodych szukających własnego dachu nad głową, a konkurencja z jego strony skutecznie hamowałaby wzrost cen na rynku komercyjnym. Niestety jego utworzenie wymagałoby solidnej pracy koncepcyjnej, a także doskonałej organizacji. Rządzący Polską udowodnili już, że rozwój usług publicznych nie jest ich mocną stroną.

© PIOTR WÓJCİK

TP Historia: WIŚLNA 12

Opowieść o „Tygodniku Powszechnym”,
czyli wszystkie światy
pod jednym adresem

- Co się wydarzyło w ostatnim pokoju na lewo
- Zebrania pod Najjaśniejszym Panem
- Zbyt krótka sofa dla Herberta
- Ks. Boniecki w kuchni
- Obiady czwartkowe i redakcyjna drużyna piłkarska
- Sensacje historyczne: autor, który został papieżem
- Uroki Ziuty i różdżka asystenta kościelnego



weź, czytaj!

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Wydanie dostępne jako ebook
na powszech.net/wislana12
lub w wersji papierowej – zamów na:
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

DOROTA

Masłowska:

Karczma czasu



PRZEDSTAWIAM WAM MIEJSCE NIEZWYKŁE. Przedstawiam wam miejsce, gdzie trwa Bałagan Czasów. Jest to zjawisko przestrzenne i estetyczne, charakterystyczne dla rejonów współwystępowania przeciwnych prądów czasowych. Powstaje tam swoisty wir, zasys. Wyczuwając to, zarówno ludzie, jak i rzeczy zdają się instynktownie tam grawitować, by skryć się przed pędem, nieuchronnym upływem, groźbą aktualizacji. Taka właśnie jest Karczma.

Niewielki pawilon przy Towarowej już samą nazwą odzługuje się od współczesności, przywołując zamierzchnie dzieje. Jednak nie doprecyzowując ich. Karczma nierycerska i niełajdacka, niemyśliwska; karczma żadna. „Zimna Coca-Cola” – głosi wciąż czerwony baner, choć już tkwiące pod nim „Golonka” i „Kiełbasa” są całkiem zdekoloryzowane, odwodnione. Karczma stoi na ziemi niczyjej, wielokacie trawnika na styku wykluczających się jakości architektonicznych. Po jednej stronie – hotel moloch z tysiącem identycznych pokoi z tymi samymi obrazami-rozmazami i lodówkami pełnymi dziecięcych miniatur Ballantinesa i Toblerone. Cały dzień szamoczą się przed nim zunifikowani korpulencje wykonujący złożone układy choreograficzne z płachtami garniturów i wsiadaniem do taksówki. Panuje tu dość banalny czas europejski. Stojąc twarzą do srebrzącej się w słońcu fasady, za plecami mamy Towarową. To godna Moskwy wielopasmówka rycząca monotonnie silnikami, klaksonami, wyścigami motocykli, syrenami karatek. Reprezentuje ona typowy czas stołeczny: czas ludzi spieszących się niejako z rozpędu, z przyzwyczajenia, dla sportu, dla stylu. Po drugiej stronie Karczmy – ulica Srebrna, przedwojenne kamienice pomalowane na abstrakcyjnie wstrętne kolor policyjnego munduru. Nie znam arkanów ich termomodernizacji, ale tę szokującą barwę przypisywałabym zaocznie szalonym latom dwutysięcznym. Tak jak i elewację górującego nad Karczmą bloku z wielkiej płyty w kolorze „brzoskwinia/spalina”. Tu z kolei schnące na balkonach ręczniki z żagłówkami, zemdłone pelargonie i okna zaciągnięte folią przeciwsłoneczną wskazują czas letni. Sezon ogórkowy.

Zlokalizowana w chaosie czasów, Karczma zbiera w sobie wszystkie te sprzeczne vibracje, jednocześnie nie ulegając im. Gdzie tak wielu się bije, ona korzysta, tworząc rodzaj enklawy, nietajemniczego ogrodu z czerwonymi parasolami Królewskiego. Sam jej budynek to trochę płyty pilśniowej, trochę plastikowych witraży z Castoramy; typowa architektura przybudówki. Wewnątrz wyeksponowano różne nieprzemysłane starocie, szumy starych płyt. Zegary z kukułką, narty, piąte koła u wozu, beczki. Ten pozbawiony ładu skład zdradza, że lokal ma naturę marzenia. W jego pokraczną es-

tetykę wpisana jest pewna chwilowość, ulotność – siedząc tu, w samym centrum, kilka minut od dworca, wie się, że to jakiś odpał, że to nie ma prawa tak być, trwać; musi zniknąć i zamienić się w coś wielkiego, srebrnego i z pustym Starbucksem na dole. Trzeba szybko pić to piwo, nim zamieni się w latte bez laktozy.

Albo przeciwnie: rozkoszować się zawieszeniem praw logiki i wzrostu, pysznym i zaszczepnym bezsensem tego miejsca. Jego egalitarną klientelą. Ilu różnych ludzi postanowiło przerwać udrękę upalnego dnia za pomocą piwa i kiełbaski z frytkami. Może nie tak znowu wielu, ale łączyło ich jedno: żadnych smoothies, żadnej komosy ryżowej, żadnego piwa za piętnaście złotych i wytatuowanych czternastoletnich barmanów zwracających się do starszych ludzi per ty. Menu jest krótkie i na temat; raczej kierowane do mężczyzn, którzy nie wierzą w żadne zdrowia i fitnessy. Ta niechęć do nowinek zdaje się kształtować ich ciała, uwydatniając ich przednie części i napinając tkaniny kupionych im dawno przez żony w korzystnych wielopakach T-shirtów z napisami „Sport”, „Speed” i „Turbo”. Od czasu do czasu zjeżdżają jednak też ze ścieżki rowerowej cykliści i łyżworolkarze, by zdjawszy na chwilę kaski, zrównoważyć nadmiar sportu zimnym Belfastem. Przejeżdża przygarbiony Edi wiozący na wózku dziecięcym chybliwy tort złożony z lodówki, wanienki i innych metabolitów pobliskiego osiedla.

Bezplodny miejski upał topi dni, pozbawia je konsystencji i kształtu. Toczą się one w slow motion; ledwie żywi staruszkowie suną od ławki do ławki z zamglonym woreczkiem czereśni. I w Karczmie letni wieczór wolny jest od pośpiechu. Choć dobiega godzina zamknięcia, karoca nie zamienia się w dynię. Ot, właściciel zamyka kolejne parasole Królewskiego. Jeden niestety razem z siedzącym wciąż przy stole klientem, mężczyźni śmieją się jak w reklamie telefonii komórkowej Idea. Trzeba to powiedzieć jasno: gospodarz Karczmy jest niezwykle miły i gościnny. Jego twarz może być zamyślona i chmurna, ale gdy go o coś zagaść, natychmiast rozpromienia się w nieśmiałym uśmiechu człowieka, który lubi ludzi. Ubrany jest on również w opinającą się na piwnych krągłościach kolorową odzież bawełnianą z napisami. Dzięki temu zachował wygląd starego brzdąca czy też chłopca w średnim wieku. Jakby bezustannie przebywając w strefie Bałaganu Czasów, poddawany regularnie jego promieniowaniu, młodził i starzał się jednocześnie. ©

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Sanoku, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 53/21 zezwolił wnioskodawcy Krzysztofowi Gądkowi na złożenie do depozytu sądowego kwoty 45 010 zł (czterdzieści pięć tysięcy dziesięć złotych) tytułem spłaty zasądzonej od wnioskodawcy Krzysztofa Gądka na rzecz uczestnika Jana Gądka s. Marii i Mikołaja, postanowieniem Sądu Rejonowego w Sanoku z dnia 26 marca 2020 r. – w sprawie I Ns 136/19 o zniesienie współwłasności.

Depozyt może być wydany Janowi Gądkowi na jego wniosek. Sąd wzywa Jana Gądka do odbioru depozytu w terminie 3 (trzech) lat od ogłoszenia – pod rygorem przejścia depozytu na rzecz Skarbu Państwa.

PIN ZA BÓG ZAPŁAĆ

W czasie pandemii załamały się finanse parafii.
Czy zmiana w podejściu do zbierania pieniędzy w Kościele uratuje sytuację?

MARIUSZ SEPIOŁO



BIAŁE BŁOTA KOŁO BYDGOSZCZY. OSIEDLE domków jednorodzinnych, cicha, spokojna okolica. Niedaleko restauracja, kawiarnia, sklepy. Blisko do szosy ekspresowej i lotniska. W centrum nowoczesny kościół. Wokół schłodzone alejki, starannie przyszyty trawnik, ładnie wykończona plebania.

Jest dzień powszedni, środek tygodnia. Kościół jest pusty. Do przedsionka można wejść, ale drzwi do nawy głównej zamknięte. Do środka można zajrzeć przez wysokie przeszklenie.

Po lewej stronie, tuż za rzędem ławek stoi ofiaromat. Przypomina trybunę do wystąpień, z jasno oświetlonym ekranem dotykowym zamiast pulpitu. Wyglądem wpisuje się w estetykę świątyni.



– Raz daję na tacę, raz wpłacam przez ofiaromat. Od czasu do czasu przelewam na konto parafii. Świat się zmienia, technologia idzie do przodu. I bardzo się cieszę, że nasz proboszcz za nią nadaża – mówi parafianka, którą spotykam obok kościoła. Opowiada, że kiedy ks. Edward Wasilewski, proboszcz parafii pw. Chrystusa Dobrego Pasterza w Białych Błotach, ogłosił, że w kościele stanie ofiaromat, w ławkach rozległy się gromkie brawa. Sukces był tak duży, że z czasem w parafii zrezygnowano z tradycyjnej tacy.

Według firmy, która jako pierwsza wprowadziła na rynek ofiaromaty, początkowo urządzenie spotykało się z nieufnością księży i wiernych. Ale wieść o e-tacy rozchodziła się pocztą pantoflową i decydowało się na nią coraz więcej parafii. Dziś ofiaromaty działają w większości diecezji w Polsce. Najwięcej jest ich w archidiecezjach warszawskiej, krakowskiej i wrocławskiej.

Czy ich błyskawiczna kariera to tylko efekt pandemii? A może ofiaromaty to odpowiedź na jakąś głębszą potrzebę, która przy okazji się ujawniła? Jedno jest pewne: w kwestii kościelnej tacy zachodzą gwałtowne i być może nieodwracalne zmiany.

Taca po pandemii

Ich katalizatorem stała się bez wątpienia pandemia koronawirusa. Już w marcu 2020 r. pisaliśmy w „Tygodniku”, że skutki zamrożenia życia gospodarczego i społecznego dotyczą także pustych kościołów.

W ponad 10,3 tys. parafii, w których posługuje 24,7 tys. księży (dane Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego za 2019 r.), pandemiczny kryzys było widać jak na dłoni. W podreperowaniu finansów nie pomogła kołęda, bo w pandemii po prostu się nie odbyła. Nie pomogły nawoływania do przelewów na konta parafii, a kroplą w morzu potrzeb były – otrzymywane przez część parafii – dotacje na grunty rolne, dzierżawy tegoż gruntu, prowadzone przez niektóre parafie wynajmy nieruchomości czy administrowanie cmentarzami. W pewnych okresach księża udzielali sakramentów,

za które otrzymywali ofiary, ale wielu wiernych odwoływało śluby i chrzty najpierw w obawie przed zakażeniem, potem w obawie przed gryzwą.

Sytuacja wymusiła konkretne rozwiązania. Przykład szedł z góry: to papież Franciszek zmniejszył wynagrodzenia kardynałów o 10 proc. W Polsce w 2020 r. bp Ignacy Dec – wtedy jeszcze ordynariusz świdnicki, dziś emeryt – wydał w sprawach finansów kościelnych dwa dekrety. Pierwszy traktował o odroczeniu płatności, jakie cyklicznie składają proboszczowie do kasy kurii, drugi zobowiązywał wikariuszy otrzymujących wynagrodzenie katechetów „z tytułu zatrudnienia na stanowiskach nauczyciela religii w szkołach, przedszkolach, innych instytucjach państwowych” do „wniesienia opłaty w wysokości 25 proc. od otrzymywanych dochodów bądź 1000 zł i wpłacenia do kasy parafialnej”. W ten sposób Kościół przynajmniej tymczasowo ratował się pieniędzmi wypłacanymi katechetom przez państwo (a raczej: podatników).

Dziś, kiedy pandemia wyhamowała i kiedy wierni mogą przychodzić do kościołów w większej liczbie, rzeczywistość domaga się nowych rozwiązań. Kasa kościołów to przede wszystkim taca – według wyliczeń Katolickiej Agencji Informacyjnej stanowi 80 proc. źródeł utrzymania parafii. Tymczasem trwająca miesiącami niepewność sprawiła, że jesteśmy mniej skłonni sięgać do kieszeni, bez względu na to, jaki jest cel wydatków. Pieniądże liczymy bardziej skrupulatnie i częściej myślimy o odłożeniu na tzw. czarną godzinę. A wiele osób kryzys dotknął bezpośrednio: straciły źródła utrzymania i ostatnimi oszczędnościami nie mają zamiaru dzielić się z proboszczem.

Taca stała się skromniejsza – to teza wywiedziona przede wszystkim z obserwacji księży, badaczy Kościoła i wiernych, bo oficjalnych kościelnych statystyk próżno szukać. ISKK jej nie ma, Konferencja Episkopatu – jak słyszymy w biurze prasowym – takich danych nie gromadzi, trzeba pytać w diecezjach. Tu odpowiedź jest podobna: informacje finansowe posiada każda parafia z osobna.

Pytani przez nas księży przyznają: dochody z tacy wyraźnie spadły. Czasem o 20 proc., czasem nawet 40-60. – Przed pandemią do naszego kościoła przychodziło ok. 650 osób, co stanowi 9 proc. →

→ parafian – mówi wikariusz z dużej parafii na zachodzie Polski. Teraz przychodzi 300-400. Frekwencja przekłada się na datki.

Nowe narzędzie

Ksiądz tłumaczy: taca nie tylko się zmniejszyła, ale przede wszystkim zmieniła. Dziś swoje pieniądze chcą oddawać parafiom przede wszystkim najsilniej zaangażowani. A ci bywają hojniejsi. – Z moich obserwacji wynika, że ci, którzy dawali na tacę dwa złote, teraz dają pięć, dziesięć. Są z całą pewnością tacy, którzy zdają sobie sprawę, że świątynie naszej parafii utrzymywane są z ofiar, więc tym chętniej się do tego dokładają – mówi wikary.

Proboszcz z niewielkiej parafii w Wielkopolsce widzi wyraźny spadek ofiar na tacę. – I to nie tylko w pandemii, która oczywiście była pod tym względem dramatyczna – mówi. – Jeszcze przed pandemią ludzie zaczęli dawać mniej. Mniej były wpływy z kołеды. Mniej są w stanie dawać za sakramenty, chociaż ja wychodzę z założenia, że za pogrzeb i ślub co łaska, za chrzest wspólnie negocjujemy i nie są to stawki wygórowane. Ludzie jeszcze masowo nie odchodzą z Kościoła, ale są coraz bardziej nieufni. Powiedziałbym wręcz: wkurzeni. Dlatego pieniądze też dzielą się niechętnie.

– Rzeczywiście, wiele parafii odczuwa znaczny spadek wsparcia finansowego ze strony wiernych. Z drugiej strony znam wiele miejsc, gdzie pandemia spowodowała większą mobilizację darczyńców. To zgromadzenia, które od lat dbają o swoich przyjaciół. W chwili kryzysu miały kogo poprosić o pomoc i tę pomoc otrzymały – mówi Anna Anioł, autorka książki „Fundraising dla ludzi Kościoła”.

Jednym ze sposobów na nadrobienie strat stały się dla wielu parafii ofiaromaty. Ich działanie jest proste. Na ekranie dotykowym wybieramy kwotę lub ustalamy ją indywidualnie. Płacić możemy jak w parkomacie – zbliżając kartę, telefon lub zegarek. Po przelewie na ekranie wyświetla się napis: „Dziękuję”.

W Mistrzejowicach, w kościele, w którym stanął pierwszy ofiaromat, ustawiły się do niego kolejki. – Jeden z proboszczów zamówił ofiaromat tuż przed wybuchem pandemii. Kilka miesięcy później zadzwonił do nas z podziękowaniem, że e-taca uratowała jego parafię przed finansową zapaścią – mówi Jakub Gliński z katolickiej wspólnoty Głos na Pustyni z Kra-



PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA GAZETA

Coraz częściej sposobem na dopinanie uszczuplonego parafialnego budżetu jest nie tylko e-taca, ale profesjonalny fundraising.

kowa, w której powstał pomysł ofiaromatów. Reprezentuje jednocześnie firmę zBG, która e-tacę zaprojektowała i spopularyzowała w parafiach jako pierwsza. Podkreśla: – W parafiach, w których ofiaromaty się pojawiły, wyraźnie wzrosły przychody z datków. Mowa tu o wzroście z listopada i grudnia 2020 r., w stosunku do pierwszego półrocza pandemii.

Gliński tłumaczy, że początkowo to księża byli wobec urządzenia nieufni. Co zdecydowało, że tak wielu się do niego przekonało? Najpierw wymienia czynniki techniczno-praktyczne: coraz więcej Polaków nie nosi przy sobie gotówki, woli płatności mobilne. Ofiara składana kartą, telefonem lub zegarkiem dla wielu jest prosta, bo naturalna. Jak zapłata za zakupy.

To kolejne wytłumaczenie fenomenu e-tacy: wynika on z ogólnego trendu dotyczącego preferencji płatniczych Polaków. Jak pokazują badania dr. hab. Michała Polasika z UMK w Toruniu z 2020 r. (wykonane na zlecenie fundacji Polska Bezgotówkowa), udział płatności bezgotówkowych w Polsce to prawie 50 proc., podczas gdy jeszcze pięć lat temu wynosił 30 proc. W płatnościach kartą Polacy cenią sobie przede wszystkim wygodę,

szybkość i bezpieczeństwo. Co ciekawe, kościelne ofiaromaty to niemal awangarda, bo – jak czytamy w raporcie z badań – w większości branż Polacy wciąż spotykają się z poważnymi ograniczeniami w zakresie dostępności płatności bezgotówkowej. Tymczasem Kościół te ograniczenia znosi.

Technologia płacenia to jedno. Drugie to ludzkie potrzeby. – Ogromne znaczenie, jeśli chodzi o hojność wiernych, ma relacja parafian z Kościołem. W ofiaromatach wprowadziliśmy opcję wpisania swojego numeru telefonu, na który później przysyłane są podziękowania za ofiarę. To bardzo istotny element tworzenia więzi ofiarodawcy z proboszczem. Widać, że ludzie potrzebują silnej, autentycznej relacji z Kościołem. Przy tradycyjnej tacy nie zawsze usłyszą „dziękuję” – mówi Gliński.

Kłopotliwa innowacja?

Jednak nie każdy wita innowację z taką samą otwartością. – Ofiaromaty to teoretycznie dobry pomysł: wyjście naprzeciw współczesności, kiedy większość ludzi przestawia się na płatności elektroniczne. W praktyce mogą okazać się kolejnym problemem – mówi ks. Łukasz Żołubak z parafii Matki Bożej Fatimskiej w Gubinie. – Mnie odstręczała od tego pomysłu opinia, że oto „księża znowu wyciągają rękę po pieniądze”. Kościół, który stara się nadążyć za światem, od razu staje się obiektem kpiny, a co najmniej nieufności. Z jednej strony wymaga się od niego pójścia z duchem czasu, z drugiej nowinki technologiczne często są krytykowane jako zbyt nowatorskie. Gdy zarządca parafii daje wiernym możliwość wpłaty przez np. ofiaromat, jest to postrzegane jako kolejna próba „wyłudzenia”, „wyżebrania” pieniędzy od biednych owieczek.

Wikary podkreśla: proboszczowie, którzy muszą utrzymać kościół i budynki parafialne, skądś pieniądze na ich utrzymanie muszą wziąć. Dlatego e-taca może być po prostu koniecznością. – Rozumiem próbę wyjścia naprzeciw współczesności, w której za wszystko można zapłacić kartą czy blikiem. Jednocześnie może to być dużo bardziej przejrzysty sposób finansowania, bo wszystko księguje bank. Dużo prościej o przejrzystość finansową i rozliczenie. Może jest to szansa, by zmniejszyć finansowe funkcjonowanie parafii? – zastanawia się ksiądz.

– Z punktu widzenia religijno-moralnego w e-tacy nie ma nic zdrożnego. Jeśli przyjmiemy, że taca jest czymś normalnym, elementem liturgii, częścią mszy, to forma, w jakiej będą zbierane pieniądze, pozostaje kwestią wtórną – mówi dr Tomasz Sobierajski, socjolog religii z Uniwersytetu Warszawskiego.

Proboszcz z Wielkopolski przytacza obrazek ze swojego kościoła: małżeństwo w podeszłym wieku stoi przed ofiaromatem. Przyglądają się dłuższą chwilę, kręcą głowami z zakłopotaniem. Wydaje się, że za chwilę odejdą zdezorientowani. Ale jest inaczej: robią wpłatę, a po mszy przychodzą do proboszcza i zachwalają: „Ach, to cudowne, czego to ludzie nie wymyślą!”.

W sensie kulturowym, tłumaczy socjolog z UW, ofiaromaty to wyraźny krok do przodu. Ukłon w stronę młodszych i tych, którzy są bliscy odejścia z Kościoła. To zmiana szczególnie odczuwalna w dużych miastach, wszędzie tam, gdzie postępuje laicyzacja.

– Z kolei tam, gdzie więzi z Kościołem ciągle są tradycyjnie silne, e-taca zdejmuje z wiernych pewien przymus społeczny. W mniejszych społecznościach tradycyjna taca pełni rolę „sprawdzianu”: kto dał, kto nie dał, a dla tych z sokolim wzrokiem: ile dał. Nikt nie chce być tym, kto nie daje – mówi Sobierajski.

Ofiaromat tę presję nieco redukuje. Nikt raczej nie zagląda sąsiadowi przez ramię, by podejrzeć, ile wpłacił. – Osoby, które na tradycyjną tacę dają niewiele, mogą z tego powodu odczuwać wstyd, zażenowanie. Z kolei osoby, które w swoim mniemaniu dają dużo, mogą czuć satysfakcję i wyższość wobec tych, którzy na tacy kładą mniej. W ich przypadku, przy braku tradycyjnej tacy, ta potrzeba poczucia wyższości może być nie do zrekompensowania – mówi dr hab. Agata Gąsiorowska, prof. Uniwersytetu SWPS, zajmująca się psychologią ekonomiczną, zachowaniami konsumenckimi i psychologicznymi funkcjami pieniądza.

Bezgotówkowa ofiara wiąże się z zupełnie innymi mechanizmami psychicznymi. – W psychologii znane jest zjawisko *cash pain*, czyli uczucia porównywalnego z bólem w momencie płacenia za towary lub usługi gotówką – mówi Agata Gąsiorowska. – Taki „ból” nie towarzyszy nam jednak w przypadku transakcji kartą, zwłaszcza kredytową, ponieważ

nie widzimy oddawanej gotówki, nie odczuwamy jej materialnie. Osoby o głębokiej duchowości mogą odczuwać ofiarę składaną wirtualnie jako niewypełnienie pewnej powinności. Jako niewystarczające poświęcenie na rzecz Kościoła.

Transparentność tacy

Jest jeszcze kwestia jawności. Wyzwanie stojące przede wszystkim przed księżmi. – E-taca, ewidencjonowana przelewami bankowymi, wymusi na parafiach dużo większą przejrzystość finansową – uważa Tomasz Sobierajski.

– Ludzie nie wiedzą, co się dzieje z ich pieniędzmi, czy są dobrze zarządzane i wydawkowane. I to przede wszystkim powinno się zmienić w podejściu do finansów Kościoła – mówi Szczepan Kasiński, specjalista od fundraisingu doradzący m.in. duchownym. – Brakuje rad ekonomicznych przy parafiach, systemu kontroli wydatków. Stąd mity o olbrzymim bogactwie księży, mniejsza hojność wiernych czy po prostu brak zaufania. Tam, gdzie w parafii księża składają sprawozdanie wspólnocie, tam rośnie hojność. Tam, gdzie jest nimb tajemnicy – spada.

Dodajmy, że zgodnie z prawem kanonicznym powołanie parafialnej rady ekonomicznej jest obowiązkowe.

Coraz krytyczniej patrzymy na system finansowania Kościoła w Polsce. W sondażu Ipsos dla portalu OKO.press z marca tego roku 56 proc. ankietowanych jako „zdecydowanie za dużą” oceniło „pomoc finansową, jaką Kościół otrzymuje od państwa”. W domyśle: przywileje podatkowe i bezpośrednie wsparcie z budżetu np. dla kościelnych organizacji.

Według Szczepana Kasińskiego Kościół swoje finanse powinien budować

przede wszystkim na dobrowolnych wpłatach. – Oparcie na darowiznach pozwala zachować niezależność, choć kuścisć mogą pieniądze z rozmaitych grantów – mówi. – Czuję opór przed sięganiem przez Kościół, rozumiany jako wspólnota wiernych, po środki publiczne, których z definicji jest mało, więc toczy się o nie zaciekle batalia, co powoduje insynuacje o sojuszu ołtarza z tronem, zakulisowych rozmowach i niejasnych powiązaniach. Po prostu pojawia się wrogość, a chyba nie o to nam chodzi.

Fundraiser podpowiada: ważna i przyszłościowa jest dywersyfikacja źródeł utrzymania. – Dziś nie wystarcza ta mityczna taca, czas wejść w nowe narzędzia: kampanie zbiorcze w internecie, dbanie o darczyńców, wysyłanie do nich listów z podziękowaniem i przedstawieniem sposobu wykorzystania otrzymanych środków – mówi Kasiński. – Tu chlubnym przykładem jest budujący się kościół w Radzyminie, gdzie proboszcz regularnie pisze do darczyńców, pokazując efekty, dziękując za zaangażowanie.

Może więc sposobem na odrabianie strat jest nie tylko e-taca, ale profesjonalny, znany z trzeciego sektora fundraising? – Jego kluczem jest zapraszanie ludzi do zmiany świata. Bez względu na to, czy jest to nowe dormitorium dla dziewczynek w Kenii, budowa kościoła czy ufundowanie wyjazdu na oazę parafialną dzieciom z uboższych rodzin – mówi Szczepan Kasiński. – Fundraising to tylko nazwa procesu. To nie żebractwo (w sutannie, habicie czy garniturze), tylko proponowanie udziału w czymś dobrym. Korzyści? Zbudowanie grona tysięcy darczyńców, dla których to, co robimy, jest ważne i potrzebne. Przeszkody, ograniczenia? Jeśli istnieją, to wyłącznie w naszych głowach. © MARIUSZ SEPIOŁO

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Brzesku, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 165/20 toczy się postępowanie z wniosku Banku Handlowego w Warszawie S.A. w Warszawie z udziałem małoletniej Julii Łopatki reprezentowanej przez ojca Jarosława Łopatkę, Gminy Zakliczyn o stwierdzenie nabycia spadku po Janinie Teresie Łopatce, c. Stanisława i Marii, zm. 13 marca 2019 r. w Zakliczynie i tam ostatnio przed śmiercią zamieszkałej. Dzieci oraz wnuki spadkodawczyni odrzuciły spadek.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Brzesku, I Wydział Cywilny, i udowodnili swe prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



Mural autorstwa Gioacchino Lamanny na ścianie kościoła Świętej Marii de Meridie w Catanzaro, gdzie dochodziło do rzekomych objawień. Kalabria, Włochy.

Objawienia na szafie

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Franciszek rozwiązał założony ponad 40 lat temu na południu Włoch Ruch Apostolski. Ten radykalny krok oznacza zerwanie z polityką poprzednich papieży.

STOSOWNY DEKRET PODPISALI KARDYNAŁOWIE: Luis Ladaria, prefekt Kongregacji Nauki Wiary, Beniamino Stella, prefekt Kongregacji ds. Duchowień-

stwa, i Kevin J. Farrell, prefekt Dykasterii ds. Osób Świeckich, Rodziny i Życia. Odczytano go w bazylice Niepokalanej w Catanzaro, stolicy Kalabrii, w obec-

ności abp. Vincenza Bertolonego, który jest także przewodniczącym Konferencji Episkopatu Kalabrii.

Przygnębienie arcybiskupa

Ruch Apostolski został oficjalnie uznany przez Kościół katolicki na mocy dekretu arcybiskupiego archidiecezji Catanzaro-Squillace w 2001 r. Stanowisko to ówczesnie piastował abp Antonio Cantisani. Arcybiskup Bertolone nie potrafił ukryć przygnębienia, kiedy komentował wyrok Watykanu, ale oczywiście zapewnił, że podporządkuje się decyzji przełożonych, „przyjmując dekret w duchu wiary i posłuszeństwa eklezjalnego, miłując Kościół także w tej chwili”. „Módlmy się, aby ten dekret został przyjęty jako akt Ojca Świętego, którego celem jest dobro naszej diecezji oraz dobro całego Kościoła. Módlmy się, aby wszystko poszło w dobrym kierunku” – wzywał. Zapewnił też, że „dobro wytworzone przez Ruch przez te wszystkie lata nie zostanie utracone”.

Dekret jest następstwem „wizyty apostolskiej” komisji teologów, w której znaleźli się m.in. emerytowany arcybiskup Oristano Ignazio Sanna, ks. Mauro Cozzoli, emerytowany profesor teologii moralnej na Papieskim Uniwersytecie Laterańskim, i o. Agostino Montan, emerytowany profesor prawa kanonicznego tego samego uniwersytetu. Watykańska kontrola trwała od 13 października zeszłego roku do 17 kwietnia tego roku. Watykan zdecydował o wysłaniu komisji z powodu, jak podano w dekreście, licznych niepokojących sygnałów od członków wspólnoty. W czasie półrocznej wizyty komisja przeprowadziła szereg rozmów i zebrała dowody, które Watykan uznał za wystarczające, by podjąć decyzję o rozwiązaniu ruchu.

Ruch został założony 3 listopada 1979 r. przez Marię Marino, rzekomą jasnowidzkę, która miała ujrzeć postać Jezusa Chrystusa na drzwiach szafy. Marino mówiła także o wizjach Maryi Dziewicy wzywającej ją do „przypominania słowa Boga w świecie, który o nim zapomina”. Dość szybko między Marią Marino a niektórymi liderami laickimi oraz księżmi w Kalabrii powstała silna więź. Z czasem ruch rozgałęził się do Szwajcarii, Niemiec, Indii, Beninu, Kamerunu, Konga, Madagaskaru, Ekwadoru, ale pozostał przede wszystkim fenomenem południa Włoch, wspieranym przez lokalnych księży i biskupów, a także samego Jana Pawła II.

To za jego czasów uzyskał on oficjalne uznanie. Później wspierał go również Benedykt XVI. Statutowymi celami Ruchu były: „Upamiętnianie Słowa Bożego przez ewangelizację i katechezę, mocne powiązanie wiary i życia jego członków, apostołska animacja różnych parafii, zwłaszcza tych, gdzie panuje pilna tego potrzeba”.

Uwagi krytyczne

Dekret zaczyna się od przypomnienia, że „w ciągu czterdziestu lat istnienia Ruch Apostolski rozrósł się, znalazł zwolenników wśród wiernych świeckich, zainspirował wiele powołań, ale bardzo szybko napotkał trudności i problemy”. Do przeprowadzenia kontroli skłoniły Watykan „liczne uwagi krytyczne napływające przez wiele lat w odniesieniu do kwestii doktrynalnych i dyscyplinarnych”.

Dekret rysuje ponury współczesny obraz stowarzyszenia. Wymienia m.in. niejasny status, głębokie podziały wewnętrzne, wytworzenie się wąskiej elity kierującej ruchem i ograniczenie roli pozostałych jego członków, „powierzchnowość doktrynalną charakteryzującą teksty, nardżiny i działalność Ruchu”, niewłaściwe zarządzanie majątkiem. Uznano też, że

przywództwo Ruchu ma bardziej charakter rodzinny, a jego działalność w niewielkim stopniu jest regulowana przez statut.

Ponadto Watykan stwierdził, że nadprzyrodzone inspiracje założycielki ruchu są, krótko mówiąc, wymysłem (dekret mówi o „nieoryginalności charyzmatu założycielskiego”, a objawienia założycielki określa jako „nie nadprzyrodzone” – *non constat de supernaturalitate*).

Członkowie wysłanej przez Watykan komisji dotarli także do akt biskupiej komisji z 1981 r., powołanej przez tego samego abp. Cantisani, który 20 lat później potwierdził oficjalne uznanie Ruchu ze strony Kościoła. Okazuje się, że już w 1981 r. sześciuosobowa komisja sporządziła protokół jednogłośnie zatwierdzony przez połączone rady prezbiterialne Cantanzaro i Squillace 16 lipca 1982 r., zalecający rozwiązanie Ruchu. Stosowny dokument miał podpisać Cantisani. „Zobowiązanie to zostało zlekceważone”, stwierdza dekret watykański.

„Nie wiedzą, co czynią”

Majątek Ruchu ma zostać przekazany na cele charytatywne. Tym samym dekretem Watykan rozwiązał także siostrzane Sto-

warzyszenie Wiernych Maria Madre della Redenzione, czyli Maryi Matki Odkupienia, które wyrosło „z duchowości” Ruchu Apostolskiego w 2006 r. Jako powód Watykan podał „eklezyjalną niespójność”.

„Ojcie, przebac im, bo nie wiedzą, co czynią” – tak na wieść o decyzji Watykanu zareagowała, cytując Biblię, Maria Marino, w liście do teologa, ks. Costantina di Bruno, który był bliskim współpracownikiem Ruchu, ale w lutym 2020 r. zrezygnował z roli „głównego asystenta kościelnego ruchu”, tłumacząc decyzję „intrygami i jadem niektórych kapłanów”. Maria Marino nadal określa siebie jako sługę Pana, Jego posłańca, którego zadaniem jest przebudzenie ludzi do wiary. „Dlaczego nie powiedziałeś prawdy? Jak mogłeś – pyta kobieta byłego asystenta kościelnego – pozwolić, by prawda została wyparta? Przecież dobrze wiesz, że Ruch Apostolski pochodzi od samego Boga”.

Współpracownicy Marino wysłali list do rzymskiego „Il Messaggero”, znanego z obszernych relacji z życia Kościoła. Napisali w nim, że Marino i jej rodzina nigdy nie usiłowali nadać medialnego szumu jej wizjom ani spekulować na temat tego, czym one były dokładnie. ©

Pół wieku bezczynności

MASSIMO FAGGIOLI, WATYKANISTA:

Rozwiązanie Ruchu Apostolskiego to element spuścizny, którą Franciszek chce zostawić następcy.

BARTOSZ HLEBOWICZ: Z początku chciałem zapytać, dlaczego papież Franciszek rozwiązuje Ruch Apostolski, jeden z oddolnych ruchów, które przecież mocno wspierali Jan Paweł II i Benedykt XVI. Ale po lekturze dekretu pytanie powinno brzmieć: „Dlaczego tak długo takiemu stowarzyszeniu pozwala się istnieć”?

MASSIMO FAGGIOLI: Nie ulega wątpliwości, że Franciszek zaczął nową politykę wobec ruchów apostołskich. Poprzednicy – Jan Paweł II i Benedykt XVI – mieli wobec nich liberalne podejście. Pozwalali, by rządziły się one według własnych reguł. Przysmykali oczy na skandale i różne dziwne zjawiska. Zmianę podejścia Watykanu widać mocno w ostatnim okresie, ale Franciszek od początku pontyfikatu używał innego języka, mówiąc o tych ruchach i bezpośrednio zwracając się do ich przedstawicieli. Postawę papieża można streścić tak: „Grupy te, nawet na poziomie diecezjalnym, nie mogą podążać własną drogą. Są częścią Kościoła. Watykan ma obowiązek je nadzorować i – kiedy trzeba – pomagać”.

Jakie są prawdziwe powody rozwiązania tego ruchu?

Rzeczywiście zdumiewa, że ta decyzja zapadła dopiero teraz. Od dawna było wiadomo – pisano o tym obficie – że w tego typu ruchach nie działa się dobrze. Jan Paweł II i Benedykt XVI to ignorowali. Nie oni jedni zresztą. Cały Kościół tak myślał:

„To są dzieci Ducha Świętego, nawet jeśli błądzą. Te ruchy należy wzmacniać, bo stanowią reakcję na sekularyzację społeczeństw, laicyzację, nowoczesność, promując silną tożsamość, są nam posłuszne i służą naszym interesom”. Niechętnie uważano pewne niedobre procesy i mechanizmy. Nawiasem mówiąc, to samo podejście – zamykanie oczu – stosowano wobec skandali z przemocą seksualną. Kościół uważał, że nowe oddolne ruchy są jego nadzieją i przyszłością.

Czy zarządzenie Franciszka można nazwać decyzją polityczną? Przecież „eklezyjalna niespójność”, „powierzchnowość doktrynalna” czy „nieoryginalność charyzmatu założycielskiego” to nie są problemy, które odkrywa się nagle.

Nie chodzi o politykę po prostu, lecz o wyższy poziom – nazwałbym to decyzją polityki eklezyjastycznej. Dzisiaj niektóre zjawiska, niektóre raporty ocenia się inaczej. Dostrzega się karierowiczostwo, rywalizację o władzę. Zyskujemy coraz lepszą wiedzę o nowych grupach religijnych. ➔

→ Wizja Kościoła, jaką roztacza Franciszek, przeciwna jest grupom zamkniętym. Papież przyjmuje perspektywę długofalową: przez około 50 lat te grupy uważały, że są nietykalne. Franciszek uznał, że czas z tym skończyć.

Dekret wskazuje szereg „nieprawidłowości”, w tym wewnętrzne konflikty, niejasny sposób dysponowania funduszami, wytworzenie się wąskiej elity, w zasadzie grupy rodzinnej, która zamyka usta całej reszcie. Na włoskich portalach można znaleźć pisany kwiecistym językiem, pełen oburzenia atak Paola Marraffa, wnuka Marii Marino, założycielki ruchu, wskazujący, że sytuacja była fatalna: „Przekłęci duchowni, którzyście spiskowali przeciwko niej, nie wystarczyło wam, że wykorzystaliście jej misjonarski zapał, musieliście ją również złożyć w ofierze własnych brudnych interesów. Pewnego dnia będziecie musieli zdać relację przed Bogiem, wiedząc o tym, ponieważ wypełniacie swoje usta Nim, ale krzyżujecie Go każdego dnia. Jakże mi daleko do was i waszych przyjaciół znanych z wszelkiego rodzaju nadużyć, a zwłaszcza z nienawiści. Wiedząc, że to będzie płacz i zgrzytanie zębów. Ponieważ nie służycie Bogu Jezusa Chrystusa, ale brzydkiej i nędznej jego karykaturze, wzbogacenie na cierpiących ubogich”.



ARCHIWUM PRYWATNE

MASSIMO FAGGIOLI (ur. 1970) jest profesorem Uniwersytetu Villanova (Filadelfia, USA), wykładowcą historii Kościoła i teologii historycznej oraz publicystą.

Styl rzeczywiście może rozbawić... Napiecia i konflikty w tego typu grupach są rzeczą naturalną, choć przez lata wyspecjalizowały się one w ukrywaniu ich przed Watykanem. W tym konkretnym przypadku najwyraźniej tak narosły, że nie można już było ich ukryć.

Vincenzo Bertolone, arcybiskup Catanzaro, przewodniczący konferencji Episkopatu Kalabrii, był bardzo przybity, gdy wygłaszał obowiązkową formułę, że należy podporządkować się decyzji Watykanu.

Nie wątpię, że był smutny. Taka decyzja może być ciosem. Często diecezje czy pojedynczy księża bardzo angażowali się we współpracę z tego typu organizacjami. Miesiąc temu Dykasteria ds. Świeckich, Rodziny i Życia wydała dekret regulujący „sprawowanie rządów w międzynarodowych stowarzyszeniach wiernych, prywatnych i publicznych, oraz w innych podmiotach posiadających osobowość prawną”. Wszystkie organizacje katolickie, nawet na poziomie diecezji, muszą mieć aprobatę Watykanu. Ten akt jest doskonałym potwierdzeniem konsekwencji papieża. Inna sprawa, czy uda się objąć kontrolą każdy ruch i organizację.

A zatem nie ma sprzeczności między otwieraniem się przez Watykan na dialog z innymi Kościołami i jednoczesnym zamykaniem na tego typu inicjatywy wewnętrzne?

Absolutnie nie. Ruchy te często same są zaprzeczeniem otwartości, przejawiają silne sentymenty antyekumeniczne, czasem buntują się wobec doktryny i polityki Watykanu. Po pół wieku bezczynności następuje zmiana. Franciszek próbuje otworzyć nową epokę w dziejach Kościoła i po swojemu mierzyć się ze zjawiskiem nowych ruchów. Zobaczmy, czy mu się uda. Tę ostatnią decyzję odczytuję także jako drogowskaz dla następców, spuściznę, którą Franciszek chce im przekazać.

© Rozmawiał BARTOSZ HLEBOWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciółom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Ewangelia dnia zwykłego

PIOTR SIKORA

Bywa, że szukamy go po całym świecie. A Najważniejsze jest zawsze tu, gdzie jesteśmy.

WIERSZYKI DLA DZIECI, NA POZÓR tylko zabawne, mają czasem głęboko mistyczny sens. Jak choćby ten Juliana Tuwima o panu Hilarym, który szukał swoich okularów – niemal w panice, po całym domu – mając je na własnym nosie. Zapewne zdarzają się nam podobne sytuacje, gdy nerwowo rozglądamy się za kluczykami do auta, które tkwią w naszej kieszeni, albo za czapką, którą mamy na głowie. Ale bywamy też jak pan Hilary na znacznie poważniejszym, egzystencjalnym poziomie.

Szukamy tego, co pozwoli nam żyć pełniej, wyraźniej doświadczać świata, orientować się w otaczającej nas rzeczywistości, wiedzieć, dokąd – i po co – zmierzamy. Rozglądamy się za czymś, co byłoby swoistą protezą naszych niedoskonałych zdolności percepcji. Zaglądamy jednak nie tam, gdzie trzeba – na zewnątrz, daleko, w jakieś specjalne (w naszym mniemaniu) „miejsca”, nie mogąc zaś znaleźć, oskarżamy innych ludzi i życiowe okoliczności, że nas z poszukiwanego skarbu okradli.

Utrata

Tracimy zaś „wzrok”, czyli wrażliwość na to, co nas otacza, niejako naturalnie. Odpowiada za to m.in. mechanizm nazywany przez psychologów habituacją – przyzwyczajenie do regularnie doświadczanego bodźca, w wyniku którego nie dochodzi on do świadomości. To wielka zdolność mózgu, czasami niezbędna, by funkcjonować. Gdy przeprowadziłem się ze wsi do miasta, przez pewien czas nie mogłem spać – budził mnie szum ulicy. Po kilku tygodniach, choć szum

pozostał, jaki był, przestałem go słyszeć, śpię lepiej.

Niestety, łatwiej przyzwyczajamy się do bodźców neutralnych i pozytywnych, do negatywnych – trudniej. Gdy skupiam się na pisaniu tego tekstu, przestaję słyszeć śpiew ptaków tuż za oknem. Niewiele głośniejszy zgrzyt koparki, gdzieś w dali zrywającej asfalt, wdziera się do świadomości rozpraszaając myśli. Z ewolucyjnej perspektywy tendencja to zrozumiała: w niebezpiecznym dla naszych przaprzodków środowisku kontemplacyjny zachwycający się grą światła na liściach, a ignorujący sygnały o zagrożeniu, mieli mniejsze szanse przeżycia i przekazania swoich genów.

Innym czynnikiem, który sprawia, że zaczynamy potrzebować „okularów”, jest automatyzacja powtarzanych często czynności. I ona bywa pożyteczna. Po wielu la-

tach kierowania samochodem mogę rozmawiać z pasażerami, gdy nogi same odnajdują w odpowiednim momencie sprzęgło, gaz i hamulec, a prawa ręka bezbłędnie sięga do lewarka skrzyni biegów.

Habituacja na bodźce, a także automatyzacja powtarzanych czynności ułatwiają funkcjonowanie. Lecz nie za darmo. Życie, łatwiejsze dzięki nim, blaknie. Nie chodzi tylko o to, że np. zrobiwszy zakupy setny raz w tym samym sklepie, nie jestem pewien, czy wziąłem z półki mąkę (sięgałem tam już tyle razy, mam ten ruch w pamięci – ale czy to z dzisiaj?). Kierując samochodem przestaję być świadomy powiązania ruchu stopy i przyspieszenia maszyny, lekkiego napięcia mięśni przedramion zmieniającego kierunek jazdy, gdzieś ulotniła się radość z panowania nad pędzącym, ponadpółtonowym →



PIXABAY.COM

→ mechanizmem. Przemieszczam się w nim – tylko, choć sprawnie – z punktu A do punktu B.

Habituacja zaś nie tylko pozwala zasnąć, uciszając w naszej głowie nawet przejeżdżające tuż za oknem tramwaje. O ileż łatwiej zabiera nam delikatny powiew wiatru na skórze, miękką pieszczotę wody splukującej codziennie z dłoni mydliny, smak chleba pospiesznie i niedokładnie gryzionego przed wyjściem co rano do pracy.

Taki sposób wyjścia do pracy ujawnia szersze nastawienie do życia. Wychodzę pośpiesznie. Jestem w punkcie A, muszę być w B – to tam czeka coś ważnego, tu jest tylko punkt startu. Droga – ją trzeba po prostu przebyć. Możliwie najkrótszą, możliwie bez przeszkód. Dotrzeć do celu. Gdy tam dotrę, schemat się jednak powtarza. Cel znów jest przede mną.

Jak to zapisał Pascal: „Teraźniejszość nie jest nigdy naszym celem; przeszłość i teraźniejszość to nasze środki; jedynie przyszłość jest naszym celem. Tak więc nie żyjemy nigdy, ale spodziewamy się żyć; gotujemy się wciąż do szczęścia, a co za tym idzie, nie kosztujemy go nigdy”.

Uwaga

Te same mechanizmy pracują zarówno w przypadkach – kusi, by powiedzieć banalnych – takich jak bezsmakowe, pośpieszne zjadanie chleba, jak i tam, gdzie chodzi o Najważniejsze. A zwiedzeni jesteśmy poprzez samą sugestię, że Najważniejsze dzieje się gdzieś i kiedy indziej niż nasze śniadanie. Tymczasem, jak zapisano w apokryficznej Ewangelii Tomasza: „Mówi Jezus: »Ja jestem światłem, które jest ponad wszystkim. Ja jestem wszystkim. Wszystko wyszło ze mnie i wszystko do mnie wróciło. Rozłupcie drzewo – ja tam jestem. Podnieście kamień – znajdziecie mnie tam«” (EwT 77). Z chrześcijańskiej perspektywy autora tego tekstu mówiący Jezus jest Najważniejszym – obecnością Boskości w świecie. Pierwsza, metafizyczna część Jezusowej sentencji wyraża tę samą myśl, co werset Listu do Efezjan, mówiący, że Chrystus „wszystko całkowicie nappełnia” (Ef 1, 23).

Nie przeoczmy jednak drugiej części sentencji. Wskazuje ona na egzystencjalne konsekwencje boskiej wszechobecności. Napotyamy na nią w tak, zdawałoby się, przyziemnych czynnościach, jak rąbanie drzewa na opał lub budowanie

Zwiedzeni jesteśmy
już samą sugestią, że
Najważniejsze dzieje się
gdzieś i kiedy indziej niż
**nasze zjadane właśnie
teraz śniadanie.**

kamiennego domostwa. Boskie światło świeci z wnętrza pnia i spod kamienia – często niedostrzegane.

Co zrobić więc, by je dostrzec? Jak naprawić swój wzrok? Gdzie znaleźć okulary?

„Mówi Jezus: »Rozpoznaj, co masz przed sobą, a to, co ukryte, objawi ci się. Gdyż nie ma nic ukrytego, co by się nie ujawniło«” (EwT 5). To jest nie nakaz, ale wskazówka – gdzie skierować uwagę, na czym ją skupić – tak często chaotycznie rozproszoną, zaplątaną w to, co odległe, poszukującą specjalnych znaków i przeżyć.

Poszukiwanie w dali, w której majaczy niezwykłość, inność od codzienności, jest jednak gonieniem mirażu; właściwy kierunek jest inny: „Mówi Jezus: »Jeśli wasi przywódcy powiedzą: ‘Królestwo jest w niebie’, to ptaki niebieskie wyprzedzą was. Jeśli powiedzą: ‘Królestwo jest w morzu’, wyprzedzą was ryby. Lecz królestwo jest wewnątrz was i na zewnątrz was. Gdy poznacie samych siebie, zostaniecie poznani i zrozumiecie, że jesteście dziećmi Ojca żyjącego. A jeśli nie poznacie siebie, jesteście ubodzy i sami jesteście biedą«” (EwT 3).

Czasami mówi się, że wielkie rozproszenie przez mnóstwo bodźców, informacji, wyrrywających nas „w niebo” i „w morze”, to cecha współczesnej cywilizacji. Być może jest w tym sporo racji, lecz korzeń tkwi głębiej, w naturze przekraczającej kultury. Religijność, która usiłuje znaleźć Najważniejsze „gdzieś tam”, jest chyba stara jak ludzkość. Jesteśmy podobni do uczniów z przełomu I i II wieku. Duchowy wzrok i nas, i tamtych ludzi błądzi w przestrzeni: „Jego uczniowie powiedzieli: »Pokaż nam miejsce, w którym jesteś, ponieważ musimy koniecznie go szukać«. Powiedział im: »Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha. Wewnątrz człowieka jest światło, i świeci ono na cały świat«” (EwT 24). Błą-

dzi także i w czasie: „Zapytali go uczniowie: »Kiedy nastanie odpocznienie umarłych i kiedy przyjdzie nowy świat?«. Jezus odrzekł: »To, czego szukacie, nadeszło, lecz nie rozpoznajecie tego«” (EwT 51).

Umiejętność

Drugim krokiem, koniecznym, by dostrzec boskie światło w tym, co zwykłe, co stale mamy przed sobą, wewnątrz i wokół siebie, jest zneutralizowanie mechanizmów habituacji percepcji i automatyzacji działania. Jak to zrobić? Odpowiedź Ewangelii Tomasza jest prosta, chociaż niełatwa. „Mówi Jezus: »Kto nie pości od świata, nie znajdzie królestwa. Kto nie czyni szabatu szabatem, nie zobaczy Ojca«” (EwT 27).

Słowo „post” może kojarzyć się negatywnie, a wezwanie, by pościć od świata, może wydawać się zaprzeczeniem Dobrej Nowiny o możliwości odkrycia i doświadczenia Boskości właśnie w światowej rzeczywistości. Ale jednak, jak zauważył już Epikur – filozof uczący życia niczym relaksu w pięknym ogrodzie – „jęczmienny chleb i woda sprawiają największą rozkosz, jeśli je spożył głodny”, dlatego „najlepiej korzystają z obfitości dobra ci, którzy jej najmniej pożądają”.

Skoro habituacja bierze się z przyzwyczajenia do stale obecnego bodźca, potrzebny jest świadomy wysiłek zdystansowania się i wycofania – choćby takiego, które polega na obserwowaniu, jakby z drugiego planu, tego, co do nas dociera, pobudza nasze zmysły, uczucia, pragnienia, myśli. Bywa, że niezbędny jest post w bardziej dosłownym sensie: realne odcięcie bodźców, doświadczenie braku.

Podobny dystans potrzebny jest wobec działania – niezbędny jest szabat, przerwa, zawieszenie aktywności: „Sześć dni będziesz pracował, a w dniu siódmym zaprzestasz pracy” (Wj 23, 12). Taki dystans, niezbędny, by ujawniło się To, co ukryte mamy w sobie i przed sobą, Ewangelia Tomasza wyraża zwięzłym zdaniem: „Mówi Jezus: »Bądźcie przechodzącymi obok«” (EwT 42).

Jest to paradoks życia. Lecz w sobie mamy wszystko, co potrzebne, by je przeżyć. Podobnie jak pan Hilary – w gruncie rzeczy nie potrzebował nawet lustra, by znaleźć swoje okulary. Wystarczyłoby, gdyby szukając ich, uświadomił sobie, że widzi świat wokół.

ZUZANNA

Radzik:

W każdej gminie



TYDZIEŃ ROZPIĘTY MIĘDZY OKRĄGLYMI rocznicami wojennego pogromu i po-wojennego pogromu. Tymczasem my jedziemy przez Polskę. W końcu wakacje.

Kurs na Nowy Sącz. – Poczekaj, zadzwonię do Artura. Może są z Edytą w mieście. Jednak nie, za to Łukasz akurat oprowadza, możemy dołączyć.

Gdy kończymy pod synagogą, wpadamy jeszcze na Macieja. Ci to mają dobrze, jest ich tu w Sądeckim Sztetlu niezła ekipa. Mijamy Krościenko nad Dunajcem, Darek odpisuje na messendźerze, że powinniśmy byli wpaść do Dunajca, bo w Krościenku akurat nie kosili trawy w czerwcu. Nie tym razem. Gdybyśmy zresztą zajechali do Dunajca, to bezwzględnie trzeba by też do Rabki, do Michała i Narcyza.

– Czy ty znasz kogoś w każdej gminie? – pada pytanie w samochodzie. Nie, ale chciałabym. Chciałabym, żeby w każdej gminie był ktoś, kto zajmuje się tamtejszą żydowską historią, dba o pamięć i serdecznie powita potomków. Ale też takich ludzi nie jest znów mało, bo znam prawie setkę.

Gdy zawędrowawszy na Słowację, szukamy drogi powrotnej w Beskid, znów to samo. – To może przez Duklę i Nowy Żmigród – podsuwam, patrząc w mapę. – Tam też kogoś znasz? – No znam, ale nie musimy się zatrzymywać. Choć nie uściskać Jacka i Jurka byłoby trudno. Nie zobaczyć tych ich wypielegnowanych cmentarzy o kruchych macewach?

Ostatecznie gubimy się, dylemat, czy dzwonić i ryzykować, że nigdy nie dojedziemy na kolację, odpada.

Nawet poczytać się nie da spokojnie. Niby relaks, hama-czek, ale odkładałam ze złością książkę o podróży po powiatowej Polsce, gdy dochodzę do opisu nocnych pogawędek w kebabie w Wysokiem Mazowieckiem. Tego już za wiele, dla mnie jednak Wysokie Mazowieckie to Karol i cuda, jakich dokonał, stawiając tam ostatnio wraz z miastem pomniki.

W drodze powrotnej jest jeszcze gorzej. GPS wypycha nas w gminne drogi, gdzieś między Tarnowem a Wisłą. Czy to tu z Avim jechaliśmy szukać wioski jego przodków? Sam z taksówkarzem nie miałby szans. A tak, znaleźliśmy ślepego starca, który pamiętał – ledwie, ale jednak – jego rodzinę. A może to było bliżej Krakowa? Tu z kolei, ale z drugiej strony Tarnowa byłam z Bobem w Radomyśli Wielkiej, gdzie oprowadzała nas Maria. Do masowych grobów w lesie trafiłabym i dziś. Tarnów właściwie mijamy. Nikt już nawet nie pyta. A ja wspominam, jak oprowadzali nas Kasia i Tomek.

– Poczekaj, skreć w prawo, stańmy w Nowym Korczynie rozprostować nogi – zrywam się nagle. Sprawdzimy, czy synagoga jeszcze stoi. 10 lat temu, gdy dojechałyśmy tu stó- pem z Mayą, francuską Żydówką, drzewa rozsadały budynek prawie pozbawiony już dachu. Nie dowierzam, widząc

zabezpieczony dach i wystrzyżoną trawę. Gdy wracamy do samochodu, widzę w telefonie kłębiącą się korespondencję o gruzie wysypanym przed izraelską ambasadą. Błagam, jeszcze dziś urlop. Zresztą i tak wiem o gruzie. I o Bielsku-Białej. Szkoda mi tych aktywistów, którzy tam tak dzielnie pracują.

Jedziemy dalej. Busko-Zdrój, Pińczów... sami wiecie. Już nie stajemy, opisuję tylko, co tam jest w synagodze. Sama wspominałam, jak uczennica przejmująco śpiewała „Szma Israel, Adonaj”, gdy odwiedzaliśmy liceum z delegacją amerykańskich nauczycieli z żydowskich szkół. To w tym momencie z grupy wyparowała nieufność.

Kielce... – Co jest do zwiedzania w Kielcach? – pada w samochodzie pytanie, gdy miasto rozkłada się panoramą na trasie. – Cóż, ja to jestem jak izraelska wycieczka: Planty 7, cmentarz, pomnik Menora.

Trochę mi wstyd. A trochę nie. Znam te miejsca głównie od strony ich żydowskich historii. Jeśli nie dlatego, że komuś towarzyszyłam, to dlatego, że znam aktywistę, który dba o żydowskie dziedzictwo i wszystko mi już opowiedział. Lub pamiętam projekt jednej ze szkół, w których byliśmy z warsztatami. Jako zawodowa „biurokratka dialogu” część z tego widzę tylko z perspektywy serwera, ale wciąż.

Skreć na Przytyk. – Byliście tam? – Akurat w Przytyku chyba nie, ale już w Przysusze, owszem. Czekaj, sprawdzę na stronie, bo tu gdzieś jeszcze była taka miejscowość... pamiętam, jak Shoshana odczytywała z młodzieżą na cmentarzu ułamki macew. Suchowola! Radom – Zbyszek, najwspanialszy polonista, ale też Patrycja, licealistka, która ze swoją szkołą oprowadziła nas chyba rekordowe dziesięć razy po żydowskich miejscach. Dobrze pamiętam pierwszy raz, gdy z Irvem rozmawiali o siatkówce i stali przed domem jego mamy. Do dziś korespondują. Grójec – wiadomo, Małgosia.

Uff, dojechaliśmy. A wy, kiedy jedziecie na wakacje? Postawcie palec na mapie lub poczytajcie o tym, co mijacie w drodze. Jaka tam była żydowska historia? Zdziwicie się.

PS. Wymienione w tekście osoby są członkami sieci Liderzy Dialogu skupiającej aktywistów dbających o żydowskie dziedzictwo. Więcej o nich można przeczytać na stronie Forum Dialogu (www.dialog.org.pl). Tak, to jest lokowanie produktu, ale za to jakiego!

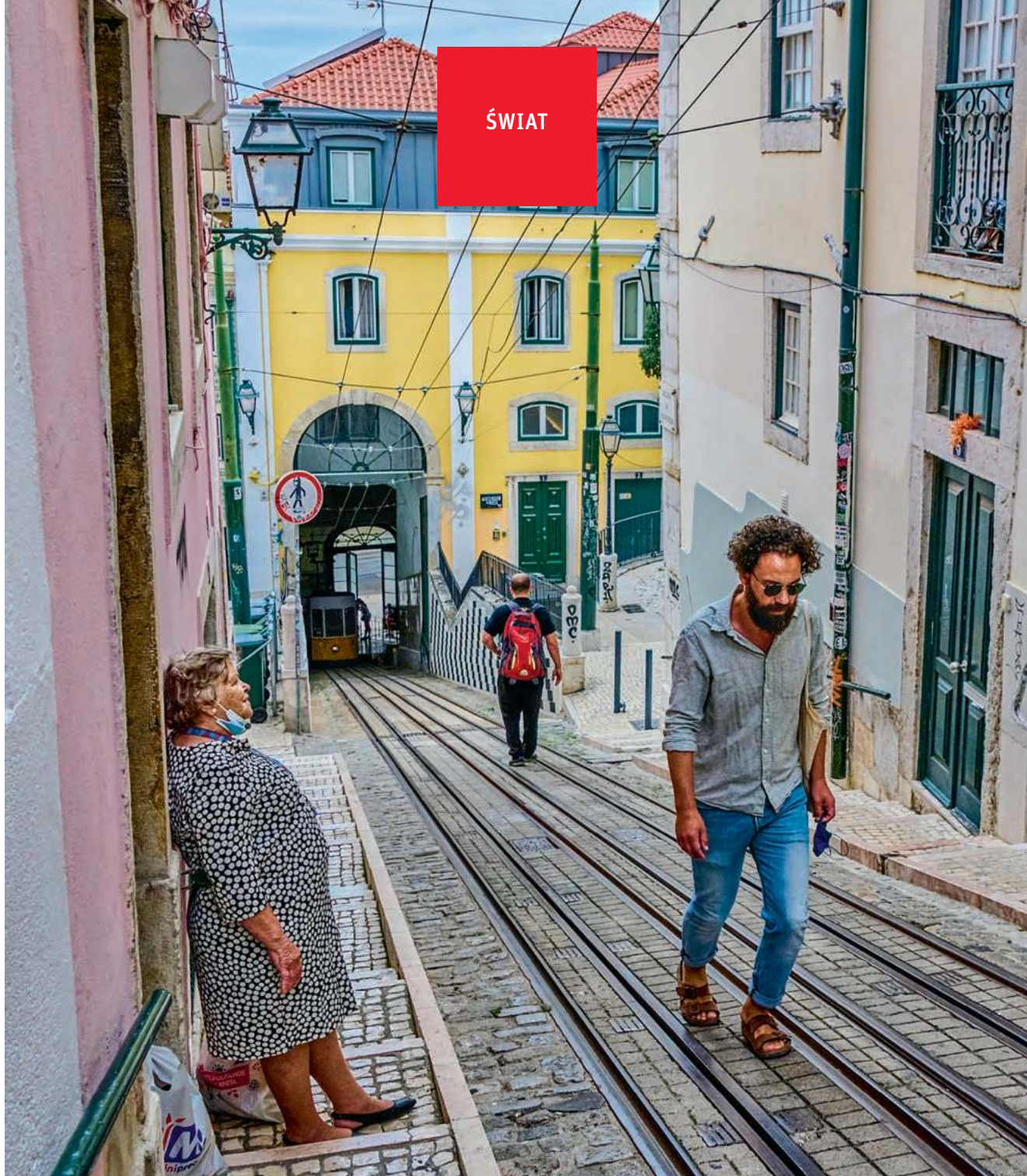
©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Sanoku, I Wydział Cywilny, toczy się pod sygn. akt I Ns 196/20 postępowanie z wniosku Jana Gładysza o stwierdzenie nabycia spadku po Dymitrze Gładyszu, s. Michała i Anny, ur. 14 października 1890 r. w Trepczy, zm. 7 listopada 1966 r. w Trepczy, gdzie ostatnio przed śmiercią zamieszkiwał.

Wzywa się spadkobiercę zmarłego, tj. Józefa Gładysza (Gładysza), s. Michała i Anny, ur. 30 marca 1911 r. w Trepczy, bądź jego spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od chwili ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

ŚWIAT



HORACIO VILLALOBOS / CORBIS / GETTY IMAGES

Wyludniona ulica Calçada da Bica Pequena w Lizbonie, 5 lipca 2021 r.

BYLE DOCIĄGNAĆ SEZON

Mogłoby się wydawać, że kolejny ostatnio koniec świata ma miejsce w Portugalii: Delta uderza, Niemcy i Anglicy przerywają urlopy. Ale mieszkańcy krańca Europy powtarzają: „To też minie”.

DOMINIKA MATEJKO

ABY POJECHAĆ NA WAKACJE DO PORTUGALII, do niedawna wystarczyły tylko chęci. Trudno wszak o lepsze miejsce na wakacje w Europie: słońce jest tu gwarantowane, upały łagodzi wiatr znad oceanu, a ceny są umiarkowane. Dlatego gdy tylko temperatury wzrosły nieco powyżej 20 stopni, co ludziom z północy i środką kontynentu daje poczucie pełni lata, to oni właśnie ruszyli w pierwszej kolejności na wakacyjny podbój tego najdalej wysuniętego na zachód kawałka Europy.

Spójrzmy na liczby. W roku 2019, poprzedzającym pandemię, 10-milionową Portugalię odwiedziło prawie 25 mln turystów, z czego – jak policzył Narodowy Instytut Statystyczny Portugalii – ponad co szósty pochodził z Wielkiej Brytanii, a co dwunasty z Niemiec. Gdy wiosną tego roku restrykcje złagodniały, tutejsi restauratorzy z radością prasowali obcokrajowców i polerowali sztucę, a hotelarze obliczali, ilu przybyszów pomieszczą puste od dawna hotele.

Anglicy i Niemcy są dla Portugalczyków turystami niemal idealnymi. Nie kręcą nosem na ceny, Niemiec jest zawsze kulturalny i grzeczny, a Anglik dzieli z Portugalczykami zamiłowanie do barowego stylu życia.

Jednak kilka tygodni temu ta utopijna symbioza została gwałtownie przerwana: z dnia na dzień kraj zaczął notować rosnącą w niepokojącym tempie liczbę nowych zakażeń mutacją Delta koronawirusa. W pierwszym tygodniu lipca osiągnęły one średni poziom 2,2 tys. dziennie, z tendencją rosnącą. Na szczęście w ślad za tym wskaźnikiem nie poszła w górę, przynajmniej na razie, liczba notowanych zgonów – wynosi kilka dziennie.

Turyści z Wielkiej Brytanii i Niemiec masowo ruszyli na lotniska, aby wrócić do swoich ojczyzn, zanim ich rządy nałożą na nich kwarantannę.

Inni nie mieli szczęścia

Teraz w nadmorskich kurortach hotelarze, którzy nie mieli przygotowanego żadnego planu awaryjnego, w pośpiechu szukają turystów. „Mam wolny pokój po Niemcu. Do wynajęcia od zaraz” – słysząc co chwile.

– Z Anglikami było nam bardzo dobrze. Teraz są głównie Belgowie i Francuzi – stwierdza João Correia, właściciel hostelu w Lagos na południu kraju.

Choć João cieszy się na każdego turystę, nie kryje rozczarowania, bo jednak An-

glika mu żal. Przyznaje, że za sprawą decyzji o nałożeniu kwarantanny na powracających z Portugalii rządy Niemiec i Anglii pozbawiły znaczną część portugalskich przedsiębiorców szansy na godny zarobek w tym roku.

João jest jednak przekonany, że jakoś da sobie radę. I to pomimo że jego małżeństwo nie przetrwało próby lockdownu i teraz to głównie on zajmuje się trójką dzieci. Twierdzi, że jest szczęściarzem. Jego rodzice prowadzą sklep spożywczy, a te sklepy – zwłaszcza w tak małej miejscowości, gdzie konkurencja w branży spożywczej nie jest duża – zawsze mają jakiś utarg niezależnie od tego, czy pandemia, czy wojna.

– Moi przyjaciele nie mieli tyle szczęścia – przyznaje João. – Wzięli kredyty na podtrzymanie biznesów i od września muszą zacząć je spłacać. Ale jak, z czego?

Fala na fali

– Było bardzo ciężko – przyznaje Margherita Igańska, Polka prowadząca zajęcia i obozy surfingowe m.in. w miejscowości Ericeira, 35 kilometrów na północ od Lizbony. – Nie wiem, jak to możliwe, ale się udało. Rodzina namawiała mnie, żebym wróciła do Polski. Ale jestem zdecydowana, żeby ratować mój projekt.

Tego lata na zajęcia prowadzone przez Margheritę przyleciały osoby, które w ubiegłym roku ze względu na sytuację pandemiczną wołały spędzić lato w Polsce. Obozy były odwolywane wprost proporcjonalnie do liczby odwoływanych z dnia na dzień lotów.

Dzisiaj Margherita gości u siebie surferki i surferów z różnych krajów, w tym z Polski. Można powiedzieć, że mimo tego, co podają media, u Margherity jest nawet lepiej. Co więcej, jak sama przyznaje, restrykcje związane z zamykaniem barów o godzinie 22.30 działają na jej korzyść. Surferki są bardziej zdyscyplinowane i zawsze gotowe do zmierzenia się z falami.

– Był moment, kiedy zasady nie były jasne, jeżeli chodzi o sport na otwartej przestrzeni. Nikt nie wiedział, czy możemy surfować – mówi Kinga Bugaj, pasjonatka surfing, która wraz z pojawieniem się koronawirusa wyjechała do Portugalii, mając nadzieję, że uda jej się przeczekać kolejne fale pandemii „na fali”.

– Zdarzało się, że ktoś wydrapał mi na aucie „No surf!”. Teraz w ogóle nie od-

czuwam tego, że sytuacja się pogorszyła. Jeździmy na surfing, ludzie idą na plażę, a potem na piwko – opowiada Kinga.

Kilka godzin po naszej rozmowie Kinga wyśle mi zdjęcie z plaży. Duża przestrzeń wypełniona białym piaskiem co rusz przerywana jest wygrzewającymi się plażowiczami. Po wąskiej asfaltowej drodze, biegnącej wzdłuż wybrzeża, przejeżdża auto typu garbusek, w odpowiednim jak na tę porę roku żółtym odcieniu.

Polak wie lepiej

– My tutaj żyjemy w idylli – przyznaje Kinga. – Siedzimy sobie na balkonie, pijemy kawę w słońcu, a rodzina dzwoni z Polski i mówi, jak to fatalnie jest w Portugalii.

– Raz poprosiłam kolegę Portugalczyka, żeby przetłumaczył mi dokładnie, na czym polegają najnowsze restrykcje. Nie powiedział mi niczego, czego bym wcześniej nie wiedziała. Co więcej, to on mnie pytał, co ma robić. Nie wiedział, gdzie i jak załatwić zaświadczenia z pracy, a musiał wyjechać z Lizbony – mówi Barbara, która podobnie jak Kinga zamieszkała w Portugalii na początku pandemii, w marcu 2020 r.

Aby ograniczyć transmisję wirusa, w ostatnim czasie władze ogłaszały Lizbonę miastem czasowo zamkniętym: nikt nie mógł jej opuścić ani do niej wjechać, chyba że mógł dowieść, że ma po temu istotny powód.

Kiedy kilka tygodni temu rodzice Barbary przyjechali do niej w odwiedziny, jej siostra wysłała im artykuł z Polski, mówiący o tym, że na granicy z Lizboną stoją kordony policji. Barbara miała jednak zaświadczenie o zatrudnieniu w Lizbonie, a jej rodzice bilety na lot powrotny ze stolicy, więc zakładała, że nie powinni mieć problemu z wjazdem do miasta. Ku ich zaskoczeniu, gdy wracali, nikt ich nie sprawdził. Nie było kordonu policji. Wjechali bez problemu.

– Czasem myślę, że to metoda na Portugalczyków, bo oni są posłuszni władzy. Jak usłyszą, że jest jakiś zakaz, to się do niego stosują – twierdzi Barbara.

Kinga w najbliższy weekend wybiera się do Lizbony. Ma potwierdzenie noclegu i zamiary na osoby ze stolicy. Nie denerwuje jej myśl o kontrolach. – Mogą sprawdzać albo mogą nie sprawdzać. Tutaj wszystko jest płynne. Również restrykcje – kwituje.

Synonim życia

→ Region metropolitalny, który objęty jest zamknięciem, nie ogranicza się do stolicy. W jego skład wchodzi też 18 okolicznych gmin. Ponadto restrykcje dotyczące wjazdu i wyjazdu ze stolicy obowiązują w piątki od godziny piętnastej do godziny szóstej rano w poniedziałek – i to tylko osoby niezaszczepione (chyba że mają negatywny wynik testu). Podobnie rzecz ma się, gdy idzie o turystów. Ci mogą wjeżdżać do regionu metropolitalnego po wykazaniu negatywnego testu lub certyfikatu szczepienia.

W praktyce kontrole są wybiórcze. Umówiłam się z Kingą, żeby dała mi znać, jak wygląda sytuacja na granicy Área Metropolitana de Lisboa. Wieczorem dostaję wiadomość: „Moi znajomi wyjechali z Lizbony. Nikt ich nie zatrzymał”.

João uważa, że narzucone restrykcje mijają się z celem. W weekendy restauracje zamykane są w niektórych regionach o 15.30. Po tej godzinie niedokończone napoje – w tym wino czy piwo – rozlewane są do plastikowych kubeczków, aby mogły być w spokoju spożyte poza lokalem, mimo zakazu picia alkoholu w miejscach publicznych.

Po godzinie 22.30, gdy zamykane są bary, kończy się sprzedaż alkoholu. Ale i na to Portugalczycy znaleźli sposób. Na plażach można kupić towar „spod lady”, a dokładniej: z nieoznakowanych prywatnych samochodów.

– To jest wielka niesprawiedliwość – mówi zirytowany João. – Nie można dorobić, sprzedając hot dogi po 15.30 w weekendy, bo to jest nielegalne, ale McDonald otwarty jest przez 24 godziny.

Mimo to handel pokątny kwitnie. Dla Portugalczyków życie na zewnątrz jest synonimem życia w ogóle. Dlatego nawet w najgorszym momencie pandemii zdarzało się, że policja przemykała oko na emerytów oddających się swojej ulubionej rozrywce – grze w *sueca*, prostszą odmianę brydza.

Kiedy Barbara wraz z przyjaciółmi kilka tygodni temu zorganizowała małe przyjęcie w parku, policja kazała im się rozejść na 20 minut, bo tyle zostało im do zakończenia patrolu.

Kaja Piórkowska – przewodniczka i założycielka strony internetowej polizbona.pl – twierdzi, że wiadomości o kordonach policji wywołały zdenerwowanie wśród kolegów i koleżanek z branży:

Przed pandemią
w Portugalii mało kto miał
pracę, która byłaby
całkowicie niezależna
**od napływu i odpływu
zagranicznych turystów.**

– Kładą nam kłody pod nogi. Wiem, że to dobrze brzmi: „Portugalia, Dziki Zachód Europy” albo „kraj odgradzony od świata”. Ale to nie jest tak, że nie radzimy sobie z sytuacją.

Portugalczycy robią teraz dużo testów. I choć trudno nazwać ten kraj państwem policyjnym, ludzie pilnują się nawzajem. Kaja: – Zdarzyło się, że z roztargnienia weszłam do sklepu bez maseczki, i klientka, a nie ekspedientka, zwróciła mi uwagę.

Moi rozmówcy twierdzą, że poza Lizboną życie będzie właściwie normalnie.

Koniec Disneylandu

Kaja Piórkowska obserwuje, jak wraz z pandemią zmienia się typ turysty. To już nie są duże grupy pragnące zrobić sobie zdjęcie w popularnym miejscu – bez większej refleksji, za to ze sporą dozą ignorancji. Koniec z turystami, którzy bez względu, na to, czy są w gotyckim zamku, czy w Disneylandzie, zachowują się tak samo.

Nie martwi jej to. Przeciwnie: ma nadzieję, że pandemia na dobre położyła kres masowej turystyce, w tym statkom wycieczkowym, których klienci tłumnie zalewali Lizbonę, nie zostawiając grosza miastu, za to blokując zażytkowe centrum, co utrudniało pracę przewodnikom. Teraz jest inaczej. Zwiedzający mogą dotrzeć do interesujących ich miejsc. Wprawdzie grupy są mniejsze, pracy jest mniej, ale jest ona bardziej komfortowa.

Również Kaja, po 11 latach spędzonych w Portugalii, odkrywa jej stolicę na nowo. – Słynny tramwaj lizboński stał się dla nas papierkiem lakmusem zmieniających się czasów. Teraz można wsiąść, nie wsiadając w zajeżdźni, nawet w środku trasy. Jak żyje, nie zdawało mi się tu wracać tramwajem. Zde-

cydowanie bardziej opłacało się iść piechotą – żartuje.

Kiedyś, żeby w ogóle wsiąść do słynnego drewnianego tramwaju, trzeba było najpierw przepuścić ze trzy wypchane po brzegi pojazdy, a kierujący osobiście odpychali nadliczbowych pasażerów, żeby mogli zamknąć drzwi. Dziś lizbończycy odzyskali swój tramwaj.

Rekord szczepień

W ostatnich dniach program szczepień nabrał w Portugalii rozpędu. Według portalu Our World in Data w minionym tygodniu podano tu rekordowo dużo dawek w przeliczeniu na stu mieszkańców (1,7 dawki), co pozycjonuje kraj w światowej czołówce (średnia europejska wynosiła 0,83 dawki). W minioną środę, 7 lipca, ponad 38 proc. Portugalczyków było już w pełni zaszczepionych, a 56 proc. przyjęło co najmniej jedną dawkę.

André Madureira, u którego tydzień temu zdiagnozowano koronawirusa, nie ma wątpliwości, że szczepienia są jedyną drogą do pokonania epidemii. – Spokój odczuję dopiero, gdy większość społeczeństwa będzie zaszczepiona. Wtedy będziemy mieć realną szansę, by zapanować nad wirusem – stwierdza André.

On sam nie był wcześniej szczepiony, czekał na swoją kolej. Jest zirytowany, że złapał covid, zanim się zdążył zaszczepić. Na szczęście czuje się w miarę dobrze.

Portugalczycy i mieszkające tu na stałe Polki, z którymi rozmawiam, nie bagatelizują kolejnego nawrotu epidemii. Część z ich znajomych odczuła fizycznie i finansowo skutki jej wcześniejszych fal. W Portugalii prawie 80 proc. gospodarki oparte jest na usługach. Przed pandemią mało kto miał tu pracę, która byłaby zupełnie niezależna od napływu i odpływu turystów. Także dlatego rządowi zależy, aby dociągnąć sezon wakacyjny do końca, na ile to tylko możliwe, i aby ograniczyć liczbę zakażeń, jak tylko się da.

Tymczasem w pierwszym tygodniu lipca w kraju wykryto pierwsze przypadki pochodzącej z Peru mutacji, którą Światowa Organizacja Zdrowia ochrzciła grecką literą „Lambda”.

Mimo wszystko mieszkańcy tego krańca Europy powtarzają sobie: „*Calma*, zachowaj spokój, to też minie”.

© DOMINIKA MATEJKO



MINDAUGAS KULBIS / AP / EAST NEWS

W obozie dla migrantów w miejscowości Pabrade, 40 km od Wilna, 3 lipca 2021 r.

Zemsta Łukaszenki

WOJCIECH KONOŃCZUK

Rosnąca nagle liczba ludzi z Bliskiego Wschodu i Afryki, którzy usiłują nielegalnie dostać się z Białorusi na Litwę i do Polski, to efekt planowych działań reżimu w Mińsku.

ZACZĘŁO SIĘ PÓŹNĄ WIOSNĄ, GDY LITEW-SKA straż graniczna (VSAT) zaczęła zatrzymywać kolejne grupy migrantów. W połowie czerwca, gdy liczba zatrzymanych w tym roku sięgnęła niemal pięciuset (sześć razy więcej niż w całym 2020 r.), stało się jasne, że na granicy litewsko-białoruskiej zaczął działać nowy korytarz przerzutu migrantów do Unii Europejskiej.

Potem było już tylko gorzej. W tych dniach Litwini zatrzymują codziennie co najmniej kilkadziesiąt osób. Do piątku 9 lipca łączna liczba zatrzymanych w tym roku migrantów wynosiła 1546 osób i nie ma wątpliwości, że będzie rosła. Litewskie centra dla obcokrajowców szybko się zapełniły i w niektórych przygranicznych miejscowościach trzeba było postawić namioty wojskowe. Już wcześniej, w piątek 2 lipca, rząd Litwy zdecydował o wprowadzeniu

w całym kraju stanu sytuacji nadzwyczajnej, a Sejm przygotowuje zmianę prawa, aby migrantów można było łatwiej deportować.

W WILNIE OD POCZĄTKU nikt nie miał wątpliwości, że mamy do czynienia z próbą sztucznego wywołania przez Mińsk kryzysu migracyjnego. Potwierdzeniem są kolejne wypowiedzi Alaksandra Łukaszenki, który otwarcie grozi, że Białoruś rezygnuje z ochrony granicy. Ma to być odwet na Litwie i całej Unii za sankcje nałożone na reżim.

W ubiegłotygodniowym wystąpieniu Łukaszenka nie pozostawił wątpliwości, kpiąc: „Jeśli ktoś myśli, że zamknijemy granicę z Polską, Litwą, Łotwą, Ukrainą i zamienimy się w barierę dla zbiegłych z Afganistanu, Iranu, Iraku, Libii, Syrii, Tunezji i Afryki, to po prostu jest w błędzie. Nikogo nie będziemy zatrzymywać! Oni przecież nie do nas jadą, ale do oświeconej, cieplej, wygodnej Europy”. W podobnym tonie od kilku tygodni grzmią media reżimowe, otwarcie deklarując, że celem Mińska jest wywołanie kryzysu migracyjnego na granicy z Unią.

Niezależni dziennikarze białoruscy szybko dopowiedzieli resztę. Migranci, głównie z Iraku (oni stanowią około połowy wszystkich), Konga, Kamerunu i Gwinei, docierają do Mińska samolotami białoruskiej linii Belavia ze Stambułu i Bagdadu. Uwagę zwraca zwiększona częstotliwość lotów z obu tych miast, wcześniej rzadkich. Sprawami „organizacyjnymi” zajmuje się spółka Centurort, która należy do Zarządu Spraw Prezydenckich – gospodarczej części Administracji Prezydenta Białorusi.

Z MIŃSKA MIGRANCY SĄ DOWOŻENI podstawionymi autobusami na granicę z Litwą, a białoruscy pogranicznicy dostali wytyczne, by ich nie zatrzymywać. Przejście przez długą na 679 km granicę nie jest problemem, ponieważ na większości odcinków pozbawiona jest ona jakiegokolwiek infrastruktury. Przy okazji przerzut migrantów jest świetnym interesem dla reżimu, gdyż każdy z nich płaci nawet kilkanaście tysięcy dolarów.

Władze Litwy próbują ograniczyć problem. Szef dyplomacji Gabrielius Landsbergis wybrał się z nadzwyczajną wizytą do Iraku, a premier Ingrida Šimonytė zapowiada wysłanie na granicę wojska oraz budowę tam ogrodzenia. Frontex, unijna agencja ds. ochrony granic, posłała na Litwę i (prewencyjnie) także na Łotwę grupę funkcjonariuszy z wozami patrolowymi i deklaruje dalsze wsparcie. Przewodniczący Rady Europejskiej Charles Michel, odwiedzając 6 lipca Wilno, obiecał rozmowy z władzami państw, z których pochodzą migranci. „Mamy podejrzenia, że dzieje się to nie bez udziału białoruskiego reżimu” – stwierdził Michel.

TAKŻE POLSKA STRAŻ GRANICZNA notuje w ostatnich trzech tygodniach zwiększony napływ migrantów, którzy usiłują nielegalnie przedostać się przez podlaski odcinek granicy z Białorusią. O ile w całym 2020 r. zatrzymano tu 114 osób, to do początku lipca było to już niemal 250, głównie Afgańczyków. Możliwe, że to dopiero początek większej fali migracyjnej. Granica polsko-białoruska pod względem infrastruktury wygląda nieco tylko lepiej niż litewsko-białoruska.

Tymczasem Łukaszenka deklaruje: „Jesteśmy gotowi zacząć [z Unią] rozmowy i wynegocjować, na jakich warunkach będziemy zatrzymywać migrantów”. Reżim najwidoczniej liczy, że poprzez otwarty szantaż uda mu się wpłynąć na złagodzenie (lub przynajmniej niezwiększenie) unijnych sankcji. Na razie nic nie wskazuje, aby taki szantaż mógł być skuteczny. ©



WOJCIECH KONOŃCZUK będzie gościem Pawła Sulika w Radiu Tok FM w środę 14 lipca o godz. 15.40
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań, www.tokfm.pl



Nazwy „Nowy Jork” do promocji swojej firmy jako pierwszy użył właściciel tej stacji benzynowej, położonej przy fabryce fenolu. Czerwiec 2021 r.

Przyfrontowy Nowy Jork

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z NJU JORKU (WSCHODNIA UKRAINA)

Mieszkańcom donbaskiej miejscowości po latach starań udało się przywrócić historyczną nazwę. Wiąże z tym duże nadzieje.

Pewnego dnia, wypełniając jakiś formularz albo listę, Nikołaj zapytał go, gdzie się urodził.

– W Nowym Jorku – odpowiedział spokojnie Czerewycynij.

– Przestań się wygłupiać! Nie mam na to czasu. Gdzie się urodziłeś, pytam ciebie.

– W Nowym Jorku, przecież mówię – uśmiechnął się. – To w obwodzie stalinowskim. Takie sióło fabryczne jest. W rejonie dżerżyńskim. Naprawdę! Możesz zajrzeć do paszportu.

Fragment powieści

„W mieście rodzinnym” sowieckiego pisarza i dysydenta Wiktora Niekrasowa (wydanej w 1954 r., przekład autora tekstu).

NA PIERWSZY RZUT OKA TO NICZYM NIEWYRÓŻNIAJĄCA SIĘ DONBASKA MIEJSCOWOŚĆ – osiedle typu miejskiego, czyli ani wieś, ani miasto (takich tu wiele). Góruje nad nią fabryka fenolu, przez co w powietrzu unosi się drażniący woń. Bu-

dynki są zaniedbane (niektóre sprawiają wrażenie, jakby ledwo stały), a drogi dziurawe. Ludzie, zwłaszcza młodzi, wyjeżdżają stąd w poszukiwaniu lepszego życia do innych ukraińskich miast, Polski czy Rosji.

To także jedna z licznych miejscowości w Donbasie, w pobliżu których biegnie linia frontu wojny trwającej od wiosny 2014 r. Jej bliskość również tu odcisnęła swoje piętno. Dziś front stoi w miejscu, ale poczucie zagrożenia nie zniknęło.

Jednak nie jest to miejscowość jak inne, a to za sprawą nazwy, obok której nie można przejść obojętnie: Nju Jork, czyli Nowy Jork. Grupa mieszkańców po latach starań osiągnęła swój cel: Nju Jork, w 1951 r. przez władze sowieckie przechrzczony na Nowhorodske, od minionego czwartku 1 lipca znów jest Nowym Jorkiem – tak zdecydowała ukraińska Rada Najwyższa. Ci, którzy o to walczyli, wierzą, że zmiana może tchnąć w miej-

scowość nowe życie. W niespełna 10-tyściennej Nju Jorku to przeszłość daje nadzieję na przyszłość.

Również 45-letnia Tetiana Krasko wierzy, że przemianowanie zwróci uwagę na miejscowość. Przez minioną dekadę Krasko pełniła funkcję sekretarza tutejszej rady samorządowej (w tym roku rada została rozwiązana w związku z reformą, która zmieniła strukturę samorządu). Należy do tych, którzy zabiegali o przywrócenie historycznej nazwy. Liczy, że rozgłos wokół Nju Jorku to szansa na inwestycje, rozwój, nowe miejsca pracy, co zahamuje emigrację. A także zapewni większe bezpieczeństwo. – Bo jakby to brzmiało w wiadomościach, że ostrzelano Nowy Jork? – pyta przewrotnie.

Miasteczko na stepie

Była druga połowa XVIII w., gdy caryca Katarzyna Wielka zaprosiła niemieckich menonitów (wyznawców jednego z odłamów protestantyzmu), aby osiedlili się na ziemiach podbitych przez Rosję i pomogli je rozwijać. W wieku XIX (dokładna data nie jest znana) grupa menonitów przybyła z Zaporozża na teren obecnego obwodu donieckiego, w okolicy dzisiejszego Nju Jorku.

Nie jest jasne, skąd wzięła się nazwa, są na ten temat co najmniej trzy wersje (czasem w opowieściach mieszkańców zlewają się ze sobą). Nazwa mogła na-

wiązywać więc do niemieckiego miasta Jork w Dolnej Saksonii, skąd mogli pochodzić koloniści. Mogła też wziąć się stąd, że żona bogatego przedsiębiorcy Jacoba Ungera, zamieszkałego w kolonii, pochodziła z Nowego Jorku, tego za oceanem; dla niej miał nadać taką nazwę. Jest też wersja, że Nowy Jork nazywał się tak, zanim pojawili się tu niemieccy osadnicy.

Bez wątpienia to oni sprawili, że kolonia zaczęła się szybko rozwijać. Przywieźli nowoczesny sprzęt. Powstały cegielnia, młyn parowy, wiatrak, księgarnia, szkoły dla chłopców i dziewcząt, hotel, bank i telegraf. – Do Nowego Jorku ludzie przyjeżdżali z całej okolicy. Dziadek opowiadał, że kupowali tu towary, np. tkaniny – wspomina Tetiana Krasko.

Zachowało się wiele cegieł i dachówek z sygnaturą „Nowy Jork”. Cieszyły się w okolicy popularnością, więc niektórzy producenci z innych miejscowości podpisali tak swoje cegły i dachówki. Dziś powiedzielibyśmy, że były to podróbki.

Krasko pokazuje zdjęcia robotników z końca XIX w.: stoją przed zakładem produkcyjnym w rzędach, wszyscy w butach. – Na tej podstawie można stwierdzić, że żyło się tu stosunkowo dostatnio – mówi Krasko.

Anegdota z dzieciństwa

Po raz pierwszy menonici zaczęli stąd wyjeżdżać po rewolucji 1905 r., która wstrząsnęła Rosją. Nie wiązało się to z represjami, lecz z trudną sytuacją gospodarczą. Natomiast do przymusowej deportacji doszło podczas II wojny światowej – jako Niemcy byli podejrzani (po 1941 r. władze sowieckie deportowały masowo na Syberię i do Azji Centralnej przedstawicieli mniejszości niemieckiej). Po wojnie nie mogli wrócić do domów i wielu, w tym tych z Nju Jorku, wyjechało na Zachód, np. do Kanady.

Jak już powiedziano, w 1951 r. Nowy Jork przemianowano na Nowhorodske. Powodem mogła być nasilająca się zimna wojna albo fakt, że nazwa brzmiała mało rosyjsko.

Choć z miejscowości wyjechała znaczna część dawnej ludności, a na jej miejsce pojawiła się nowa, to pamięć o historii pozostała tu żywa. – Od dziecka wiedzieliśmy, że to Nowy Jork. Nie uczono nas o tym w szkole, ale przekazywano sobie tę historię. Traktowaliśmy to jak aneg-



*Tetiana Krasko od lat zabiegała o przywrócenie historycznej nazwy.
Czerwiec 2021 r.*

dotę i specjalnie nad tym nie rozmyślaliśmy – mówi Krasko.

Budynki zbudowane jeszcze przez Niemców znacząco odróżniały się od tych powstałych za Sowietów. Krasko pamięta, że w dzieciństwie bawiła się w ich okolicy. Potem, po upadku Związku Radzieckiego, trafiły w ręce prywatnych właścicieli i popadły w ruinę. Niektóre – jak ten, gdzie mieściła się księgarnia – rozebrano do ostatniej cegły.

Muzeum w domu Ungera

Trzy lata temu obecny właściciel chciał zburzyć młyn Petera Dycka (zbudowany w 1905 r.), aby sprzedać ziemię. Dzięki oporowi mieszkańców, zainteresowaniu mediów i wreszcie interwencji władz obwołu donieckiego udało się powstrzymać rozbiórkę. Właściciel na razie nie robi nic z budynkiem. – Nie chcemy, żeby on tak po prostu stał. W obiekcie historycznym też można prowadzić przedsiębiorstwo – mówi Krasko.

Sypał się także dom handlowca Jacoba Ungera. Jeszcze niedawno był ruiną. Pewnie by się zawalił, gdyby nie działania podjęte przez grupę mieszkańców. Okazały się na tyle skuteczne, że niedawno, w kwietniu, otworzono w nim centrum historyczno-kulturalne.

Na wejściu widnieje szyld: „Ukraiński Nowy Jork”. Kupił go fundacja Nowhorodska Hromada, w którą zaangażowana jest także Tetiana i były przewodniczący tutejszej rady Mykoła Lenko. W ciągu dwóch lat udało im się zebrać 1,7 mln hrywien (równowartość ok. 250 tys. zł) z zagranicznych grantów i od firm prywatnych. W efekcie w domu Ungera powstała nowoczesna przestrzeń, w której znajduje się nieduże muzeum, sala

dla różnych wydarzeń, a także mała wystawa. – Jest tu miejsce na historię, mogą się tu zbierać organizacje pozarządowe, a także młodzież może czuć się tu komfortowo – mówi Krasko.

Pasjonat ożywia tożsamość

Opowieść o donbaskim Nowym Jorku pozostałaby pewnie tylko anegdotą, gdyby nie Jewhen Szylnikow – pasjonat lokalnej historii, dziś już nieżyjący.

Szylnikow pracował w fabryce, a prywatnie pasjonował się historią regionu i już od lat 80. XX w. podejmował działania na rzecz zmiany nazwy miejscowości. Marzył, by powstało tu muzeum dokumentujące dzieje Nju Jorku. Pisał o jego historii do gazet. W dużym stopniu to on sprawił, że odżyła tutaj pamięć o przeszłości.

Pod wpływem Szylnikowa powstała przy radzie samorządowej grupa osób, które zaczęły dbać o historyczne dziedzictwo miejscowości. Zbierali materiały i zabytkowe przedmioty walające się po domach. W Donbasie, który uważany był za region mocno zsowietyzowany, o słabej tożsamości lokalnej, była to aktywność niezwykle ważna. Z oddolnego zaangażowania z czasem powstała organizacja – Nowhorodska Hromada.

Nie byli liczni: na rzecz Nju Jorku aktywnie angażowało się może dziesięć osób. Ktoś przechodził na emeryturę i odkrywał, że ma dużo czasu, więc zaczynał porządkować zebrane materiały i informacje. Albo nagle przypominał sobie, że jego rodzice opowiadali mu mnóstwo historii o życiu w dawnym Nju Jorku. Ludzie jeździli po okolicy, by znaleźć więcej informacji i przedmiotów sprzed lat, a rada samorządowa koordynowała te działania.

– Tak naprawdę to byliśmy organizacją społeczną, a nie organem władzy. Co to za władza bez wpływu, a od 2016 r. też praktycznie bez budżetu – mówi Krasko.

Od tego czasu większość budżetu ówczesnego Nowhorodskiego stanowiły granty zagraniczne.

Czas wojny

Nawet wybuch wojny w 2014 r. nie wstrzymał przywracania pamięci o Nju Jorku.

Początkowo prorosyjscy separatyści zajęli całą tę okolicę. Krasko wspomina, że wielu ludzi z Nowhorodskiego dołączyło do nich. Ich siły nie stacjonowały w samej

→ miejscowości, lecz w pobliskim mieście Dzierżyńsk (dziś znów nosi historyczną nazwę: Toreck).

W Nowhorodskem było stosunkowo spokojnie w porównaniu do sytuacji w pobliskich miejscowościach. Tetiana Krasko szczyti się tym, że przez cały czas na budynku lokalnych władz wisiała ukraińska flaga. Co prawda przez jakiś czas widać ją było tylko wtedy, gdy powiewał wiatr, bo urzędnicy uznali, że lepiej nie narażać ludzi i powiesili obok zielono-czerwono-czarną flagę miejską Dzierżyńska, która przysłała tę państwową.

Pod koniec lipca 2014 r. ukraińska armia zajęła Nowhorodskie i okolice. Pro-ukraińscy mieszkańcy, jak Krasko, mogli mówić o wielkim szczęściu, a ci wspierający separatystów o strasznej tragedii. Po-tem front zatrzymał się tuż obok i od-ąd już nie drgnął. Tym samym miejscowość znalazła się na pierwszej linii walk.

Drzwi zawsze otwarte

Przez pierwsze dwa lata konfliktu, jak mówi Krasko, tutejszy samorząd skupiał się na tym, by ludzie nie czuli się porzu-teni. – Wówczas nie było czuć, żeby roz-taczała się nad nami jakaś władza. Ani ob-wodowa, ani centralna. Wszystko robili-śmy samodzielnie – wspomina. – Wzięli-śmy na siebie odpowiedzialność, aby po-kazać, że władza jest, żeby ludzie nie my-sleli, iż zostali sami.

Spotykali się w siedzibie rady. Jej prze-wodniczący nakazał, by drzwi do bu-dynku zawsze były otwarte, i nie chciał słyszeć o protestach pracowników, któ-

rzy co chwila przypominali, że przecież na zewnątrz strzelają.

– Zupełnie nie rozumieliśmy, co się dzieje, gdzie się chować, szczególnie że nie mieliśmy piwnicy – wspomina Kra-sko.

Przewodniczący przekonywał jednak, że jeśli ludzie będą przejeżdżać obok i zo-baczą otwarte drzwi rady, to będą mieli poczucie, że władza w Nowhorodskem wciąż funkcjonuje.

Pracownicy samorządowi szykowali plany schronów i dzielili się nimi z miesz-kańcami. Wysyłali też listy dla osób w po-trzebie do organizacji humanitarnych, które potem przywoziły pomoc. Jeździli także w miejsca, które zostały ostrzelane, aby przeprowadzić inspekcję budynków i oceniać straty.

Syn wyjechał do Polski

Mimo tego wszystkiego, a może bardziej wbrew temu, mieszkańcy nie zaprzestali przywracania pamięci o Nowym Jorku. Akurat w 2016 r., gdy miejscowość była najbardziej ostrzeliwana od wybuchu wojny, na dobre ruszyły działania na rzecz zmiany nazwy. Za pierwszym ra-zem próbowano dokonać tego w ramach trwającej w kraju dekomunizacji – wtedy to Dzierżyńsk stał się Toreckiem. Jednak administracja obwodu donieckiego od-rzuciła wówczas wniosek o przemiano-wanie Nowhorodskiego.

– Dzięki Nowemu Jorkowi mogliśmy zająć się czymś innym niż wojna. Mogli-śmy nie myśleć o niej – wspomina Kra-sko. – Bywało, że trzeba było jechać oglą-

dać budynki po ostrzale, a tu na progu stawał Jewhen Szylnikow z kolejnym po-mysłem. Czasami już bałam się na samą myśl, że może się pojawić i znowu coś za-proponować.

Gdy oni kombinowali, jak by tu prze-konać władze zwierzchnie do zmiany nazwy, wśród mieszkańców ukazała się opozycja, której nie podobał się pomysł przemianowania. Opozycjoniści uważali, że to problem zastępczy.

– Jakby znowu zaczęła działać fabryka maszyn budowlanych, to nie miałbym nic przeciwko zmianie nazwy – mówi 62-letni Wiktor.

– I żeby drogi były jak w Nowym Jorku! – dodaje starszy o rok Walerij.

Obaj pracowali w okolicznych fabry-kach i kopalniach, które od lat nie dzia-łają. Większość upadła po rozpadzie Związku Sowieckiego. Dziś jedynym większym zakładem w Nowhorodskem, choć też działającym na pół gwizdka, jest fabryka fenolu.

Liczba mieszkańców miejscowości re-gularnie spada. Od 1992 r. zmniejszyła się o ponad 2,5 tys. osób, a mimo to znalezie-nie pracy wciąż nie jest łatwe.

– Mój syn wyjechał pracować do Polski. Jest kierowcą tira – mówi Wiktor.

– Moje dzieci są w Petersburgu – wtó-ruje mu Walerij.

– Nie ma tu żadnej nadziei – powta-rzają obaj zgodnie.

Wyczekiwane głosowanie

Tetiana Krasko jest innego zdania. Wie-rzy, że budowanie marki donbaskiego Nowego Jorku przyciągnie inwesto-rów, a dzięki temu poprawi się sytuacja gospodarcza. – Owszem, problemy nie znikną. Ale nazwa zwraca uwagę, a jak jest uwaga, to łatwiej rozwiązać problemy – twierdzi. Dodaje, że już widać, iż wzro-sło zainteresowanie. Także organizacje zagraniczne są bardziej skore do udziela-nia wsparcia.

W 2019 r. po raz kolejny samorząd przygotował dokumenty i wysłał je do obwodu. Tym razem wnioskowano po prostu o przywrócenie historycznej na-zwy. Administracja obwodowa zatwier-dziła wniosek i wysłała go do Kijowa. W lutym komisja Rady Najwyższej po-parła projekt. Po pięciu miesiącach zo-stał poddany pod głosowanie i uchwa-lony.

Tym samym ukraiński Nowy Jork wró-cił na mapy.

© PAWEŁ PIENIAŻEK

Piekarni naprzeciw dworca autobusowego nazwa „Nowy Jork” nie pomogła, firma szybko została zamknięta, jak wiele w tej miejscowości. Nju Jork, Ukraina, czerwiec 2021 r.





KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Stanisław Aronson na balkonie swojego mieszkania w Tel Awiwie, lipiec 2021 r.

Po terminie

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET
Z TEL AWIWU

Zmiana w zasadach repriwatyzacji ma położyć kres oszustwom. Przy okazji może pozbawić ojcowizny pewnego cichego bohatera Polski i Izraela.

SÓDME PIĘTRO ZADBANEGO BLOKU w północnej części Tel Awiwu. Czekając na balkonie mieszkania urządzonym po europejsku. Na mój widok wstaje, wita się krótko, kątem oka zerka na zegarek. Zauważył, że jestem trzy minuty po czasie.

Uświadamiam sobie, że w to piątkowe popołudnie nie spotykamy się w Izraelu, lecz gdzieś między Tel Awiwem a Warszawą. Mój gospodarz należy do przedwojennej polskiej inteligencji, więc obowiązują tu inne zasady. Świetna pamięć, erudycja, bogaty język, który wrócił do niego po czterdziestu latach nieużywania: to Stanisław Aronson, rocznik 1925,

pseudonim „Rysiek”. Oficer AK, żołnierz Kedywu, który o wolną Polskę walczył w powstaniu warszawskim, a o przetrwanie Izraela w wojnie o jego niepodległość i kolejnych. Mówiąc krótko – bohater obojga narodów.

W tym bloku, w korytarzu naprzeciw Aronsona, mieszkał kiedyś Jair Lapid – ten, któremu niedawno, po wielu miesiącach politycznego impasu, udało się powołać koalicję rządową opozycyjną wobec Beniamina Netanjahu. I ten, który na wieść o nowelizacji Kodeksu Postępowania Administracyjnego w Polsce – już jako minister spraw zagranicznych – skomentował, że jest ona niemoralna, bo uderza w pamięć o Holokauście. Teraz Lapid mieszka z rodziną po drugiej stronie ulicy, w niewielkim bliźniaku. Przy podjeździe stoi radiowóz, kręci się ochrona.

– Był jeszcze dziennikarzem, gdy u nas mieszkał, nigdy z nim dłużej nie rozmawiałem. Gdybym teraz miał okazję, to bym mu powiedział, że przegiął. Od razu podniósł temat Holokaustu, a przecież te domy nie za Niemców nam odbierano, tylko za komunistów. Gdyby Rosjanie weszli bez Niemców, to samo by zrobili! Uważam, że repriwatyzacja niepotrzebnie zrobiła się polityczna. Dekret Bieruta jest sprawą przede wszystkim polską i tylko w niewielkim procencie dotyczy polskich Żydów. Żeby takie piekło z tego

powodu rozpętywać, żeby sobie oba kraje skakały do gardeł? To się w głowie nie mieści – kręci głową Aronson.

Wie, co mówi, bo i wojnę, i repriwatyzację poznał na własnej skórze.

Kres idylli

Patrycja Bukalska, dziennikarka „Tygodnika” i autorka książki „Rysiek z Kedywu”, tak opisuje swoją i Aronsona wizytę w Łodzi, w jego rodzinnym domu: „Pałacyk na Żeromskiego (...) wymuskany, pomalowany na jasne kolory, zagubił się w czasie. Stanisław Aronson krąży wokół niego i też nie wszystko mu się zgadza. Tu były budy dla psów, a tu, za płotem, fabryka dziadka. A może trochę dalej? (...) Tu był jeszcze kort tenisowy. Nie, fabryka musiała być dalej, choć łączyła się z ogrodem. Staje przed głównym wejściem i zadziera głowę. Jest. Nad drzwiami widnieją inicjały JK – Jakub Kaffeman – i rok 1911”.

Mowa o Krajowej Fabryce Wstążek, której Jakub był właścicielem wraz ze swoim zięciem, a ojcem Stanisława – Waldemarem Aronsonem. Kaffemano wie i Aronsonowie byli zamożni, prócz fabryki mieli duże udziały w warszawskim Pasażu Simonsa, najbardziej luksusowej galerii handlowej przedwojennej Warszawy.

Choć Stanisław urodził się w Warszawie, to właśnie przy Żeromskiego w Łodzi ➔

→ spędził swoje dalsze dzieciństwo, które w jego pamięci wyryło się wręcz idyllicznie. Pochodził z dużej rodziny zasymilowanych Żydów, dla których edukacja i świeckie wychowanie w duchu polskiego patriotyzmu było czymś oczywistym. Żydowską tradycję podtrzymywano okazjonalnie; Aronson wspomina, że głównie po to, by okazać szacunek dziadkom.

We wrześniu 1939 r. Aronsonowie uciekli z Łodzi: najpierw do Warszawy, potem na ziemie wschodnie RP, do rodziny. Po tułaczce wylądowali we Lwowie, pod okupacją sowiecką. Gdy Hitler uderzył na swojego dotychczasowego sojusznika Stalina i na ziemiach wschodnich wybuchły pogromy (w tym lwowskim, w lipcu 1941 r., zginęło kilka tysięcy Żydów), Aronsonowie uznali, że lepiej będzie przenieść się do warszawskiego getta.

„Miałem szesnaście lat. Ja wtedy zobaczyłem pierwszego trupa na chodniku. Był jak woskowa lala, blady, jak zabawka mojej siostry; leżał przykryty gazetą. (...) Wtedy skończyło się moje życie, moja młodość” – mówił Aronson w książce „Wojna nadejdzie jutro” (wywiadzie rzece udzielonym Emilowi Maratowi i Michałowi Wójcikowi).

Nowa rodzina

Po raz ostatni swoją rodzinę zobaczył na Umschlagplatzu podczas likwidacji getta. Wpakowani do transportu do Auschwitz, uciekł z niego przez okienko na końcu wagonu, gdy pociąg stanął nocą w polach. W kieszeni miał numer telefonu do przyjaciółki siostry. To u niej, w Warszawie, poznał Józefa Rybickiego, dowódcę elitarnego Kedywu w okręgu warszawskim AK. Otrzymał nowe papiery na nazwisko Żurawski, a potem Żukowski. I pseudonim: „Rysiek”.

Rybickiego uważał za swojego drugiego ojca, a Kedyw za nową rodzinę. Wraz z nimi stanął do walki w powstaniu warszawskim. „Rybicki tak dobierał ludzi, aby żadnych antysemickich nastrojów nie było (...). Nigdy nie czułem się tak blisko z jakąś grupą. Ona była jak azyl, jak schron. Ja wtedy byłem kompletnie sam, sam jak palec, a oni mnie przygarnęli” – mówił Maratowi i Wójcikowi.

Potem, już w Izraelu, będzie stać na straży dobrej pamięci o Armii Krajowej. Będzie się denerwować, gdy ktoś zarzuci jej systemowy antysemityzm. – Prawda jest taka: gdzie dowódca był antysemitą,



ARCHIWUM PRYWATNE X2



Stanisław Aronson jako podporucznik armii Andersa we Włoszech, 1946 r.
Z prawej: zaświadczenie o służbie w Drugim Korpusie, wystawione jeszcze na nazwisko, którego Aronson używał w konspiracji wojennej i zaraz po wojnie.



GRAŻYNA MYŚLIŃSKA / FORUM

Stanisław Aronson podczas uroczystości przejęcia tradycji jego oddziału Kedywu AK przez Oddział Specjalny Żandarmerii Wojskowej. Warszawa, lipiec 2014 r.

tam cały oddział był antysemicki. Ale w Warszawie tak nie było. Rybicki bardzo chciał nam pomagać. W Kedywie było nas, Żydów, trzech: ja, Stasiu Likiernik i jeden lekarz, którzy zginęli podczas akcji. Ale gdy mnie przyjmowano, Rybicki zastrzegł: nie opowiadaj nikomu, że jesteś Żydem, bo będą plotki, a to narazi cały oddział – opowiada Aronson podczas naszego spotkania.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa za akowską działalność. Uciekł, a potem znów został złapany, podczas próby wyjazdu do Palestyny. Po ponownej ucieczce przedostał się do Włoch, gdzie zgłosił się do Drugiego Korpusu generała Władysława Andersa. Wyjechał do rodziny do Palestyny, gdzie wciąż służył w stacjonujących tam polskich oddziałach.

Wkrótce po tym, jak oficjalnie zwolnił się z Wojska Polskiego, w Palestynie wybuchła wojna o niepodległość młodego

żydowskiego państwa. Aronson wstąpił do izraelskiej armii. Potem walczył w kolejnych wojnach, osiągając stopień podpułkownika.

Rzecz o sprawiedliwości

W Izraelu pozostał w cieniu. Jego historia jest tu nieznaną, nie udziela wywiadów, nie pokazuje się na przyjęciach. Nie lubi, jak mówi, „być w świetle”. Zresztą to, co miałby do powiedzenia, nie wszystkim by się spodobało.

– Wojna jest straszną rzeczą. Wypełniła większość mojego życia. Stąd wiem, że ona do niczego nie prowadzi. A nasza nieustanna wojna z Palestyńczykami jest nie do wygrania – mówi dzisiaj. – Oni tu żyją i tu zostaną, trzeba się wreszcie na to zgodzić. Nie wolno mówić, że wszyscy są terrorystami. Zresztą ci, co z nami walczą, często po prostu chcą wolności. A ten Lapid, patrzcie go! Tak dziś Polskę krytykuje, a niech patrzy na swoje poletko. Ja bym go zapytał: kto tu się od kogo tego nauczył? Tutaj też żaden rząd nie chce oddać Arabom tego, cośmy im przez te lata bezprawnie zabrali.

Aronson odnosi się do izraelskiego prawa z 1950 r., stanowiącego, że własność osób, które podczas wojny o niepodległość uciekły lub zostały wypędzone, przechodzi do skarbu państwa. W ostatnich tygodniach, przy okazji dyskusji o zmianach w polskim prawie, temat własności arabskiej został podniesiony na łamach izraelskich mediów przez lewicowych publicystów.

W Polsce w ostatnich latach też nie wszystkim pasowały apele Aronsona. Jak ten, aby nie gloryfikować bezkrytycznie żołnierzy wyklętych, albo o to, by Polacy nie unikali rozmów o sprawach trudnych

– np. o szmalcownictwie czy mordach na Żydach wracających po wojnie.

Aronson zwykł mówić, że zło nie jest kwestią narodowości, lecz ludzkiej natury.

Na mocy dekretu Bieruta

O ojcowiznę postanowił się upomnieć, gdy Polska uwolniła się od komunizmu. Do odzyskania miał pałacyk w Łodzi i działkę po Pasażu Simonsa. – Pomyślałem, że spróbuję, w końcu to majątek rodzinny. Na początku było w tym wiele sentymentu, a teraz po prostu chciałem coś dzieciom zostawić, kupić córce mieszkanie. Do Polski mam sentyment niezależnie od tego, czy coś z powrotem odzyskam, czy nie – mówi Stanisław Aronson.

Zaczął od Pasażu. W 1990 r. złożył w warszawskim ratuszu wniosek o zwrot działki pod przedwojennym adresem Nalewki 2A. Wniosek ponowił w latach 1997 i 1999. Pisma pozostały bez reakcji miasta.

W 2010 r. Biuro Gospodarki Nieruchomościami, w odpowiedzi na kolejny wniosek Aronsona – tym razem o przyznanie prawa użytkowania wieczystego – wezwało go do przedłożenia jego wniosku o przyznanie prawa własności czasowej i innych dokumentów potwierdzających spadkobierstwo.

Aronson tego wniosku nie miał. Dziś komentuje: – Dekret Bieruta z października 1945 r., który nacjonalizował grunty w Warszawie, stanowił, że aby potwierdzić przedwojenną własność budynków, należy złożyć wniosek o przyznanie prawa własności czasowej w ciągu sześciu miesięcy od momentu przejścia nieruchomości przez państwo. Gdy Bierut wydawał dekret, byłem ścigany za akowską przeszłość. Jak miałem składać jakieś papiery?

Poparcia udzielił mu wtedy Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, ale to nie poskutkowało. Prezydent Hanna Gronkiewicz-Waltz argumentowała, że wniosek został przez Aronsona złożony po terminie przewidzianym w dekreście Bieruta. Kolejne pisma Aronson składał w latach 2011 i 2012.

W 2013 r. Warszawę obiegła wieść, że w miejscu dawnej lokalizacji Pasażu ma powstać Nowy Pasaż Simonsa. Prawnicy Aronsona złożyli w Biurze Gospodarki Nieruchomościami oświadczenia, które przypominały miastu, że wciąż żyje spadkobierca, a jego roszczeń nie uwzględniono. W 2014 r. Aronson złożył wniosek

o ustalenie odszkodowania, ale nie został rozpoznany.

Wobec systemu

W 2015 r. Aronson próbował dowieść w Sądzie Okręgowym w Warszawie, że działka nie została objęta w posiadanie przez warszawską gminę stosownie do przepisów i dekret Bieruta nie ma tu zastosowania. Jednak sąd uznał, że Aronson „nie ma interesu prawnego” do wytaczania takiego procesu. Sąd Apelacyjny potwierdził tę decyzję w 2016 r.

Wspomina: – Sprawa willi i budynku pofabrycznego w Łodzi upadła jeszcze wcześniej. W hipotece jest wprawdzie zapisane, że była to własność firmy należącej do dziadka i taki był stan prawny latem 1939 r. Ale znalazł się dokument, że dziadek, z obawy przed utratą majątku, przekazał go „na przechowanie” swemu przyjacielowi Niemcowi. Niemcy zrobili później w tym budynku posterunek policji. Sprawa była trudna do wygrania i nie poszedłem z nią już do Sądu Najwyższego.

– Na przykładzie pana Aronsona widać jak w soczewce istotę polskiego problemu z reperywatyzacją – mówi Michał Wawrykiewicz, adwokat Stanisława Aronsona. – Polska przez 30 lat nie wypracowała sensownej, sprawiedliwej i możliwej do realizacji ustawy reperywatywacyjnej, kładącej kres patologiom, które się w tym procesie zdarzały.

– Grupa posiadająca dziś realne roszczenia reperywatywacyjne to, jak się szacuje, ok. 100 tys. osób, z czego małą część stanowią polscy Żydzi – twierdzi Wawrykiewicz. – Nie mówimy tu oczywiście o mieniu bezspadkowym, które jest problemem wydumany: w cywilizowanym świecie nie ma możliwości uzyskania rekompensat ani prawa własności do mienia, które nie ma spadkobierców. A więc cała awantura dotyczy niewielkiej grupy zainteresowanych. Zbyt

małej, aby politykom opłacało się stanąć w ich obronie. Koszt tego byłby zbyt wysoki, bo słowo „reperywatywacja” budzi negatywne emocje, kojarzy się z wyłudzeniem, z oszustwem.

– Mamy tu historię bohatera II wojny światowej, człowieka uczciwego do bólu, który od 30 lat próbuje odzyskać cokolwiek z tego, co należało do jego rodziców – mówi adwokat. – Jedyną ścieżką ma być dla niego okazanie dokumentu wydawanego przez komunistyczne władze, gdy jako akowiec był ścigany przez UB i nie mógł go uzyskać. Od 1990 r. pan Stanisław starał się wykazywać, że to, iż nie złożył papieru w komunistycznym urzędzie, to nie była jego wina. A tymczasem hochsztaplerzy, którzy obracali takimi wnioskami, uzyskiwali mienie bez problemu. To pokazuje wielką niesprawiedliwość naszego systemu.

Bez finału

Aronson miał jeszcze jedną nadzieję: że ów wniosek, wymagany przez dekret Bieruta, złożył ktoś z jego dalszej rodziny. Szukał takich dokumentów, na razie bez efektu.

Nowelizacja Kodeksu Postępowania Administracyjnego – przyjęta przez Sejm i obecnie procedowana przez Senat – stanowi, że takie sprawy jak jego, toczące się w trybie administracyjnym, zostaną umorzone. Nie będzie możliwości dochodzenia roszczeń na drodze cywilnej, bo bez decyzji administracyjnej nie jest możliwe postępowanie sądowe.

Nie wiadomo dokładnie, ile takich spraw, w których stroną są Żydzi, toczy się obecnie w Polsce. Kancelarie prawne, które prowadzą takie sprawy w Polsce i Izraelu, a z którymi rozmawiałam, szacują, że może to być od kilku do kilkunastu tysięcy. Niektóre, jak sprawa Stanisława Aronsona, toczą się od 30 lat.

©© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli w Warszawie, w Wydziale I Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 772/18 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Tadeuszu Barańskim, s. Józefa i Heleny, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Bieliskiego 2/87, ur. 28 października 1962 r. w Warszawie, zm. 21 kwietnia 2016 r. w Legionowie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Wersja startowa

MARTA ZDZIEBORSKA

Po miesiącach ciszy Donald Trump wraca do życia publicznego w USA. Jednak liczne pozwy i śledztwo w sprawie jego firmy Trump Organization mogą pokrzyżować mu polityczne plany.

SOBOTA, 3 LIPCA, SARASOTA NA FLORYDZIE. Były prezydent Stanów Zjednoczonych wchodzi na scenę przy dźwiękach piosenki Lee Greenwooda „Boże, chroń Amerykę” – hymnu amerykańskiego konserwatyizmu, który nieodłącznie towarzyszy jego wiecom. Gdy milkną ostatnie tony, podniecony tłum skanduje „USA, USA, USA!”, w napięciu oczekując na pierwsze słowa Donalda Trumpa. Ten, w granatowym garniturze i tradycyjnie pod czerwonym krawatem, powie wkrótce to, co konserwatywna Ameryka pragnie usłyszeć.

W przeddzień amerykańskiego Dnia Niepodległości Trump wspomina więc o „dumnych patriotach”, o wierze, rodzinie oraz o „wolnych i sprawiedliwych wyborach”. Te ostatnie słowa są nawiązaniem do rzekomych fałszerstw wyborczych, które w listopadzie 2020 r. miały pozbawić go reelekcji.

Jego fanów nie trzeba zresztą przekonywać do tej powtarzanej tezy o „skradzionych wyborach” (tezy, którą wiele razy podważały amerykańskie sądy). Ubrani w białą-czerwono-niebieskie barwy od kilku godzin wymachują flagami z hasłami: „Trump wygrał!”, „Chrzanić Bidena i chrzanić jego wyborców!”, „Zatrzymać kradzież!” (w domyśle: wyniku wyborów).

Grupa najwyraźniej bardzo zdeterminowanych zjawiała się na wiecu z trzymetrową nadmuchiwą figurą Trumpa, która teraz chybotce się na wietrze. Tu, w Sarasocie, frekwencja dopisuje – mimo silnego deszczu przyjechały tysiące ludzi.

Cyfrowy banita

„Staliście tu od tylu godzin i przemokliście. Czy każdy z was jest mokry? Przy najmniej nie musicie dziś już brać prysznic. Deszcz jest taki czysty i przyjemny” – dowcipkował Trump. Dla niego to spotkanie z sympatykami było dopiero drugim jego wiecem od czasu pamiętnego przemówienia z 6 stycznia.

Wówczas – tuż przed zamieszkami, których punktem kulminacyjnym stało się chwilowe zajęcie Kapitolu – Trump zagrzewał zwolenników do dalszej walki o zmianę wyniku wyborów prezydenckich. Po tych wydarzeniach politycy Partii Demokratycznej wnieśli przeciw niemu oskarżenie o podżeganie do rebelii, jednak proces jego impeachmentu – podjęty na ostatniej prostej przed końcem kadencji – ostatecznie zakończył się uniewinnieniem przez Senat, w którym nie było dostatecznej większości.

Donalda Trumpa spotkała za to inna, dotkliwa kara: za szerzenie teorii spiskowych na temat wyborów został dożywotnio zablokowany na Twitterze, a na Facebooku co najmniej na dwa lata. Trudno też obejrzeć w sieci jego wiece – np. na dzień przed spotkaniem w Sarasocie szefostwo platformy YouTube poleciło zablokować planującą transmisję konserwatywny kanał Right Side Broadcasting Network.

Dziś Trump komunikuje się ze światem zewnętrznym za pomocą oświadczeń prasowych i szuka nowych sposobów, aby lepiej dotrzeć do swoich sympatyków. Miesiąc po nieudanej próbie rozkręcenia bloga (pod nazwą „Z biurka Donalda J. Trumpa”) zespół byłego prezydenta uruchomił nowy serwis społecznościowy GETTR, przypominający Twittera. To wszystko nie jest jednak w stanie zrekompensować utraty wcześniejszych możliwości, jakie dawał mu zwłaszcza Twitter.

Walka o Kongres

Zesłany na cyfrową banicję, Trump lubi podkreślać, że padł ofiarą „polowania na czarownice”, i wykorzystuje każdą okazję, by zaatakować niedawnego rywala, dziś prezydenta Joeego Bidena. Nie inaczej było w Sarasocie, gdzie przekonywał, że Demokraci ma przynymać oko na „grasujących po ulicach przestępców”, wpusz-



czać do kraju gangsterów z Ameryki Środkowej, łamać wolność słowa i swobody religijne, a wreszcie – okazywać słabość w relacjach z Rosją, Iranem oraz Chinami.

„W ciągu pięciu miesięcy administracja Bidena próbowała zniszczyć wszystko to, co dla nas drogie. (...) Jeśli tak dalej pójdzie, możecie pożegnać się z waszymi przedmieściami, Dniem Niepodległości, z waszym grillem” – wołał Trump, zagrzewając zwolenników do głosowania na kandydatów Partii Republikańskiej w przyszłorocznych wyborach uzupełniających do Kongresu.

To gra o dużą stawkę, bo jeśli Republikańskie zdobędą przewagę w obu izbach, jeszcze łatwiej będzie im torpedować planowane reformy Bidena, dotyczące m.in. ochrony środowiska, infrastruktury czy polityki migracyjnej. Nowy rozkład sił utrudniłby również zatwierdzenie przez Senat nominacji kandydatów do sądów federalnych i Sądu Najwyższego.

„To jedyny sposób na uratowanie naszego narodu. Musimy zadbać o zwycięstwo w wyborach w 2022 r.” – przekonywał Trump, obiecując, że wraz z przegraną Demokratów w Kongresie w Ame-



OCTAVIO JONES / REUTERS / FORUM

Zwolennicy Donalda Trumpa na wiecu w Sarasocie. Floryda, 3 lipca 2021 r.

ryce „nastanie wolność słowa” i „pojawi się” więcej miejsc pracy.

Czesne dla wnuczków

W najbliższym czasie Trump może mieć jednak ważniejsze rzeczy na głowie niż mobilizowanie elektoratu.

Tuż przed wiecem na Florydzie nowojorska prokuratura oskarżyła o przepięstwa podatkowe jego firmę Trump Organization i zarządzającego nią Allena Weisselberga. Dyrektor finansowy usłyszał zarzuty dotyczące ukrywania przed fiskusem korzyści, jakie czerpał z firmowych bonusów. Według prokuratury biznesowe imperium Trumpa miało na lewo opłacać czynsz za mieszkanie Weisselberga w manhattańskiej dzielnicy Upper West Side, załatwić mu dwa luksusowe auta i ufundować prywatną edukację jego wnuczków (czek na ten ostatni cel miał wypisać sam Donald Trump). W ten sposób Weisselberg miał uchylić się od zapłacenia podatków na łączną kwotę ponad 900 tys. dolarów.

Byłby to wierchołek góry lodowej, bo nadużyć podatkowych mieli dopuszczać się również inni wysoko postawieni me-

nedżerowie firmy. W akcie oskarżenia mowa jest o tym, że w Trump Organization, która m.in. zarządza nieruchomościami, prowadzono dwie księgi przychodów i rozchodów. W jednej, do użytku wewnętrznego, skrupulatnie zapisywano wartość otrzymywanych przez menedżerów bonusów. W drugiej, prezentowanej fiskusowi, pomijano takie informacje, ważne z punktu widzenia opodatkowania. Zdaniem prokuratorów trwający od 15 lat proceder miał służyć jednemu: przyznawaniu menedżerom podwyżek, ale bez konieczności ponoszenia dodatkowych kosztów.

Nic nie wskazuje, aby na tym etapie postępowania przedstawiono zarzuty Trumpowi. Nie oznacza to jednak, że może spać spokojnie. Prokuratorzy próbują teraz dociec, czy jego firma z jednej strony zawyżała wartości nieruchomości, by uzyskać jak najlepsze warunki pożyczek lub polis ubezpieczeniowych, a z drugiej zaniżała te wartości, by korzystać z ulg podatkowych. Kluczowym świadkiem może okazać się tu Weisselberg: przepracował 48 lat w Trump Organization, a wcześniej poszedł już raz na układ z prokuraturą.

Wówczas chodziło o śledztwo w sprawie Stormy Daniels, aktorki porno, której na krótko przed wyborami prezydenckimi w 2016 r. zapłacono za milczenie na temat jej romansu z Trumpem.

„Po prostu się uwzięli”

Teraz, gdy na celowniku prokuratury jest Trump Organization, były prezydent mówi o nagonce sterowanej przez „radikalną lewicę”. Nie omieszkiał poruszyć tego tematu na wiecu w Sarasocie, gdzie działania nowojorskich prokuratorów porównał do prześladowań politycznych w krajach komunistycznych.

„Fabrykują zarzuty, prześladują dobrych, porządných patriotów (...) to fašyzm, autorytaryzm... Ludzie, którzy mówią, że bronią demokracji, niszczą ją na naszych oczach. Radykalna lewica zrobi wszystko, by powstrzymać nasz ruch Make America Great Again” – mówił, sugerując, że śledztwo w sprawie Trump Organization to kara za jego „walkę ze skorumpowanym establishmentem”.

Taka retoryka najwyraźniej trafia do jego zwolenników, na co wskazują cytowane przez dziennik „Guardian” wypowiedzi uczestników wiecu. Np. Garry Petty, 44-letni menedżer w firmie produkującej nawozy sztuczne, przekonywał dziennikarzy, że wszelkie zarzuty wobec Trumpa i jego firmy są „wyssane z palca”. „Szukają na niego haków od pierwszego dnia jego kampanii wyborczej w 2016 r. I do tej pory nic nie znaleźli. Waszyngton nienawidzi Trumpa za to, że jest biznesmenem, a nie politykiem potrzebującym od nich [establishmentu – red.] poparcia i pieniędzy. Cholernie boją się jego kolejnego startu w wyborach i dlatego za wszelką cenę chcą mu zaszkodzić” – twierdził Petty, który zdaje się nie przejmować długą listą śledztw i pozwów złożonych przeciw byłemu prezydentowi.

Wśród spraw większego kalibru wymienienia się śledztwo dotyczące rozmowy telefonicznej Trumpa z Bradem Raffenspergerem, sekretarzem stanu Georgia. Jeszcze jako urzędujący prezydent Trump miał naciskać na urzędnika, aby „znalazł” głosy potrzebne do uzyskania w tym stanie przewagi nad Bidenem (różnica między nimi była tam niewielka). Na Trumpa czeka też seria pozwów cywilnych: od spraw o zniesławienie po kwestie jego odpowiedzialności za podsyćanie nastrojów przed szturmem na Kapitol. ➔



W oczekiwaniu na wiec Donalda Trumpa. Sarasota na Florydzie, 3 lipca 2021 r.

→ To nie koniec jego potencjalnych problemów. Pod koniec czerwca Izba Reprezentantów przegłosowała stworzenie specjalnej komisji śledczej, która może wyjaśnić działania Trumpa w dniu tych zamieszek, których charakter wstrząsnął wieloma Amerykanami.

Niepokojąca retoryka

Głosowanie w sprawie powołania takiej komisji przebiegło w Kongresie według podziału partyjnego. Za jej utworzeniem głosowało tylko dwoje republikańskich kongresmenów, Liz Cheney i Adam Kinzinger, którzy już raz wyłamali się z dyscypliny partyjnej, popierając w styczniu wszczęcie procedury impeachmentu. Większość Republikanów woli nie wychodzić przed szereg, bo za nielojalność wobec Trumpa i jego zwolenników mogliby zapłacić wysoką cenę. Pokazuje to historia Liz Cheney, która w wyniku wewnętrzpartyjnej nagonki straciła ostatnio ważne stanowisko w Izbie Reprezentantów i ma przed sobą trudną walkę o reelekcję.

W Partii Republikańskiej nie brakuje młodych polityków, którzy na sojuszu z Trumpem chcą robić karierę. Portal „Politico” podaje, że w dniu głosowania w sprawie wspomnianej komisji śledczej grupa republikańskich kongresmenów pojechała z Trumpem na granicę z Meksykiem. W przygranicznym mieście w Teksasie były prezydent mówił o konieczności budowy muru i oskarżał Bidena o rzekomo nieudolną odpowiedź na rekordowy napływ imigrantów z Ameryki Środkowej.

Nie bez powodu Republikanie sięgają po temat migracji – to kwestia, która trafia do konserwatywnych wyborców i może stać się motywem przewodnim przyszłorocznej walki o Kongres. Ostatnie miesiące pokazały też, że dobrze sprzedają się kłamstwa dotyczące „skradzionych wyborów” w 2020 r. Taka retoryka niepokoi szczególnie w przypadku lokalnych kandydatów ubiegających się o fotele gubernatorów i sekretarzy poszczególnych stanów – czyli stanowiska, które odgrywają decydującą rolę w procesie organizacji wyborów.

„Dosłownie w każdym kluczowym stanie znajduje się kandydat, który albo podważy wynik wyścigu prezydenckiego w 2020 r., albo brał udział w szturmie na Kapitol. Przyszłoroczne wybory będą referendum nad naszą demokracją” – przekonywała w rozmowie z „Washington Post” Jena Griswold, Demokratka i sekretarz stanu Colorado.

Według badania Reuters/Ipsos aż 61 proc. republikańskich respondentów wierzy, że wybory w 2020 r. „skradziono”, 53 proc. zaś uważa, że to Trump, a nie Biden jest prawowitym prezydentem USA.

Przymiarki do roku 2024

Donald Trump unika deklaracji, czy wystartuje w wyborach prezydenckich w 2024 r. Bada grunt i podczas rozpoczętej pod koniec czerwca serii wieców testuje swoją popularność. Lubi jednak podcożyć się z sympatykami i dziennikarzami; np. w niedawnym wywiadzie dla Fox News mówił enigmatycznie, że „podjął już decyzję” w sprawie roku 2024.

Przyszłość polityczna Trumpa zależy jednak mniej od jego własnej decyzji, a bardziej od dwóch czynników: przebiegu dotyczących go śledztw oraz sukcesu lub porażki tych kandydatów startujących w wyborach do Kongresu, którym udzieli poparcia. Tymczasem w Partii Republikańskiej nie brak polityków, którzy chętnie powalcząliby o Białą Dom. Wśród nazwisk pojawiają się Nikki Haley (była ambasador USA przy ONZ), Mike Pompeo (były sekretarz stanu), senator Ted Cruz i 42-letni gubernator Florydy Ron DeSantis.

Ten ostatni przedstawiany jest jako młodsza i nieco bardziej „ułożona” wersja Trumpa, ponieważ nie zalewa internetu obraźliwymi tweetami. Florydzki gubernator jest ostatnio na fali – tak jak niegdyś Trump, bryluje w konserwatywnej telewizji Fox News i ma dobre notowania w środowiskach republikańskich.

Amerykańskie media przywołują ankietę przeprowadzoną wśród uczestników prestiżowej konferencji konserwatywistów w Denver: wynika z niej, że DeSantis nieznacznie wyprzedza Trumpa w roli faworyta w wyścigu o partyjną nominację (uczestnicy mogli zaznaczyć więcej niż jedną odpowiedź: na DeSantisa głosowało 74 proc., a na Trumpa 71 proc.). Nawet tak nieznaczna przewaga DeSantisa zaskakuje, bo w 2020 r. na tej samej konferencji Trump uzyskał poparcie niemal 95 proc. uczestników.

Nie ustąpimy

Na razie, na ponad trzy lata przed kolejnymi wyborami prezydenckimi, pewne jest jedno: dla konserwatywnych wyborców Trump wciąż jest niekwestionowanym liderem Partii Republikańskiej. Tak wynika m.in. z sondażu Quinnipiac University, według którego aż dwie trzecie republikańskich respondentów chce, aby to on uzyskał partyjną nominację.

Na tym bazuje Donald Trump, który podczas wiecu w Sarasocie przekonywał: „Nie ma szczytu, jakiego nie jesteśmy w stanie pokonać, nie ma wyzwania, jakiego nie moglibyśmy podjąć (...). Nie poddamy się i nie ustąpimy. Nasz ruch jest daleki od zakończenia. W zasadzie dopiero się zaczął”.

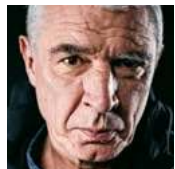
Były prezydent ma rację co do jednego. Nawet jeśli nie wystartuje w 2024 r., filary jego polityki – określane jako „trum-pizm” – nie znikną tak szybko z Ameryki.

© MARTA ZDZIEBORSKA

ANDRZEJ

Stasiuk: Piąta rano.

Wspomnienia



O PIĄTEJ RANO BUDZI MNIE CISZA. ŚPIĘ NA werandzie, więc ta cisza jest jeszcze większa, bo nie wypełnia domu, tylko całą dolinę. Można sobie nawet naiwnie wyobrazić, że wypełnia cały świat. O świecie różne rzeczy przychodzą do głowy. No więc, jak makiem zasiał. Nawet koguty we wsi odpały swoje wcześniej i teraz milczą. Między Mareszką a Uhercem już się złoci. Słońce zaraz się pokaże, przygrzeje i wtedy podniesie się ten zapach. Trochę słodki, ziołowy, podbity leciutką goryczą. Poruszy go delikatny wschodni wiatr i rozniesie po okolicy. Od paru dni jest pogoda i zaczęły się sianokosy. Na zboczach leżą równe pokosy i lśnią metalicznie w ukośnym świetle poranka. Gdy słońce wejdzie wyżej, odzyskają swoją zieloną barwę. Potem nadjadą przewracarki, roztrzępią regularne, płaskie fale ściętych traw, rozniosą, rozwichrzą, żeby wpuścić wiatr i słoneczny żar między źdźbła, które z biegiem dnia zmatowieją, skruszeją i będą pachniały jeszcze mocniej. A potem nadjadą zgrabiarki i na powrót uformują wonny chaos w długie zjeżone wały podszyte gorącym powietrzem lipca. A potem przyjadą prasy i zagarną w siebie owo niemal nieważkie pachnące runo, ścisną je w swoich huczących wnętrznościach, zbiją w ciasne, regularne walce owinięte plastikową siatką. Nie do wiary, że coś tak lekkiego, rozwichrzonego, jak suche źdźbła, można uformować w geometryczne bryły o wadze kilkuset kilogramów... A potem odjadą maszyny i znów zapadnie cisza. Przynajmniej do czasu zwózki, która jednak nie jest już niczym spieszonym, bo tak zbita masa nie wpuści do swojego wnętrza wilgoci i przez tydzień-dwa niestraszny jej żaden deszcz.

No więc leżę sobie spokojnie, w absolutnej ciszy, wdycham zapach kumaryny, ale podświadomie oczekuję najazdu agrotechnicznych zagonów. Wielkich zielonych traktorów John Deere, pras Zeppelina, żelaznych monstrów, które ulżyły człowieczemu losowi.

No dobrze. Ale po co ta cała epika, zanim jeszcze na dobre utworzyłeś oczy? Oczywiście po to, żeby sobie powspominać. (W moim wieku to już dopuszczalne. Nawet jak nikt nie będzie chciał słuchać). Otóż mężczyźni wstawali jeszcze przed świtem, ponieważ najlepiej kościło się „po rosie”. Źdźbła są wtedy ciężkie, mokre i łatwiej się poddają. Dwóch, trzech mężczyzn ramię w ramię w miarowym ruchu, długich pociągnięciach od prawej do lewej z dźwięcznym chrzęstem ostrza tuż na ziemi, bo im niższe koszenie, tym doskonalszy

kosiarz. Sprężysty skręt bioder, prawie jak w tańcu. Ciągnęło się całym ciałem, grzbietem i właśnie biodrami, bo przecież same ręce po jakimś czasie okazywały się zbyt słabe. I krok po kroczku, nie więcej niż o stopę. Zawsze fascynował mnie ten równo wydeptany ślad. Dwie równoległe linie odciśnięte w rzysku. I dwie obok nich, i jeszcze dwie. Jasne koszuły szybko ciemniały od potu. Zlatywały się muchy i gzy i obsiadały niemal czarne plamy. I ani śladu cienia, chyba że gdzieś na miedzy stało samotne drzewo. Dlatego właśnie tak rano, zanim podniosło się słońce. W południe taki wysilek był już ponad ludzką wytrzymałość.

Mój sąsiad stąd, z Beskidu, opowiadał mi to, co jemu opowiadał ojciec. Że przed pierwszą wojną chodziło się na sianokosy „na Węgry”, czyli pewnie gdzieś na dzisiejszą Słowację, a może i dalej, niżej, bo tam koszenie zaczynało się o parę tygodni wcześniej. „I wiesz, co było najważniejsze, żeby nie ustać? Wódka i słonina. To dawało siłę”.

Och, ten bezkres ręcznej roboty. Jako chłopiec z miasta nie musiałem wstawać przed świtem. Zresztą na nic bym się nie przydał. Szedłem dopiero koło południa, gdy pokosy już podeschły. Drewnianymi grabiami (jakże były lekkie) przewracałem je na drugą stronę i roztrząsałem. Wydawało się, że nie mają końca, że znikają za horyzontem, za krzywizną ziemi. W skwarze południa minuty zamieniały się w kwadransy. Żar z nieba robił coś z czasem. Rozpuszczał go? Odparowywał? Chłopaćkie ciało służyło potem i brązowiło. Na początku wakacji miałem bąble na dłoniach. Pod koniec porządne, twarde odciski, z których byłem dumny.

Do pracy wracało się po południu, żeby zgrabić roztrzęsione siano w długie, zgrabne walce, a potem na kupki. Takie, żeby na raz czy dwa wziąć na widły i ładować na furę. Jako najmłodszy podprowadzałem konia za kantar. Od kupki do kupki. Potem awansowałem na wóz, do udeptywania siana, koniczyny czy co tam jeszcze się zbierało. A potem, gdy nabrałem nastoletniej krzepy, do widel, do podawania tych wszystkich plonów, które miały przeżywić zwierzyń. Albo i ludzi, bo w drugiej połowie lata zaczynały się przecież żniwa. Pod koniec dnia nie było cięższej rzeczy niż snop dorodnej pszenicy podawany na wysoko załadowany wóz.

No więc leżę sobie na werandzie, wacham powietrze, które – tak mi się wydaje – ma w pogodny poranek kolor złotozielony. Leżę i wspominam, czekając, aż nadjadą maszyny. Nie to, żebym był jakimś sentymentalnym luddystą. Po prostu czas przyspieszył tak bardzo, że zdarzenia i rzeczy znikają zaraz po tym, jak się pojawiają. Czy ktoś jeszcze pamięta konne żniwiarki? Albo snopowiązałki? Te znaki wyzwolenia od nie-ludzkiego znoju. Ja w każdym razie pamiętam. Patrzyłem zafascynowany, jak zboże kładzie się posłusznie pod ostrzami czerwonej maszyny, znika w jej wnętrzu i po chwili maszyna upuszcza je w postaci ciasno związanego snopa. Pamiętam nawet czasy ręcznego wiązania snopów. Byłem dobry w kręceniu słomianych powróseł. I nie chciałbym, żeby zostało to zapomniane.

©



Twórz / rozwijaj się / poznawaj ludzi. Dołącz do nas na klubtygodnika.pl/wydarzenia

OBJAZDOWE RWANIE

Przez kilkadziesiąt lat przemierzali Polskę – mobilni dentyści z misją leczenia mieszkańców wsi i miasteczek.

ALEKSANDRA KOZŁOWSKA

MĘŻCZYŻNA ZAMKNAŁ OCZY, RĘCE ZŁOŻYŁ na kolanach, palce zacisnął na czapce. Czoło lśni od potu. Głowę przytrzymuje mu – mocno, ale troskliwie – Helena Treczyńska, pomoc dentystyczna. Z drugiej strony fotela doktor Teresa Radecka-Kozłowska z kleszczami w dłoni sięga ku dolnej trójce.

Przy wejściu do busa stoją dwie kobiety, pewnie rodzina mężczyzny. Jako wsparcie? A może straż, gdyby chłop próbował uciekać? Z zapartym tchem przyglądają się zabiegowi. Będzie krzyczał? Nie, pacjent dzielnie znosi rwanie. Skoro dzieci mogą, to on nie da rady?

Jest chłodny sierpniowy dzień 1965 r., gdy do wsi Małdyty (wówczas woj. olsztyńskie) dociera Ruchomy Ambulans Dentystyczny. Młoda dentystka ma leczyć tutejsze dzieci, ale także dorośli lądują na fotelu. To dla nich rzadka okazja, by podreperować uzębienie.

Gabinet przyjechał

Próby zbadania stanu zdrowotnego mieszkańców wsi rozpoczęto wkrótce po II wojnie światowej, zwracając uwagę na uzębienie. Przez długie lata zęby na wsi leczono głównie sposobami domowymi: wódką, gorącymi okładami, a najczęściej po prostu je wyrywano. Służyły do tego narzędzia przerażające już samym wyglądem: obcęgi lub sprzęt słusarski.

W 1945 r. uruchomiono państwową pomoc w tej sferze, czyli Ruchome Ambulanse Dentystyczne. Pokazuje je Kronika Filmowa z 1950 r. „Na wiejskich drogach spotykamy coraz częściej ambulanse ministerstwa zdrowia” – czyta lektor, a w kadrze pojawiają się dwa solidne pojazdy, prawdopodobnie czeskiej marki Praga.

„Ruchomy gabinet dentystyczny odwiedził dziś spółdzielnię produkcyjną we wsi Dzierżanin powiatu płońskiego. Pacjentów nie brak. Mało kto wybrałby się z chorym zębem do miasta. Inna rzecz, jeśli gabinet dentystyczny sam przyjechał na wieś” – ciągnie lektor, a kamera rejestruje długą kolejkę. Kolejny kadr to lekarz w kitlu i jego wąsaty pacjent. „Ekipy ministerstwa zdrowia nie tylko leczą, ale krzewią także kulturę sanitarną na wsi” – podkreśla lektor. Następnie na fotelu siada uśmiechnięta kobieta w chustce, a lektor przy wtrórze wesołej muzyki komentuje: „Jedną z najważniejszych trosk państwa ludowego jest zapewnienie ludności pracującej wszechstronnej opieki lekarskiej”.

Studenci siedzą na zmianę

W takim ambulansie pracował Hubert Pobłocki, kociwiak z urodzenia (rocznik 1934) i zamiłowania. Właśnie po kociwisku opisał swoje doświadczenia z pracy w objazdowym gabinecie. Zatyłował je



„Gawańda. Współmniynia dentysty zesłonygdejszych ruchomych ambulansów dentystycznych wew Bydgoszczy”, a podpisał: Hubek ZambodHubek.

Zanim został ZambodHubkiem, zdał maturę w Starogardzie i w 1951 r. zaczął studiować stomatologię na Akademii Medycznej w Gdańsku. Na pierwszy rok wraz z nim dostało się około dwustu osób, w większości dziewczyny. Powojenna bieda aż piszczala: podczas wykładów studenci siedzieli na zmianę, bo brakowało krzesel, a zimą nie zdejmowali płaszczy – brakowało węgla. Nie było wystarczającej liczby podręczników, zamiast nich nędznie wydrukowane skrypty dzie-



ARCHIWUM RODZINNE AUTORKI x3

Teresa Radecka-Kozłowska przy pracy w ambulansie. Małdyty, sierpień 1965 r.

lone na kawałki, aby starczyło dla każdego studenta.

Jednego nie brakowało tym niedożywionym, źle ubranym chudziakom – zapału do nauki. Pęd do wiedzy wzmacniali profesorowie Akademii, którzy do powojennego Gdańska przyjechali m.in. z Wilna (jak histolog prof. Stanisław Hilner) i Lwowa.

Plombować lepiej za dnia

Z dwustu pierwszoroczników do końca dotrwały 143 osoby. Także Pobłocki uzyskał dyplom i jak wszyscy świeżo upieczeni dentyści stawiał się przed komisją pracy. Usłyszał, że jest kawalerem, a oj-

czyzna w potrzebie. „Ludziom na wiochach ból kły. Wysztafsiyrowała was Polska Ludowa, tedy sóta dłużne Polsce. Kieruja was do roboty na trzy lata na Ruchóme Ambulanse Dentystyczne wew Bydgoszczy” – opisał w rodzimej gwarze rozmowę z „czynnikiem społecznym”. Nakaz pracy zawierał ostrzeżenie, że kto się od niej uchyli, „będzie skazany na pół roku więzienia i ukarany grzywną równą półrocznej wypłacie”.

W styczniu 1956 r. Pobłocki wyruszył na objazdową praktykę po wioskach Borów Tucholskich, Kociewia i Kujaw. Na początku zameldował się w Bydgoszczy u Ireny Sobocińskiej, kierowniczk

Ruchomych Ambulansów. Ta poinformowała, że mają szwedzkie busy z elektryczną bormaszyną, fotelem i wodą w kranie oraz wozy z demobilu z wiertarką nożną (na pedał, niczym dawne maszyny do szycia) i dwoma baniakami z wodą. Ponieważ te szwedzkie były już zajęte przez starszych dentyków, Pobłockiemu przypadł dawny ambulans wojskowy. Sobocińska poradziła mu jeszcze: „Plombować będziecie tylko za dnia, kiedy jest widno. Teraz dni są krótkie. A rwać możecie i przy petrolce (lampie naftowej)”.

Na początku Pobłocki i jego pomoc dentystyczna Helena Blechman trafili do

→ Żalna w powiecie tucholskim. Już pierwszego dnia pod domem Gminnej Rady Narodowej, gdzie mieli przyjmować (codziennie od 8 do 16, w soboty od 8 do 13), kłębił się tłum. Dorośli starali się trzymać fason, dzieci pochlipywały.

Ale im też nie było łatwo. Denaturatu służącego do dezynfekcji cęgów, igieł i szklanych strzykawek mieli tylko pół litra na tydzień. Fotel ślizgał się po podłodze niczym sanki po śniegu. Zwłaszcza przy rwaniu, czego wymagał już pierwszy pacjent, dragał ze spuchniętym policzkiem. Gdy Poblócki usuwał chory ząb, dragał wrzasnął tak, że kolejka pod drzwiami momentalnie zmalala o połowę. W którejś z kolejnych wsi, gdzie pracował, na ścianie domu ktoś namalował ostrzeżenie: „Nie jidźta do dentysty, bo to je rakarz!”.

W olsztyńskich lasach

Ruchomy ambulans był pierwszym miejscem pracy także dla Teresy Radeckiej-Kozłowskiej (mojej mamy). Urodzona w Poznaniu, dorastająca w Szczecinie, na studia wybrała Gdańsk. Dyplom uzyskała w 1961 r.

– Na ambulans dostałam się przypadkiem. Szukałam pracy w Gdańsku, moja mama rozglądała się w Szczecinie. I nic. Pracy w mieście nie było – wspomina Teresa. – Aż któregoś dnia Tolek, wtedy mój narzeczony, spotkał moją koleżankę ze studiów, która pracowała w takim objazdowym gabinecie. Była w ciąży, chciała zrezygnować z wędrownego życia, ale najpierw musiała znaleźć zastępstwo. Zdecydowałam się bez wahania. W ten sposób trafiłam do olsztyńskich lasów.

Z ambulansem jeździła przez pięć lat. Jej rejonem były Warmia i Mazury, przepięknie wśród jezior położone wsie, m.in. Kuty, Kruklanki, Wilkasy, Radziejewo, Warpuny, Małdyty. Wspomina: – Miałam pomoc dentystyczną, panią Helenę. Ja świeżo po studiach, ona w wieku mojej mamy. Szybko się zaprzyjaźniłyśmy, matkowała mi, gotowała. Kwaterę dostawałyśmy w szkole, czasem na plebanii, nieraz w wiejskiej chałupie.

Teresa Radecka-Kozłowska pamięta, że gabinet w ambulansie (dar amerykańskiej Polonii dla dzieci polskich) był bardzo dobrze wyposażony: fotel, maszyna, sterylizator, narzędzia, lampa, spluwaczka, apteczka. – Naszym zadaniem było przede wszystkim leczenie dzieci. Na fotel szły więc kolejno wszystkie klasy.



Antoni Kozłowski. Liksajny, czerwiec 1966 r.

Było co leczyć? – Ojej! Nieprzebrane ilości popsutych zębów. Próchnica była powszechna. Codziennie zbierałam dzieciaki w grupy i tłumaczyłam, co to za choroba, skąd się bierze, jak jej przeciwdziałać. Że trzeba myć zęby pastą albo proszkiem po posiłkach, kóleczkami. Każdy ząbek z osobna.

Borowanie? – Oczywiście, że się bały – opowiada Teresa. – Ale stosowałam łagodną zachętę: „Otwórz bużkę, to ci opowiem bajeczkę”. No i opowiadałam o chorym kotku czy misiu, a maluch słuchał z otwartą buzią. Po leczeniu zawsze chwiliłam, jaki był dzielny.

Pochwały słyszeli też dorośli. Dla nich kontakt z dentystą również był przeżyciem.

Położnik mimo woli

– Oprócz leczenia zębów udzielaliśmy też innej pomocy medycznej – wspomina Teresa Radecka-Kozłowska. – A to ktoś przyszedł z przebiegnięciem, a to z bólem brzucha. Raz przybiegł człowiek z krwawiącą dłońią i obciętym palcem zawiniętym w szmatkę. Chciał, żebym go przyszyła. Oczywiście nie było to możliwe, ale on długo się przy tym upierał.

Także Poblóckiemu zdarzało się udzielać porad nie tylko stomatologicznych.

Niedługo po ślubie (jego wybranką została Zofia Janukowiczówna, wysiedlona z Wileńszczyzny, później śpiewaczka operowa) zatrzymali się razem w Czarzu koło Chełmna. Zofia, choć w ciąży, pełniła funkcję pomocy dentystycznej. Któregoś burzliwego wieczoru pod ich cha-

łupę podjechał wóz, a na wozie chłop i jego gruba, pojękująca z bólu żona. Poblócki zajrzał jej w usta, a tam dolny ząb mądrości wystaje z czerwonego opuchniętego dziąsła. Podał zastrzyk znieczulający, ból ustał. „Tedy ona rozwarła gyri i zes narzondów rodných wyrzwała typytynka niymowlaka” – wspominał po latach.

Zofia wezwała pogotowie z Chełmna, ale z powodu nawałnicy karetka długo nie mogła dojechać. Tak więc to młody dentysta przeciął pępówinę, zawiązał ją nitką do szycia dziąseł i dał pierwszego „klapsa w kuper”. Noworodek okazał się jedenastym dzieckiem w rodzinie. Tydzień później Poblóccy zostali zaproszeni na chrzestnych.

Wędrówki i przyjaźnie

– Lubiałam te wędrówki – uśmiecha się Teresa Radecka-Kozłowska. – Mazury początku lat 60. były wspaniałą krainą, nieodkrytą jeszcze, niezdeptaną.

Przeglądamy czarno-białe zdjęcia: Liksajny, lato roku 1966. Teresa i Helena we wzorzystych kostiumach kąpielowych pozują na pomoście, w tle pas przybrzeżnych trzcin i ściana drzew. Inne zdjęcie, z tej samej wsi: murowany dom, przekrzywiony płot, na nim wiadra, wielkie sito i kanka na mleko. Na pierwszym planie psina, a za nią przykucnięta dentystka z uśmiechem trzyma dwa szczeniaki.

– Ludzie byli otwarci, bardzo gościnni. Szybko nawiązywały się przyjaźnie. A to spotkanie z nauczycielami, a to imieniny sołtysa albo wieczorek w gromadzkiej radzie. Grywało się w brydża, rozmawiało, słuchało niezwykłych historii – wspomina stomatolożka.

Młoda i uśmiechnięta lekarka oraz jej rozgadana pomoc musiały budzić dobre uczucia. Wdzięczni pacjenci do ambulansu przychodzili z kurą czy kaczką pod pachą. Albo przynosili świeżo złowione ryby, kobiałki pełne grzybów. Gdy w kwietniu 1962 r. Teresa Radecka i Antoni Kozłowski brali ślub (tak jak Poblóccy, w oliwskiej katedrze), na weselu podali przywiezione z Mazur jajka, drób i pół cielaka. Prowiant transportowali do Gdańska autobusem PKS (pierwsze własne auto, syrenkę 103, kupili w 1969 r.).

Woda zamarza w miednicy

– Moja mama, Jadwiga Filipiak, na przełomie lat 50. i 60. też pracowała jako dentystka w ambulansie – mówi Izabela



Teresa Radecka-Kozłowska (z lewej) i Helena Treczyńska (na fotelu). Budry, kwiecień 1962 r.

Morska, urodzona w Gdyni pisarka, poetka i krytyczka literacka. – Bardzo ceniła sobie to podróżnicze, pełne wyzwań życie, nawet jeśli wynikało z przydziału pracy. Opowiadała, jak kiedyś w zimie, w ambulansie, w którym miała wąską kozetkę do spania, obudziła się rano i zobaczyła, że woda w miednicy zamarzała na kość. Ale jej się to podobało. Zawsze była kobietą, dla której im trudniej, tym lepiej.

– W latach 80. mama, jako już starsza osoba, wyjechała na wieś – wspomina pisarka. – Zdaje się, że szukała tego, co jako młoda dziewczyna po studiach znalazła, gdy jeździła ambulansem. To, czego pragnęła, do czego tęskniła, to przyjaźń, praca w zespole. Na zdjęciach z tamtych lat widać, jak ona i jej koleżanki oraz koledzy są szczęśliwi, radośni.

Oglądamy pamiątkowe fotografie. Jadwiga (bujne kręcone blond włosy, biały kitel) z koleżanką-lekarką przysiadły w ogródku. Scena tonie w słońcu, a one w uśmiechach. Na innej rozbawiona doktor Filipiak z kurczakiem w rękach pozuje wśród stadka kur i kaczek. Zdjęcia zrobiono w Nowym Batorowie na Żuławach Elbląskich.

Ale nieraz tęskniło się za domem i bliskimi. Hubert Pobłocki w każdą sobotę jeździł pociągiem do swojej Zofii, Tolek Kozłowski koleją albo rozklekotanymi autobusami tłukł się na mazurskie wsie, by zobaczyć ukochaną. Najgorzej było zimą. Mróz i śnieg, a tu od przystanku trzeba kilka kilometrów przejść pieszo.

Jeszcze na początku lat 70. objazdowe gabinety docierały do najdalszych wiosek.

Ze szkolnych kronik

Przyjazd lekarzy był wydarzeniem godnym zapamiętania. Np. dziejopis szkoły w Legbądzie, w Borach Tucholskich, notował w 1952 r.: „Chcąc być zdrowym, trzeba mieć zdrowe zęby. Wszyscy wiemy o tym doskonale. Ludność wiejska jednak uzębienie miała w złym stanie. Nie zawsze chłop wiejski chciał przerwać pracę w roli i udać się do miasta do dentysty. Szkoda czasu – mawiał. W trosce o dobro obywateli Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej Wydział Zdrowia przysłało do wsi Legbąd – Ruchomy Ambulans Dentystyczny. Ambulans wyposażony jest w (...) aparat do wytwarzania prądu elektrycznego. Pracują w nim dwie dentystki, pielęgniarka i mechanik. Dentyści leczą i bezpłatnie plombują zęby mieszkańcom tut. okolicy. Z pomocy dentystycznej korzysta dużo ludzi”.

Dekadę później kronikarz szkolny w podhalańskiej wsi Nowe Bystre pisał, że od października 1963 r. „zaczął w szkole pracę Ruchomy Ambulans Dentystyczny. Stomatolog dr Leszek Dawidowicz wraz z pomocą dentystyczną będą prowadzić leczenie uzębienia dzieci, aż do pełnego wyleczenia. Jak wykazały wstępne badania, potrwa to ponad pół roku. W godzinach wieczornych z usług dentystycznych będą mogli korzystać dorośli, ale za odpłatnością”.

Z kolei do szkoły w Borowym Lesie na Kaszubach gabinet zajęczał w kwietniu 1965 r. Dr Czesława Papiewska i pielęgniarka Irena Marciniak przez kilka miesięcy leczyły zęby uczniów, a popołudniami także dorosłych. „Podczas pobytu obsługa ambulansu, dzięki pełnej poświęcenia pracy, doprowadziła do całkowitego ozdrowienia jamy ustnej u uczniów szkoły” – czytamy w szkolnej kronice.

Dźwięk najstraszniejszy

Ambulans dentystyczny do dziś pamięta Kazimiera Zajączkowska. Od lat mieszka w Gdańsku, ale pochodzi ze wsi Grabówko pod Kościerzyną. – Gdy miałam siedem-osiem lat, do naszej szkoły przyjechał ambulans. Najpierw był przegląd, potem leczenie. Każdy się bał. Stojąc w kolejce, dzieciaki próbowały się migać: „Może ty pójdziesz pierwsza? A może ty?”. Ale nasz wuj, nauczyciel, pilnował. Nie dało się zwać. I dobrze. Teraz nie żałuję – śmieje się Kazimiera.

Nauka higieny? – Na pewno pogadanki by się przydały. U nas w domu nawet szczoteczki do zębów nie mieliśmy. Soda oczyszczona na palec, szast-prast i umyte.

Kazimiera nie ukrywa, że pierwszy kontakt ze stomatologią był dla niej traumatyczny. – Dentystka borowała bez znieczulenia, a jak ktoś jęczał, huknęła tylko: „Siedź cicho! Nie wierć się!”. No i ten dźwięk borowania! Jeden z najgorszych na świecie. Aż w całej głowie świdrowało – wzdryga się.

Przyznaje: – Za komuną nie tęsknię, ale pewne rzeczy, jak objazdowe gabinety, były dobre. Dzięki nim mam do dziś zdrowe zęby. A przecież z ambulansem po raz pierwszy zetknęłam się 55 lat temu. © ALEKSANDRA KOZŁOWSKA

Autorka prosi Czytelników, którzy pamiętają ambulanse, pracowali w nich bądź się tam leczyli, o kontakt: aleksandra.kozlowska2017@gmail.com

Autorka jest reporterką, w tym roku nakładem Wydawnictwa Marginesy ukaze się jej książka „Nowi wikingowie. Polacy na Islandii” (napisana wspólnie z Miellą Wąsiewicz). Obecnie pracuje nad książką o ambulansach dentystycznych. Artykuł zrealizowano dzięki wsparciu Miasta Gdańska.

I ZIMNO, I GORĄCO

Dzięki nowym szczepionkom mamy szansę zyskać przewagę w trudnej walce z malarią. Choroba ta ma jednak niebezpiecznego sojusznika – zmiany klimatyczne.

BARTOSZ KABAŁA

CIAŁO SAMICY KOMARA Z RODZAJU *Anopheles* (widliszek) zbudowane jest z niewielkiej główki, odwłoka i trzech par odnóży. Delikatna konstrukcja owada pozwala skrzydłom unosić resztę jego ciała w powietrzu. W locie komar nie wydaje się zbyt sprawny, choć zwabiony ciepłem skóry, zapachem potu i dwutlenkiem węgla potrafi dotrzeć do człowieka. Mały aparat kłująco-ssący na głowie pobiera bezboleśnie próbkę naszej krwi. Ale wystarczy delikatne uderzenie, by cała ta konstrukcja połamano się i pocięła. Pomijając irytujący dźwięk i swędzący ślad, komar wydaje się nieprzesadnie groźnym stworzeniem. A jednak... Mierzy około 6 milimetrów, waży 5 miligramów i zabija 400 tys. osób rocznie.

Za zgony odpowiada malaria (zimnica), której zarodek przenoszony jest wraz ze śliną komara do ludzkiego organizmu. Zarodek malarii (*Plasmodium*) to pierwotniak – jednokomórkowy organizm należący razem z rzęsistkiem pochwowym czy pantofelkiem ogoniastym do królestwa protistów. Nie należy ich mylić z bakteriami. Pierwotniaki posiadają jądro komórkowe i są organizmami o bardziej skomplikowanym cyklu życiowym, co znajduje odzwierciedlenie również w przebiegu chorób, jakie wywołują.

Trzeciaczka i czwartaczka

Gdy samica komara wkłuwka się w skórę, wstrzykuje kroplę swojej śliny zawierającej substancje hamujące krzepnięcie krwi. Widliszek wraz z nią może przekazać człowiekowi sporozooity – jedną z form życiowych zarodźca malarii. Dostają się do krwiobiegu i w bardzo krótkim czasie większość gromadzi się w wątrobie. Tam dochodzi do licznych podziałów *Plasmodium*. Z jednego sporo-

zoitu powstaje między 10 a 20 tys. nowych osobników. Powstałe w wątrobie formy (merozoity) znów dostają się do krwi. Choroba na tym etapie wciąż jest niema klinicznie. Merozoity potrafią otoczyć się błoną komórkową komórek wątrobowych, dzięki czemu nie są rozpoznawane przez układ odpornościowy.

Kolejnym przystankiem są krwinki czerwone, w których ponownie się dzielą, powodując ich rozpad i wydostanie się kolejnych merozoitów atakujących następne krwinki. To właśnie rozpad erytrocytów odpowiada za objawy typowe dla malarii. Podziały zarodźca malarii w erytrocytach to tzw. cykl rozwoju krwinkowego i jego długość różni się w zależności od gatunku zarodźca. Z tego względu malarię wywołaną przez *P. vivax*, którego cykl krwinkowy trwa 48 godzin, nazywa się trzeciaczką, a *P. malariae* czwartaczką.

Co trzy lub cztery dni nagromadzone merozoity niszczą krwinki czerwone, co powoduje niedokrwistość i niedotlenienie tkanek. Chorzy są osłabieni, zgłaszają nudności i wymioty, ale także kaszel i trudności z oddychaniem. Wraz z merozoitami do krwi dostają się malaryczne toksyny, które uruchamiają kaskady procesów zapalnych. Pojawiają się gorączka, dreszcze i uczucie zimna, by po chwili organizm opanowało nagle gorąco. Ten etap choroby ze szczegółami opisał Henryk Sienkiewicz w powieści „W pustyni i w puszczy”:

– Stasiu, ja chyba jestem chora.
– Nell!

Po czym położył jej dłoń na czole, które było suche i zarazem lodowate. Więc porwał ją na ręce i poniosł ku ognisku.



SHAUL SCHWARZ / GETTY IMAGES



*Malaria jest najgroźniejsza dla dzieci.
Szpital w Kintampo w Ghanie, wrzesień 2007 r.*

– Zimno ci? – pytał po drodze.

– I zimno, i gorąco, ale bardziej zimno...

Jakoż ząbki jej uderzały jedno o drugie, a ciałem wstrząsały ciągle dreszcze. Staś nie miał już najmniejszej wątpliwości, że dostała febrę. (...) Po chwili zaczęła się skarżyć na gorąco, a jednocześnie trzęsła się pod wojskami i pod pledem. Ręce jej i czoło były wciąż zimne, ale gdyby Staś znał się choć cokolwiek na febrycznych przypadłościach, byłby poznał z jej nadzwyczaj niespokojnych ruchów, że musi mieć straszliwą gorączkę.

W opisie zmagają Nel Rawlison z febrą, jak nazywano kiedyś malarię, zawarta jest również typowa dla choroby cykliczność objawów: „Staś w pierwszej chwili przeraził się okropnie, myślał bowiem, że umarła. Ale to był tylko koniec pierwszego paroksyzmu tej strasznej afrykańskiej febry, zwanej »zgubną«, której dwa ataki ludzie silni i zdrowi mogą przetrzymać; trzeci go nie przetrzymał dotychczas nikt”.

Spór o Nobla

Henryk Sienkiewicz wyposaża swoich bohaterów w wiedzę o transmisji malarii („Staś słyszał jeszcze w Port-Saidzie, że komary i muchy roznoszą febrę i zarazki zapalenia oczu”), choć akcja powieści rozpoczyna się w 1884 r. Tymczasem częściowych dowodów na związek malarii z komarami dostarczył dopiero w 1897 r. Ronald Ross, brytyjski lekarz wojskowy. Ross pracował wówczas w Indiach, gdzie problem malarii i komarów był niezwykle palący. Pierwszych odkryć dokonał w maju 1895 r. – zaobserwował w przewodzie pokarmowym komarów wczesne formy zarodźca malarii. Jednak prace przerwały mu obowiązki związane ze zwalczaniem cholery, a później własne przechorowanie malarii. Dopiero po dwóch latach powrócił do badań. Wyhodował 20 komarów, które później zaraził, pozwalając im pić krew z jednego z malarycznych pacjentów. W ten sposób potwierdził, że pewne formy pierwotniaka pojawiają się w przewodzie pokarmowym owada, a ich źródłem jest ludzka krew.

Ross odkrył zatem transmisję zarodźca malarii z człowieka do owada, ale nie dowiódł drogi odwrotnej. W kolejnych latach przeniósł się do Kalkuty, gdzie malaria nie była tak poważnym



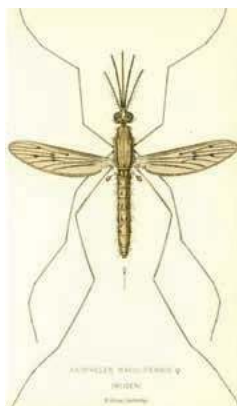
→ zagrożeniem. Z powodu braku materiału do badań zwrócił swoje intelektualne wysiłki w kierunku malarii ptasiej. Zauważył, że u wróbla malaria związana jest z komarami z rodzaju *Culex*, a badając te owady odkrył w ich śliniankach duże ilości pierwotniaka. Komar wkłuwając się w skórę ptaka wraz ze śliną dostarcza do ptasiego organizmu zarodek malarii.

Ross domknął cykl życia *Plasmodium*, ale jedynie pośrednio. Obserwował przecież dwa różne gatunki zarodźca malarii, w dwóch różnych momentach cyklu. W dodatku jeden z nich nie wywołuje malarii u ludzi.

W tym samym czasie wyniki swoich badań prezentował włoski lekarz i zoolog Giovanni Grassi. To on odkrył i opisał te gatunki *Plasmodium*, które powodują malarię u ludzi, a także spostrzegł, że to widliszek odpowiada za transmisję zarodźca. Ten sam rodzaj komarów badany był w Indiach przez Rossa, ale Brytyczyk jedynie go opisywał, nie wskazując nazwy systematycznej („szary owad o nakrapianych skrzydłach”). Zarówno prace Grassiego, jak i Rossa zasługiwały na wszelkie nagrody. Jedną z głównych przyczyn zgonów na świecie wreszcie została ze szczegółami opisana. Dla Imperium Brytyjskiego malaria była problemem kolonialnym, tropikalną chorobą, która utrudniała rozwój zamorskich terytoriów. We Włoszech zaś była powszechna.

Obu naukowcom zależało na zrozumieniu choroby i obaj mocno się do tego przyczynili. Nic dziwnego, że Komitet Noblowski planował uhonorować ich najwyższym naukowym zaszczytem. Jednak pogoń za wieczną chwałą, jaką daje tytuł noblisty, zawładnęła umysłem sir Rossa, który już w 1900 r. rozpoczął akcję dyfamacyjną wobec Grassiego i innych badaczy. Twierdził, że włoski naukowiec rozpoznał widliszka właśnie dzięki szczegółowemu opisom, których dostarczył. W dodatku Grassi miał zmieniać daty w notatkach i publicznych wystąpieniach, by chronologicznie być zawsze o krok przed Brytyjczykiem. Konflikt miał zostać rozwiązany przez Roberta Kocha. Był to człowiek o ogromnym autorytecie naukowym, jednak przed laty skonfliktowany z Grassim, więc trudno podejrzewać go o neutralność. Nagrodę Nobla w 1902 r. otrzymał Ronald Ross za odkrycie transmisji zarodźca malarii z człowieka na owada oraz ze ślinianek owada do organizmu ptaka.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA



**SAMICA WIDLISZKA
PLAMISTOSKRZYDŁEGO**, jednego z gatunków komarów przenoszących zarodźca malarii. Ilustracja z pracy G.H.F. Nuttalla i A.E. Shipleya z 1901 r.

Leczenie gorączką

Dziś Włochy nie są miejscem, które posądzałibyśmy o wysokie ryzyko zarażenia malarią, ale pod koniec XIX w. chorowało tam na nią dwa miliony osób rocznie, z czego 20 tys. umierało. Włochy zostały uznane przez WHO za kraj wolny od malarii dopiero w 1970 r. Polska uzyskała ten certyfikat jedynie trzy lata wcześniej, choć zniknięcie rodzimej malarii nastąpiło już w latach 50. Początek rejestrowania epidemiologii malarii w II Rzeczypospolitej to rok 1921. Wówczas zanotowano, najwięcej w historii, ponad 50 tys. przypadków. Były to głównie łagodne zachorowania związane z *P. vivax*, choć zdarzały się również groźne dla życia infekcje *P. falciparum* – głównie wśród żołnierzy wracających z frontu bałkańskiego I wojny światowej.

Malaria występowała na terenie Polski również wcześniej. Wielkie epidemie tej choroby były dość częste pod koniec XIX w. Jednym z ognisk epidemicznych była Warszawa. W latach 1848-79 liczba przypadków stale wzrastała, chorzy na malarię czasem stanowili blisko 4 proc. wszystkich pacjentów w warszawskich szpitalach. Także polscy naukowcy zajmowali się badaniem malarii. Wśród nich był jeden z najznakomitszych polskich lekarzy w historii, Tytus Chałubiński. W podręczniku dotyczącym praktycznego podejścia do leczenia malarii z 1875 r. dokonał niezwyklej obserwacji: „Nawiasowo musimy tu dodać jeszcze, iż gorączka zimnicza nie tylko jest w stanie znieść zakażenie malaryczne, które ją wywołało, ale w niektórych razach, nie ulegających żadnemu zaprzeczeniu, znosi inne mniejsze lub

większe zaburzenia chorobne. (...) Posiadamy na to poważne bardzo świadectwa”.

Ten fenomen, o którym trochę przy okazji wspomina Chałubiński, w późniejszych latach został odkryty ponownie. W 1917 r. Julius Wagner-Jauregg, austriacki psychiatra z niechlubną nazistowską kartą w biografii, zastosował zastrzyki z malarii do leczenia kiły ośrodkowego układu nerwowego. Po zarażeniu *Plasmodium* chorego na zaawansowaną postać kiły pojawia się u niego gorączka, która w tym przypadku ma efekt terapeutyczny. Gorączka miała prowadzić do eradykacji z organizmu krętka białego – bakterii powodującej kiłę. Tak powstała piroterapia – metoda leczenia chorób sztucznie wywołaną gorączką, przede wszystkim z myślą o trudnych do opanowania objawach psychiatrycznych. Choć leczenie kiły malarią nie było najbezpieczniejszą i najskuteczniejszą procedurą, austriacki lekarz otrzymał za nią Nagrodę Nobla.

Indiański wynalazek

Można się zastanawiać, jaką korzyść niesie zapadanie na dwie choroby zakaźne wobec chorowania na jedną, ale malarioterapia rzeczywiście była stosowana i możliwa dzięki znanemu od lat i skutecznemu lekarstwu. W teorii po szybkim wyleczeniu kiły pacjentom podawano chininę i pozbywano się również malarii. I choć pierwsze nie zawsze się udawało, to chinina była dla pacjentów malarycznych wybawieniem.

Chinina to lek pochodzenia roślinnego, jeden z najstarszych stosowanych w medycynie. Znaleźć go można w korze drzewa chinowego, rosnącego naturalnie w Ameryce Południowej. To właśnie tam w XVII w. jezuici misjonarze zaobserwowali, że członkowie plemienia Quechua sporządzają z tej kory preparat – i sprowadzili ją do Hiszpanii. Wywar łagodził gorączkę o typowej dla malarii periodyzacji i wyłączał ją. Co ciekawe, podejrzewa się, że malaria dotarła do Nowego Świata w XVI w. za sprawą osadników z Europy i Afryki. Trzeba było więc zawlec chorobę do nowo odkrytej Ameryki, by w ciągu kilkudziesięciu lat jej rdzenni mieszkańcy znaleźli Europejczykom lekarstwo.

Przez długi czas lekiem była po prostu kora, dopiero w 1832 r. udało się wyizolować z ekstraktu z rośliny alkaloid, który dziś znamy jako chininę. Próby sztucznej syntezy tego związku nie były skuteczne.

William Perkin, brytyjski chemik, starając się uzyskać chininę w laboratorium stworzył coś bardziej dochodowego – pierwszy sztuczny barwnik. Jego przypadkowe odkrycie przyniosło mu ogromną fortunę. Do dziś chinina uzyskiwana jest głównie ze źródeł naturalnych.

Zamiast syntetycznej chininy powstało za to wiele innych leków antymalarycznych, które dziś stosowane są nie tylko w leczeniu malarii. Jednym z nich jest chlorochina lub jej analog hydroksychlorochina. Oba stosuje się również w reumatoidalnym zapaleniu stawów i toczniu, a niedawno zyskały popularność jako środki skuteczne w leczeniu COVID-19, choć to ostatnie wskazanie zostało dość szybko obalone.

Jak w przypadku wielu chorób zakaźnych, problemem jest oporność patogenu na leki. Przykładowo wśród *P. falciparum* opisano oporności na wszystkie dostępne dziś leki, choć szczęśliwie te zdolności patogenu nie rozprzestrzeniają się po świecie tak błyskawicznie, jak dzieje się to u bakterii. Mimo wszystko zamiast leczyć, lepiej zapobiegać.

Pozbądźmy się komarów

Giovanni Grassi stworzył dogmat o tym, że „nie ma malarii bez *Anopheles*”, więc pozbywając się widliszka pozbedziemy się choroby. Jedną z pierwszych metod było osuszanie bagien i likwidowanie zbiorników wodnych, w których rozwijały się komary, ale z oczywistych względów nie jest to najskuteczniejszy sposób. To właśnie we Włoszech w 1944 r. po raz pierwszy zastosowano na masową skalę syntetyczny środek owadobójczy DDT. Wkrótce rozpoczęto opryski w innych krajach i malaria była w odwrocie. Związek jednak nie pozostaje bez wpływu na środowisko. Kilka lat później WHO zdecydowała, że insektycyd można stosować jedynie w budynkach do opryskiwania ścian. Powszechne stosowanie ograniczono także ze względu na koszty oraz pojawienie się opornych na ten środek komarów.

Prób eliminacji komarów ze środowiska lub przynajmniej ograniczenia ich liczebności podejmowano wiele. Dzięki staraniom WHO w zagrożonych regionach znacznie wzrosła liczba domów zaopatrzonych w siatki nasączone środkami owadobójczymi. W niektórych miejscach prowadzi się hodowle ryb komarozernych. W Burkina Faso zaś w ostatnich latach planuje się wypuszcze-

nie genetycznie zmodyfikowanych samców komara, które mogą spłodzić wyłącznie kolejne samce. Ma to doprowadzić komary do katastrofy demograficznej i wywołać spadek liczby żywiących się krwią i zarażających malarią samic.

Jak na razie Target Malaria – konsorcjum naukowe zajmujące się zwalczaniem malarii – wypuściło próbnie ponad 6 tys. genetycznie zmodyfikowanych osobników, które jednak pozbawione zostały możliwości rozmnażania. Testy zakończyły się pomyślnie – laboratoryjne komary radziły sobie w środowisku i stały się częścią chmar wraz z dzikimi komarami. Choć to dopiero wstęp, eksperyment już wywołuje kontrowersje. obrońcy bioróżnorodności zwracają uwagę na ryzyko wyginięcia całego gatunku, czego konsekwencji nie sposób na tym etapie badań przewidzieć.

Szczepionki: nadchodzi przełom?

Jeśli wybicie wszystkich komarów przenoszących malarię jest trudne do osiągnięcia, to jeszcze bardziej skomplikowane było przez lata stworzenie szczepionki na tę chorobę. Jednak najnowsze osiągnięcia dają nadzieję. W maju tego roku w czasopiśmie „Lancet” ukazało się przełomowe badanie, w którym szczepionka przeciw malarii wreszcie osiąga skuteczność wymaganą przez WHO. Preparat o nazwie R21 w połączeniu z adjuwantem Matrix-M (jest to substancja wzmacniająca odpowiedź immunologiczną) przetestowano na grupie 450 dzieci z Burkina Faso. To właśnie wśród dzieci malaria zbiera obecnie największe żniwo. W jednej z grup szczepionka wykazała 71-procentową skuteczność, co było rekordowo wysokim wynikiem w porównaniu z poprzednimi próbami innych grup naukowców. Do tej pory największe nadzieje wiązano z Mosquirix, która to szczepionka, dopuszczona do stosowania na terenie Unii Europejskiej w 2015 r., działa w około 50 proc.

W innej grupie burkińskich dzieci, której podano wyższą dawkę adjuwanta, szczepionka R21 osiągnęła 77 proc. skuteczność, czyli przekroczono zakładany przez WHO 75-procentowy próg odporności. Jeszcze w tym roku planowane są badania w czterech afrykańskich państwach na grupie blisko 5 tys. dzieci. Kluczowy będzie też czas trwania odporności. Skuteczność Mosquirix po czterech latach spadała poniżej 40 proc.

Obie szczepionki wykorzystują jedno z białek zarodźca obecne na powierzchni komórki, ale pod koniec czerwca zaprezentowano inne i jeszcze skuteczniejsze podejście. Dwie badaczki z Narodowego Instytutu Chorób Zakaźnych i Alergicznych w Bethesda w USA, Agnes Mwakingwe-Omari i Sara Healy wraz ze współpracownikami, opublikowały raport z eksperymentu, w którym testują szczepionkę opartą na całym i żywym zarodźcu malarii. Wykorzystanie całego patogenu w wakcynologii nie jest niczym nowym – stosuje się szczepionki z całym wirusem odry albo bakterią gruźlicy, ale w przypadku malarii do tej pory takie podejście było bardzo nieskuteczne. Tym razem skuteczność sięga prawie 88 proc. Eksperyment przeprowadzono na 42 ochotnikach, którym wstrzyknięto sporozycy *Plasmodium falciparum* w osłonie leków antymalarycznych, które nie pozwalały zarodźcom przejść w formę atakującą wątrobę i erytrocyty. Choć to jedynie wstęp do kolejnych badań i późniejszego wprowadzenia szczepionki na rynek, sukces tej próby jest niewątpliwy.

Klimat na malarię

Wydaje się więc, że naukowy i społeczny postęp prowadzi nieubłaganie do ograniczenia ryzyka zachorowania na malarię i tak jak w przypadku innych, znanych od lat chorób zakaźnych, tereny jej występowania będą się coraz bardziej kurczyły. Znamy patogen, który powoduje objawy, i wiemy, jaki wektor go przenosi. Niestety, w grę wchodzi jeszcze inny czynnik – klimat.

W Polsce od zawsze występują warunki klimatyczne pozwalające na życie zarówno widliszków, jak i zarodźców malarii. W ciągu roku mamy przeszło sto dni, gdy temperatura utrzymuje się powyżej 16 stopni Celsjusza. To wtedy może rozwijać się zarodek. Co ważne, im cieplej, tym szybciej kręci się koło cyklu życiowego *Plasmodium*. W temperaturze 20 stopni cykl życiowy trwa 26 dni, ale już przy 25 stopniach – 13 dni. A im krócej trwa cykl życiowy, tym wyższe jest ryzyko rozprzestrzeniania się choroby w populacji.

Dlatego w obliczu galopujących zmian klimatycznych pytanie o powrót malarii na tereny od dziesiątek lat od niej wolne jest w pełni uzasadnione.

© BARTOSZ KABAŁA



UCZĘ SIĘ MÓWIĆ

JULIA CIMAŹIEJEWĄ, POETKA BIAŁORUSKA:

Jedna z uczestniczek demonstracji zapytała męża:
„Napisze pan o nas?”. Odpowiedział: „Tak, napiszę”.

JULIA CIMAŁIEJEW jest białoruską poetką, tłumaczką, współzałożycielką magazynu literackiego „PrajdiSvet”. Autorka tomów wierszy „Księga błędów” (2014) i „Cyrk” (2016). Jej wiersze były tłumaczone na angielski, szwedzki, niemiecki, czeski, ukraiński, polski. Obecnie przebywa w Grazu (Austria).

dziesięciu pięciu lat podzielił się z nami swoimi wspomnieniami. Młodość mojej babci, od strony mamy, także przypadła na wojnę i minęła na tułaczce. Dziadek od strony ojca został jako chłopak wywieziony do niewoli w Niemczech. To było pokolenie pozbawione dzieciństwa i wychowane na strachu.

Stąd ten wiersz?

„Kamień strachu” jest wierszem autobiograficznym. Ja także doskonale zdaję sobie sprawę, czym jest strach. Urodziłam się w latach 80., ale nie raz poczułam go na własnej skórze. Moi rodzice zawsze mnie upominali. Prosili, żebym nie mówiła „zbyt wiele”. Chcieli, żebym nie miała „zbyt wysokich oczekiwań wobec życia”. Trzeba żyć „po cichutku”. Trzeba przetrwać. Ale „Kamień” opowiada nie tylko o mojej rodzinie. Dotyczy całej Białorusi.

W wierszu pojawia się sformułowanie: „kamień nie pozwala nam mówić”. Obejmuje ono kilka pokoleń moich przodków, którzy latami milczeli. Milczeli na temat stalinowskich represji, w tym Wielkiego Terroru i masowych egzekucji w 1937 r. Milczeli o tragicznych wydarzeniach II wojny światowej. Moi rodzice urodzili się po śmierci Stalina, ale i tak doskonale wiedzieli, czym jest nasz rodzinny strach. Im także odebrał on zdolność mówienia. Na niewiele się tu zdała odwilż.

Czemu tę „rodzinną relikwię” trzeba chronić? To ironia?

Bo strach ma też pozytywną funkcję, nie powinien kojarzyć się wyłącznie z czymś złym. W świecie przyrody strach może ocalić zwierzęta przed niebezpieczeństwem. Podobnie jest z ludźmi. Boisz się, więc gdzieś nie idziesz. Boisz się, więc czegoś nie zrobisz, czegoś nie powiesz. Wycofasz się we właściwym momencie. Może właśnie dzięki strachowi my, Białorusini, przeżyliśmy. Przetrwaliśmy jako naród. Strach nas chronił. Może w przeciwnym razie zostalibyśmy całkowicie zgładzeni przez stalinistów albo faszystów?

ALHIERD BACHAREWICZ

JOANNA BERNATOWICZ
i **MAŁGORZATA NOCUŃ**: Wciąż nosisz swój kamień strachu?

JULIA CIMAŁIEJEW: Chodzi o kamień z wiersza pod tym tytułem? „Dostałam w spadku / swój strach – / rodzinną relikwię, / drogocenny kamień”? Moja rodzina, od strony mamy i taty, pochodzi ze wsi. Na Białorusi – jak i w innych krajach Europy Wschodniej – ludzie na wsi byli traktowani jak niewolnicy. Po-

zbawieni praw, poddawani okrutnym represjom. W czasach radzieckich zmuszano ich do morderczej pracy w kołchozie, głodzono, wysyłano na front bez broni i przygotowania.

Mój dziadek walczył podczas II wojny światowej. O tamtym czasie nigdy nie mówił. A myśmy go o nic nie pytali. Niekiedy tylko wyciągał swoje ordery, a my mogliśmy je podziwiać. Strach przelał przed śmiercią. W wieku dziewięć-

→ Ty – jako poetka – przerywasz milczenie.

Tak. Moje pokolenie powinno już przełamać strach, przestać milczeć. Powinno podjąć próbę opisanie naszej historii. W ubiegłym roku, w czasie powyborczych protestów, kiedy na ulice białoruskich miast wyszły tysiące ludzi, zaczęłam pracować nad „Dziennikiem mińskim” – zapisem wspomnień i refleksji z tamtych chwil. Udokumentowałam także przemoc, której przeciwko nam użyto. Zrobiłam to pomimo strachu, który wciąż jest we mnie obecny.

Walencin Akudowicz – białoruski filozof i publicysta – w eseju „Apokalipsa, której nie było” dotyka tematu Czarnobyli. Píše, że Białorusini mają nadzwyczajną zdolność przeżywania katastrof, ponieważ szybko o nich zapominają i idą do przodu.

Tak. Milczymy. I „idziemy po cichutku dalej”. Ale historia nie stoi w miejscu. Ostatnie stulecie białoruskich dziejów nie zostało praktycznie udokumentowane. Milczący naród nie pisze swojej historii. Brakuje więc profesjonalnych opracowań, podręczników. Przyczyną był m.in. ten strach. Baliśmy się, że jeśli zaczniemy mówić, stawiać pytania, to „każde nasze słowo może być wykorzystane przeciwko nam”. Inaczej było choćby w Rosji, która dziś jest przecież krajem autorytarnym. Tam na pewien czas otwarto archiwa. Najnowszą historię zbadano i udokumentowano. Powstały rzetelne książki i opracowania naukowe.

Zaczęłaś pisać „Dziennik miński” w poczuciu, że uczestniczysz w historii.

W ubiegłym roku „Financial Times” poprosił mnie o napisanie felietonu na temat protestów. Nie czułam się na siłach. „Mam depresję, nic z tego nie będzie” – mówiłam. Ale zaczęłam pisać. Okazało się, że po angielsku pisze mi się łatwo. Towarzyszyło mi przedziwne uczucie: mogłam na siebie spojrzeć z boku, tak jak spogląda się na kogoś innego. Tekst powstawał praktycznie sam. Pisanie przyniosło mi siłę i ulgę.

Mój szwedzki wydawca chciał, żebym napisała na temat protestów coś więcej niż felieton. Poczułam, że mam w sobie potrzebę, by wszystko to opowiedzieć. Ocalić. Udokumentować historię moją

i mojego kraju. Zaczęłam na szybko pisać książkę.

„Mój europejski wiersz”, mówiący o tym, że słowo „boję się” może wybrzmieć po angielsku, niemiecku, szwedzku, ale nie po rosyjsku, białorusku czy ukraińsku, także napisałaś w języku angielskim, podobnie jak dziennik. Rzeczywiście nie znalazłaś potrzebnych Ci słów w języku białoruskim?

Podczas protestów chciałam tworzyć poezję. Próbowałam pisać po białorusku. Nie udawało się. Dopiero za granicą powstało kilka wierszy.

W takich chwilach pojawia się niebezpieczeństwo, że wiersz przepełniony będzie patosem. Będzie „nadmuchany”. Być może takie liryki dają siłę protestującym, ale ja bałam się zdradzić poezję jako gatunek literacki. Zastanawiałam się więc, czy może nie lepiej wybrać milczenie? Albo napisać dziennik? Wybrałam pracę nad dziennikiem.

Rzeczywiście, ciężko mówić o strachu, frustracji. I niektórych rzeczy po białorusku powiedzieć nie umiem. „My European Poem” przyszedł do mnie w języku angielskim. Piszę w nim:

*Nie mogę tego powiedzieć po białorusku,
Nie mogę tego powiedzieć po rosyjsku,
Nie mogę tego powiedzieć po ukraińsku,
Tylko po angielsku: I am afraid,
Tylko po niemiecku: Ich habe Angst,
Tylko po norwesku: Jeg er redd.
(...)*

*Boję się,
Jak ty bałbyś się na moim miejscu,
Gdybyś mieszkał w kraju, który nie jest wolny,
W którym ma się tego samego prezydenta
Od 26 (!) lat. O mój Boże! więcej
Niż dwie trzecie swojego życia spędziłam
Pod władzą szaleńca,
Na którego nigdy nie głosowałam!*
(przeł. Bohdan Zadura)

Angielski dał mi także możliwość zwrócenia się do społeczności międzynarodowej. Pozwolił spojrzeć na sytuację z dystansu. Język sprawia, że po raz kolejny traumę przeżywa inna osoba, nie ja. To ona jest uczestnikiem wydarzeń. Wychodzi na ulicę, ucieka przed milicjantami.

Czy społeczność międzynarodowa rozumie, o czym piszesz?

Kiedy napisałam „My European Poem”, w internecie wiersz udostępniono ponad dwieście razy. Był bardzo dobry przekład na język litewski. W Wielkiej Brytanii tłumaczenie „zredagowano”, wyzrucano frazy, które były dla mnie ważne. Odmówiłam zgody na druk. Tłumacze, redaktorzy muszą rozumieć kontekst wydarzeń. Interesować się regionem, być świadomi jego historii. Redaktor, który zajął się moim wierszem, nie poczuł go. Nie zrozumiał jego sensu.

Kiedy „Dziennik miński” ukazał się w Szwecji, zaproszono mnie na spotkanie ze studentami. Bardzo ważne były dla mnie uwagi studentek pochodzących z rodzin imigrantów z Syrii czy Iranu. Te dziewczyny doskonale mnie rozumiały i bardzo chciały, żeby moja książka została przetłumaczona na ich języki. Chciały móc ją przeczytać po arabsku czy persku i dać taką możliwość swoim bliskim.

Ta rozmowa uświadomiła mi, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni, choć żyjemy w innych kulturach i dzielą nas tysiące kilometrów. Dyktatorzy sprawujący władzę w naszych państwach się przyjaźnią, zawierają sojusze, pożyczają sobie pieniądze i w razie potrzeby gwarantują nawet wysłanie wojsk w postaci „bratniego kontyngentu”. My także powinniśmy się przyjaźnić. Chcę też podkreślić, że w historii opisanej w „Dzienniku” nie ma żadnego heroizmu. Na odwrót. Wciąż uciekamy, płacemy. Jesteśmy pogrążeni w depresji i smutku. Nie chcemy wychodzić z domu, chcemy się schować. Boli nas głowa. Jesteśmy zwykłymi ludźmi. Podobnymi do ludzi żyjących w krajach demokratycznych. Dlatego „Dziennik” ma swoich czytelników i czytelniczki na Zachodzie. A dla czytelników i czytelniczek z krajów wschodnich (nawet z Syrii czy Iranu) opisana przeze mnie historia ma charakter uniwersalny.

Twój mąż, białoruski prozaik Alhierd Bacharewicz, pisał w grudniu, wkrótce po Waszym wyjeździe z Białorusi: „Pisarze na wygnaniu – tak się to nazywa w języku zagranicznych instytucji literackich. Tak, jesteśmy na wygnaniu. Nie, nie jesteśmy na emigracji. Nie prosiłobyś też o azyl polityczny – mnóstwo ludzi ma podstawy, by go otrzymać, ale nie my, nas ominęło najgorsze. To stypendium literackie,

które dostają autorzy z takich szczęśliwych krajów jak Kuba, Korea Północna, Imperium Rosyjskie, Somalia, Syria, Zimbabwe, Ukraina... Z miejsc, gdzie toczy się domowa albo Prawdziwa Wielka Wojna. Z miejsc, gdzie ludzkie życie nie kosztuje, a słowo »wolność« wywołuje szyderczy śmiech».

Obecnie mieszkamy w Austrii. Zaprościło nas miasto Graz. Tu mogłam się zająć redakcją „Dziennika”. Opisywałam wydarzenia w porządku chronologicznym. Zaczęłam od piątego sierpnia, dnia, w którym stworzyłam „My European Poem”.

Praca nad tą książką zmusiła mnie jednak do ponownego przeżycia traumy. Książka to coś więcej niż esej. To było trudne zadanie. Był grudzień, wracałam wspomnieniami do wydarzeń z lata i jesieni ubiegłego roku. Przeglądałam swoje notatki, fotografie, rozmowy toczone w Telegramie, medium przypominającym Facebooka. Odtwarzałam dzień po dniu: gdzie byliśmy, z kim się spotkaliśmy, o czym rozmawialiśmy. Powtórnie przemierzałam ulice swojego miasta. Przeglądałam wiadomości publikowane w internetowym medium Nexta. Pograżałam się w histerii. Książkę zakończyłam rozdziałem o naszym życiu poza granicami Białorusi.

Twój mąż Alhierd złożył protestującej kobiecie obietnicę.

Tak. Jedna z uczestniczek demonstracji zapytała go: „Napisze pan o nas?”. Odpowiedział: „Napiszę”.

Czy teraz można pisać jedynie teksty dokumentalne? Czy możliwe jest stworzenie literackiej „opowieści” o współczesnej Białorusi?

W czasie protestów zablokowano internet, włączono go ponownie po kilku dniach. Na Facebooku pojawiło się dużo świadectw: ludzie mieli potrzebę opisanego tego, co się z nimi działo. Zdawali relacje z tego, jak protestowali na placu Niepodległości, jak uciekali przed OMON-em, jak ich zabierano na posterunki milicji, jak ich bito. Powstał zbiorowy dokument. Ta historia się nie skończyła. Teraz właśnie ma swoją kontynuację. Jesteśmy pograżeni w traumie, nasze rany wciąż się jęczą. Nie mogą się zagoić. „Nie potrafimy płakać” – mówią Białorusini. W naszym kraju zapanował terror. Tłumimy w sobie wszystkie te uczucia, ale one kie-

Kamień strachu

*Boję się.
Jestem nareszcie w domu.
Dostałam w spadku
swoją strach –
rodzinną relikwię,
drogocenny kamień,
który przekazywany jest
z pokolenia na pokolenie*

(przeł. Jolanta Kilian)

dyś się uwolnią. I to wpłynie na białoruską literaturę.

Może zmieni się narracja.

Tak. Bardzo dużo tekstów powstało w narracji pierwszoosobowej. Stworzyliśmy nasze narodowe świadectwo. Dzienniki, wspomnienia. Może ten gatunek jest jakoś bliski Białorusinom. Swiatłana Aleksijewicz otrzymała Literacką Nagrodę Nobla właśnie za opowieści w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Nie była jednak prekursorką tego gatunku. W taki sam sposób opisywał rzeczywistość II wojny światowej jej nauczyciel, Aleś Adamowicz. Bohaterami jego tekstów są ludzie, którzy przeżyli wojnę. Adamowicz pokazał ją także oczami dzieci. Wojenne świadectwa w pewnym stopniu przypominają mi nasze opowieści o współczesnej Białorusi.

W Białorusinach nastąpiło pewne odblokowanie traumy.

Tak. Nauczyliśmy się opowiadać o strasznych doświadczeniach, które są naszym udziałem. Nauczyliśmy się przełamywać lęk. Nie schowaliśmy się, nie skryliśmy. Na Białorusi zaczęła się historia. Nareszcie ruszył zegar odmierzający nasz czas, jego wskazówki poruszają się bardzo szybko. Cieszę się, bo naród nieposiadający historii jest także pozbawiony przyszłości i nadziei.

Wiersz „Kamień strachu” przeczytałaś podczas protestów na schodach mińskiej filharmonii.

Podczas protestów, codziennie o godzinie 12, na schody przed budynkiem filharmonii wychodzili muzycy. Śpiewali. Zaczęto ich w końcu rozganiać. Opublikowałam swój wiersz w mediach społecz-

nościowych, a po chwili koleżanka pracująca w filharmonii napisała do mnie: „Przyjeżdżaj! Za chwilę występujemy”. Więc pół godziny później byłam już na miejscu. Wiele rzeczy działo się spontanicznie. Czytałam wiersz, chór akompaniował nuąc melodię.

Po moim występie chór miał zaśpiewać ostatnią tego dnia pieśń, „Wszchemogący Boże” autorstwa Natalii Arsieniewej. Wybrzmiało kilka wersów. Mili-cjanci zaczęli rozganiać ludzi. Przez megafon informowali: „Szanowni obywatele, wasz protest jest niezgodny z prawem”. Muzycy powoli schodzili ze schodów. Skończyli śpiewać pieśń.

Uważasz, że Twój kraj potrzebuje poetek.

Tak, napisałam o tym wiersz.

*Ziemio urodzenia!
A czy potrzebne ci jest moje ciało,
ciało poetki?*

*Mam taką gorącą krew,
Ręce i nogi,
Moje oczy widzą mnóstwo i uszy słyszą,
A moje usta nie są mniejsze od ust poety!*
(przeł. Bohdan Zadura)

Białoruska literatura i kultura były bardzo patriarchalne. Powoli się to zmienia. Podczas wykładów z historii literatury poznajemy przede wszystkim mężczyzn. Na ścianach uniwersytetów wiszą portrety zasłużonych literatów. Jedna z nauczycielek liceum policzyła, ile czasu podczas lekcji przeznaczano na omówienie twórczości kobiet. To były minuty. Dlatego jako poetka chcę powiedzieć, że także mam prawo wypowiadać się w imieniu swojego narodu. To prawo nie należy się jedynie członkom Związku Pisarzy w garniturach i krawatach, którzy piją razem wódkę i poklepują się po ramieniu. To jeszcze jedna nasza rewolucja.

© Rozmawiały JOANNA BERNATOWICZ
I MAŁGORZATA NOCUŃ

RADIO KRAKÓW Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”.
Stuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



IVAN VIERBICKI / DOMENA PUBLICZNA

Johann Georg Pinsel, „Samson rozrywa paszczę lwa”, ok. 1750 r. Wystawa „Mistrz Pinsel – legenda i rzeczywistość” we Lwowskiej Galerii Sztuki im. Borysa Woźnickiego, lipiec 2013 r.

Duma i zniszczenie

WOJCIECH KONOŃCZUK

Z attyki ratusza w ukraińskim Buczaczu runęła część figury wyrzeźbionej przez Johanna Georga Pinsla. To ostatni akt destrukcji dwunastu dzieł genialnego artysty, które istniały tam jeszcze w 1990 r. Podjęliśmy próbę odtworzenia ich losów.

LUWR, 22 LISTOPADA 2012 ROKU. W JEDNYM z najsłynniejszych muzeów świata odbywa się wernisaż wystawy rzeźb Johanna Georga Pinsla, wybitnego XVIII-wiecznego artysty działającego na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej. Dwadzieścia siedem prezentowanych dzieł pochodzi przede wszystkim ze zbiorów ukraińskich, pojedyncze z Wrocławia i Monachium. Obecny na wernisażu minister kultury Ukrainy w swoim przemówieniu podkreśla, że dzięki wy-

stawie Pinsla „ukraińska sztuka wchodzi w krąg sztuki światowej”.

Media nad Dnieprem z entuzjazmem piszą o „ukraińskim ambasadorze”, „naszej dumie” i „promocji Ukrainy w świecie”. Nastroje dobrze oddaje artykuł z popularnego pisma: „Dzięki wystawie w Luwrze ukraiński mistrz stanie się takim samym kluczem do kultury ukraińskiej, jakim dla sztuki Włoch są geniusze renesansu, a impresjoniści – dla sztuki Francji. (...) Prace Pinsla są

na podobnym mistrzowskim poziomie, jak uznane światowe arcydzieła rzeźby swego czasu. Odwiedzający Luwr powinni wyciągnąć odpowiednie wnioski nie tylko na temat sztuki ukraińskiej, ale Ukrainy w ogóle”.

Wystawy w Paryżu nie byłoby, gdyby kilka lat wcześniej pewien francuski biznesmen, prowadzący interesy we Lwowie, nie zobaczył w tamtejszych muzeach prac Pinsla i nie zachwycił się nimi. Ich zdjęcia pokazał znajomemu, Guilhemowi Scherfowi, kierownikowi działu rzeźby w Luwrze. Ten – jak sam potem wyznał – przeżył szok. Dzieła zdradzały rękę wielkiego mistrza, o którym nigdy nie słyszał.

W 2009 r. kilku pracowników Luwru wyruszyło do Lwowa na rekonesans. Okazał się on na tyle udany, że po trzech latach w Paryżu otwarto wspomnianą wystawę: „Johann Georg Pinsel: rzeźbiarz baroku na Ukrainie XVIII w.”. Później, w 2016 r., została ona pokazana również w wiedeńskim Belwederze. Nieznany szerzej artysta wszedł na europejskie salony.

Tajemniczy mistrz

Mimo wysiłków historyków o Pinslu wciąż niewiele wiadomo. Pod koniec lat 40. XVIII w. pojawił się nagle na dworze magnata Mikołaja Potockiego w Buczaczu, wówczas znaczącym mieście na Podolu. Nie wiemy jednak, ani skąd przybył, ani gdzie się wcześniej kształcił. Imię i nazwisko wskazują, że mógł być Niemcem, a cechy jego warsztatu nawiązują do rzeźby południowoniemieckiej. Aż do śmierci około roku 1761 tworzył głównie prace sakralne dla kościołów na Podolu i ziemi lwowskiej. Jego dzieła ozdobiły wiejskie kościoły m.in. w Horodence, Hodowicy, Budzanowie, Mariampolu i Bohorodczanach. Pracował również we Lwowie, gdzie wykonał rzeźby w attyce greckokatolickiej katedry św. Jura i krucyfiks dla rzymskokatolickiego kościoła św. Marcina.

Prace Pinsla charakteryzują się dynamiką, ekspresją i naturalizmem, co szczególnie dobitnie widać na pełnych emocji twarzach stworzonych przez niego postaci oraz ich obfitych szatach. Pełne dramatyzmu drewniane rzeźby sprawiają wrażenie, jakby żyły i posiadały dusze.

Pinsel zapoczątkował nurt nazwany potem lwowską szkołą rzeźby, który po śmierci mistrza rozwijali jego uczniowie. Historycy sztuki podkreślają, że było to zjawisko niezwykle oryginalne w ówczesnej Europie. Paradoksem jest, że ten wybitny artysta tworzył swoje dzieła głównie na potrzeby prowincjonalnych kościołów na kresach Rzeczypospolitej. Prof. Jan Ostrowski, były dyrektor Zamku Królewskiego na Wawelu i znawca twórczości Pinsla (to on opracował katalog jego wystawy w Luwrze), uznaje, że był to artysta „o takiej skali talentu, że gdyby pracował w jednym z liczących się ośrodków europejskich, stałby się indywidualnością uznaną w dziejach sztuki powszechnej”.

Ukraiński Michał Anioł

Po swojej przedwczesnej śmierci Pinsel został zapomniany na dobre półtora stulecia. Jego fenomen dostrzeżono i zaczęto badać dopiero w II Rzeczypospolitej; powstało wówczas kilka studiów o jego twórczości oraz o rzeźbie lwowskiej.

Po 1945 r., w wyniku przesunięć granic, niemal wszystkie jego dzieła pozostały na terenie sowieckiej Ukrainy. Wiele czy wręcz większość z nich uległo zniszczeniu po tym, jak władze sowieckie zamknęły kościoły, które zwykle były po-



Ratusz w Buczaczu, 1927 r.

tem dewastowane. Dość powiedzieć, że powojenne straty w przypadku rzeźby na dawnych ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej oceniane są na 70 proc. stanu przedwojennego.

W efekcie do dziś zachowało się zaledwie ok. 60 prac Pinsla, zgromadzonych głównie w muzeach lwowskich – w tym w Muzeum Pinsla, otwartym w 1996 r. w dawnym kościele klarysek. Część z nich została uratowana przez ukraińskiego historyka sztuki Borysa Woźnickiego, który w latach 60. XX w. dotarł m.in. do zamkniętego kościoła w Horodence, skąd zabrał pozostałości wystroju rzeźbiarskiego dłuta Pinsla.

Ukraińska narracja o Pinslu wskazuje, że nasi sąsiedzi postanowili zrobić

z niego artystę ukraińskiego, którym ten przybył z obcego kraju przecież nigdy nie był. Na Ukrainie dość powszechnie nazywa się go dziś ukraińskim Michałem Aniołem, co wskazuje na próbę ukraińzacji wielokulturowego dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej, a zarazem chęć dowartościowania własnej tożsamości kulturowej. To trochę tak, jakbyśmy Michała Willmanna, wybitnego niemieckiego malarza okresu baroku, który działał na Śląsku, nazywali dziś „polskim Rembrandtem”.

Buczackie dzieła

Wyjątkowe miejsce w twórczości Pinsla zajmował Buczaczu – miasto o bogatej przeszłości, sięgającej XII w., położone na historycznym Podolu (dziś to powiat czortkowski w obwodzie tarnopolskim na Ukrainie) – gdzie stale mieszkał podczas swojego pobytu w Polsce. Tutaj miał swój warsztat, tutaj wziął ślub z Marianną Elżbietą z domu Majewską, tutaj też urodzili się jego dwaj synowie. W Buczaczu stworzył figury świętych do nieistniejącego już kościoła farnego, a także dwanaście kamiennych rzeźb na attyce tamtejszego ratusza.

Ratusz ten, wyjątkowe dzieło architektoniczne, został zaprojektowany w 1750 r. przez Bernarda Meretyna i uchodzi za najwspanialszy zabytek budownictwa miejskiego na ziemiach ruskich Rzeczypospolitej. Obaj artyści działali zresztą wspólnie przy kilku realizacjach, tworząc wybitny tandem. Dzieła z ratusza w Buczaczu to największy znany kompleks rzeźb kamiennych Pinsla, który zasłynął głównie pracami w drewnie. Ostatnie półtora



ZBIORY WIKTORA HREBENIOWSKIEGO

→ wieku to jednak okres postępującej destrukcji tych rzeźb, a zaczęła się ona jeszcze w połowie XIX stulecia.

– W 1865 r. budynek uległ pożarowi – mówi prof. Ostrowski. – Zapewne wpłynęło to także na stan rzeźb, które mogły wtedy stracić swoją naskórkową formę. Brakuje jednak dokumentacji fotograficznej, która mogłaby to potwierdzić.

Potem było coraz gorzej.

Destrukcja zamiast odnowienia

Historię dzieł Pinsla z attyki ratusza w ostatnich dekadach pomaga odtworzyć Wiktor Hrebeniowski – działacz kulturalny z Buczacza i szef Buczacz-Art, jednej z ważniejszych organizacji społecznych w tej części Ukrainy.

– W czasach sowieckich o Pinsla nikt nie dbał. Kiedyś żołnierze z miejscowej jednostki podczas pijackiej zabawy urządzili sobie strzelanie do rzeźb. A w czasie różnych uroczystości nad rynkiem rozwieszano girlandy, mocując je na jego dziełach – mówi mi Hrebeniowski.

Sądząc po fotografiach z lat 70. XX w. rzeźby wciąż wyglądały imponująco. W 1982 r. w ratuszu powstało muzeum, a tuż przed upadkiem Związku Sowiec-

kiego znalazły się wreszcie środki na odnowienie rzeźb. Niestety przeprowadzono je wyjątkowo amatorsko, co zamiast poprawić ich stan, doprowadziło do destrukcji. Opowiada o tym Lubomir Kukil, lwowski rzeźbiarz i konserwator, który jako student został wówczas wysłany do Buczacza na praktyki konserwatorskie.

– Rzeźby wciąż robiły fantastyczne wrażenie i były w całkiem niezłym stanie – wspomina Kukil. – W latach 1987-90 zostały poddane konserwacji przez grupę profesorów ze Lwowa, a potem pokryte jakąś cieczą przywiezioną w beczkach z Kijowa. Po miesiącu zobaczyliśmy efekt: dzieła Pinsla zaczęły się sypać, opadały fragmenty, aż wreszcie rozpadły się na wiele części. Winnego nie było.

Uratowane ze śmietnika

Niespodziewana destrukcja skutkowałą decyzją o zrobieniu gipsowych odlewów wybranych rzeźb, co wymagało przewiezienia ich do Lwowa. Jednak nałożenie gorącego „kożucha”, w celu zdjęcia formy, tylko pogorszyło ich stan. Figury, składające się łącznie z kilkuset fragmentów, zostały złożone w lwowskim Państwowym Instytucie Sztuki Stosowanej

i Dekoracyjnej, skąd po kilku latach... wyrzucono je na śmietnik.

– Pomieszczenie pracowni zostało w 1994 r. sprywatyzowane – wspomina dalej Lubomir Kukil. – W nocy przyjechali jacyś ludzie, porozbijali większe części figur na jeszcze mniejsze fragmenty i wywieźli wszystko na wysypisko. Razem z kilkoma kolegami kupiliśmy kilka skrzynek wódki i pojechaliśmy na poszukiwania. Daliśmy tę wódkę, komu trzeba, i udało się je odzyskać.

Uratowane pozostałości po dziełach Pinsla trafiły do pracowni rzeźbiarza Myrosława Romaniwa w miasteczku Tlumacz pod Iwano-Frankiwskiem. Po jego śmierci w 2007 r. dwie z nich, znajdujące się w najlepszym stanie i już „posklejane”, zostały wykradzione (po jakimś czasie „odnalazły się” w Buczaczu). Pozostała zaś wdowa po Romaniwie... wyrzuciła na śmietnik. Kukilowi po raz drugi udało się je ocalić. Od tego czasu znajdują się w jego pracowni pod Lwowem.

Pinsel w kawałkach

Na buczaćskim ratuszu wciąż były cztery prace Pinsla.

W 2006 r. znalazły się środki na odnowienie ratusza i pracownicy przedsiębiorstwa Ukrzachidproektrestawracija, firmy konserwatorskiej ze Lwowa, przystąpili do robót. Ale i tym razem wyszło gorzej niż lepiej. Dwie rzeźby zostały na tyle nieumiejętnie zdemontowane z attyki, że znowu zamiast jednej bryły wyszło kilkadziesiąt kawałków.

Smutny był los „Temidy”. Opowiada o nim Hrebeniowski: – Została w 2009 r. specjalnie zrzuciona z dachu przez jednego z robotników i rozsypała się na wiele części. Podobno była to jego zemsta za niewypłacenie mu pensji. Resztki położono pod murem na rynku. Dopiero po jakimś czasie mnie i kilku osobom udało się przenieść je do wnętrza ratusza.

Rozczłonkowane kawałki tych trzech dzieł Pinsla spoczywają tam do dzisiaj. Na ratuszu pozostał już tylko „Herakles zabijający Hydrę lernejską”.

Tuż przed wybuchem pandemii, po trwających – z wieloma przestojami – piętnaście lat pracach, udało się ukończyć konserwację ratusza. Dlaczego nie objęła ona jednak „Heraklesa”, ostatniego zachowanego na budynku dzieła Pinsla, pozostaje zagadką. Hrebeniowski, Kukil i wielu społeczników przez lata apelowali do władz o jej zabezpieczenie. Bez-



LUBOMIR KUKIL

Resztki
rzeźb Pinsla
w pracowni
Lubomira Kukila,
2021 r.

Na poprzedniej
stronie:
fragment rzeźby
Pinsla z ratusza
w Buczaczu.

skutecznie. Wreszcie niedawno, 31 maja tego roku, spękana rzeźba częściowo się zawałiła; odpadła m.in. ręka i część tułowia. Pozostała, bezkształtna część wciąż spoczywa na attyce.

Zadziwiające jest, że przez te wszystkie lata sprawą buczackich rzeźb Pinsla nie zainteresowała się żadna z polskich instytucji. Mówimy przecież o wybitnym artyście, którego dzieła są również częścią polskiego dziedzictwa kulturowego. Z tej dotkliwej lekcji warto wyciągnąć wnioski. Szczególnie że na Ukrainie rusza właśnie wielki projekt konserwacji zabytków (także tych w zachodniej części kraju), który będzie prowadzony w sytuacji, gdy w kraju chronicznie brakuje konserwatorów [pisał o tym w „TP” nr 24/2021 – red.].

Jak ułożyć puzzle

Wiktor Hrebeniowski: – Istnieje ryzyko, że jedynym śladem po rzeźbach z naszego ratusza w Buczaczu będą stare fotografie. Myślę jednak, że wciąż mamy szansę na ich odnowienie. Problemem jest to, że naszego Ministerstwa Kultury zupełnie nie interesuje. Nie ma zresztą co się dziwić, podobne sprawy dzieją się w całym kraju.

Na Ukrainie system ochrony zabytków znajduje się dopiero w trakcie tworzenia, co oznacza, że nie ma żadnej systemowej ochrony.

Buczacz-Art z powodzeniem wykorzystuje Pinsla jako instrument promocji miasta. Od pięciu lat Hrebeniowski i jego zespół organizują Dni Pinsla: festiwal kulturalny, który – przypominając tego genialnego artystę – ma dawać nową energię sennemu podolskiemu 12-tysięcznemu miasteczku, położonemu malowniczo w jarze – typowym dla tej naddniestrzańskiej okolicy, a wyzłobionym przez rzekę Strype.

– Pinsel nie daje nam spokoju, jego twórczość prowokuje do aktywności. Przecież to w Buczaczu mieszkał i pracował. Z niedalekiego Jazłowca pochodził wapien, w którym rzeźbił. Przypominając jego postać, zarazem przypominamy, że jeszcze niedawno to miasto tworzyły trzy narody: Ukraińcy, Żydzi i Polacy – mówi Hrebeniowski.

Pytam prof. Jana Ostrowskiego, czy pokawałkowane rzeźby Johanna Georga Pinsla z Buczacza, dziś przypominające wybrakowany zestaw puzzli do ułożenia, można jeszcze uratować.



ZBIORY WIKTORA HREBENIOWSKIEGO

Rzeźba Johanna Georga Pinsla na attyce ratusza w Buczaczu w 1977 r.

– Dałoby się te resztki poskładać w jedną całość. W sensie odtworzenia bryły, ale nie rzeźby jako takiej. Przy najmniej zostałyby dokument, że kiedyś w Buczaczu istniały takie kamienne dzieła – mówi prof. Ostrowski.

Bardziej optymistyczny jest Wiktor Hrebeniowski, który przekonuje, że z niegdyś dwunastu buczackich dzieł Pinsla osiem, a może nawet dziewięć jest do odtworzenia: – Powinniśmy zebrać do kupy to, co zostało, a co jest obecnie przechowywane we Lwowie i w Buczaczu. Wiem, że ani jedna rzeźba nie pozostała w całości, wszystkie są połamane i wybrakowane.

Ale mamy gipsowe kopie niektórych z nich. Mogłoby to pomóc w odtworzeniu nieistniejących fragmentów. Szukamy różnych wariantów i wierzę, że wszystkie dzieła Pinsla wrócą kiedyś do jego miasta.

Podobnie myśli Lubomir Kukil: – Wielu uważa, że lepiej zlepić jakieś kopie i zamontować na ratuszu. Można to zrobić, ale przede wszystkim trzeba zadbać o oryginalnego Pinsla! Z tych 80 procent zachowanych oryginalnych fragmentów można odtworzyć rzeźby, byle była chęć i pieniądze. Ale nadal nikt się tym poważnie nie zajmuje.

© WOJCIECH KONOŃCZUK



NETFLIX / MATERIAŁY PRASOWE

Na pierwszym planie Lior Raz, jako Doron Kavillio, w serialu „Fauda” (sezon 1)

Co świat w tym widzi

JAKUB MAJMUREK

Izraelskie seriale opowiadają o słabo znanej naszemu widzowi rzeczywistości zrozumiałym językiem współczesnej telewizji. A jednocześnie odbijają problemy, z którymi zmagamy się wszyscy.

Do 1993 r. w Izraelu był tylko jeden kanał telewizyjny. Liczący około 9,3 mln mieszkańców kraj nie jest wielkim rynkiem telewizyjnym. Mimo to w ostatnich latach izraelska produkcja serialowa szturmem zdobywa rynki globalne. Także polski.

Netflix ma w swojej bibliotece między innymi „Faudę” – serial o specjalnej jednostce antyterrorystycznej Izraelskich Sił Obronnych – oraz „Shtisel”, serial obyczajowy przedstawiający rodzinę ultraortodoksyjnych Żydów z Jerozolimy. W portalu HBO możemy obejrzeć m.in. telewizyjną superprodukcję „Dolina Łez”, dokonującą rozliczenia z wojną Jom Kippur. Po treści z Izraela sięga też Apple.tv. Platforma najpierw pomogła wyprodukować szpiegowski serial „Teheran”, a następnie oniryczny thriller „Poszukując Alice”.

Od formatów do własnych produkcji

Izrael jest obecny w międzynarodowym obiegu telewizyjnym od ponad dekady. Z tym że najpierw przede wszystkim jako eksporter telewizyjnych formatów, adaptowanych później przez zagraniczne telewizje.

Szlak przetarła „Terapia” (2005-08), serial pokazujący Izrael pierwszej dekady XXI wieku z punktu widzenia gabinetu terapeutycznego. Bohaterem jest psycholog, który zmagają się z problemami swoich pacjentów i własną terapią. Serial został przeniesiony w amerykańskie realia przez HBO w 2008 r. Pierwszy sezon z Gabrielem Byrne’em w głównej roli okazał się sukcesem wśród publiczności i krytyków. Lokalne oddziały HBO na całym świecie, od Brazylii po Europę Wschodnią, wyprodukowały własne wersje „Terapii”. W Polsce powstała w ten sposób produkcja „Bez tajemnic”.

Najbardziej udanym formatem z Izraela okazał się „Homeland” (2011-20). Amerykański serial przedstawia agentkę CIA, która odkrywa, że amerykański żołnierz, uwolniony po latach z niewoli islamistów, traktowany w Stanach jako bohater wojenny, może być tak naprawdę agentem wroga. Serial oparty jest na izraelskiej produkcji „Więźniowie wojny” (2009-12). Amerykańska produkcja okazała się hitem, często wymieniana jest jako jeden z lepszych seriali dekady. Dość swobodnie traktuje materiał z izraelskiego oryginału, który skupia się

przede wszystkim na trudnościach okaleczonych przez wojnę i niewolę bohaterów z powrotem do normalnego życia w cywilu. Produkcje na podstawie „Więźniów wojny” przygotowały także telewizje w Rosji i Indiach.

To, że Izrael stał się eksporterem formatów, wynikało ze specyfiki tamtejszego rynku telewizyjnego końca pierwszej dekady XXI w. Izraelskie produkcje musiały mieścić się w niewielkich budżetach. Nie mogły przyciągać widzów inscenizacyjnym rozmachem czy efektownymi scenami akcji. Twórcy musieli więc konkurować oryginalnymi scenariuszami, odważnie łamiącymi konwencje i oczekiwania widzów. A scenariusze wzbudziły zainteresowanie amerykańskich producentów, mogących wyłożyć większe pieniądze.

Kontrowersyjny przełom

Przełomem w obecności produkcji z Izraela na globalnych rynkach było zakupienie przez Netfliksa w 2016 r. „Faudy” – pierwszego globalnego serialowego hitu w języku hebrajskim, budzącego przy tym od początku ostre polityczne kontrowersje. Zwolennicy chwalili realistyczne ukazanie relacji izraelsko-palestyńskich i ceny, jaką obie strony płacą za terror z jednej i odpowiadającą na niego przemoc państwa z drugiej strony, za przeciągającą się okupację terenów palestyńskich i militaryzację polityki Izraela. Choć „Fauda” opowiadana jest wyraźnie z izraelskiego punktu widzenia, nie demonizuje Palestyńczyków, stara się dostrzec ich motywacje i pokazuje, jak przemoc Izraela rodzi radykalizm po drugiej stronie. Serial okazał się zresztą przebojem w kilku państwach arabskich: Jordanii, Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Libanie.

Przeciwnicy „Faudy” – głównie związani z aktywistycznymi środowiskami propalestyńskimi – uważają, że serial przedstawia głęboko zafałszowany obraz okupacji Zachodniego Brzegu przez Izrael, usprawiedliwia łamanie praw człowieka, promuje myślenie o relacjach Izraela z arabską ludnością w wyłącznie militarnych kategoriach. Palestyński, lecz silnie obecny w kilku krajach zachodnich ruch BDS – nawołujący do ekonomicznego i kulturalnego bojkotu Izraela w celu wymuszenia na nim respektowania praw ludności palestyńskiej – wezwał nawet Netflix, by wycofał „Faudę”. Zdaniem ruchu serial to po prostu podżeganie do przemocy wobec Palestyńczyków.

Kto ma rację? Wbrew zarzutom aktywistów, widzącym w tej produkcji propagandową kampanię armii izraelskiej, twórcy i producenci serialu musieli walczyć przez kilka lat o jego realizację. Początkowo nikt w ten projekt nie wierzył – telewizyjni decydenci byli przekonani, że ludzie nie chcą oglądać produkcji o konflikcie izraelsko-palestyńskim, zwłaszcza takiej, która tyle miejsca poświęca stronie palestyńskiej i gdzie tak często słychać arabski. „Fauda”, nawet jeśli skłania widza, by kibicował izraelskim siłom specjalnym, jednocześnie pokazuje koszty i ostateczną daremność polityki skoncentrowanej wyłącznie na rozwiązaniach militarnych.

Trudno jednak nie zauważyć też ograniczeń tej wizji konfliktu bliskowschodniego. Pisząca dla „Guardiana” specjalistka od regionu Rachel Shabi zarzuca serialowi, że zupełnie nie widać w nim codziennej uciążliwości izraelskiej okupacji Zachodniego Brzegu – murów, punktów kontrolnych, ciągłych kontroli – oraz szerszego, politycznego kontekstu konfliktu. „Fauda” z jednej strony stara się pokazać motywacje Palestyńczyków, z drugiej przedstawia ich najczęściej jako fanatyków bez żadnego realistycznego planu politycznego. Jest głosem twórców, którzy nawet jeśli pragną pokoju z Palestyńczykami, to nie potrafią sobie wyobrazić, by po tamtej stronie był jakikolwiek racjonalny partner, z którym dałoby się go zawrzeć.

W cieniu konfliktu

Izraelskim produkcjom często zarzuca się obojętność na perspektywę palestyńską, uleganie uprzedzeniom i orientalistycznym stereotypom. Te zarzuty nie zawsze są słuszne. Ciekawym przykładem jest wspomniany „Teheran”. Oferuje on efektowną, szalenie wciągającą – nawet jeśli pełną nie zawsze do końca wiarygodnych zwrotów akcji – historię agentki Mossadu, Tamar (gwiazdorska rola nieznannej wcześniej Liv Sultan), wykonującej tajną misję w Teheranie. Nie mamy wątpliwości, komu kibicować, kto reprezentuje siły dobra, a kto zła.

Równocześnie serial przedstawia daleką od stereotypów wizję irańskiego społeczeństwa – choć z oczywistych powodów Teheran na ekranie zagrały Ateny. Gdy plan A Tamar się sypie, młoda kobieta szuka pomocy u swojej ciotki – która, inaczej niż ojciec dziewczyny, zo-



Adam Gabay jako Avishay Elbaz w serialu „Nasi chłopcy” (odc. 1)

stała w Iranie, poślubiła muzułmanina i przyjęła islam. Produkcja przypomina, że obok konfliktu Iran i Izrael łączą bliskie związki, pokazuje społeczność pochodzących z Iranu obywateli Izraela, z której wywodzi się Tamar, i mieszkających wciąż w Iranie Żydów.

W pewnym momencie izraelska agentka ukrywa się wśród grupy młodych Irańczyków. Są bardzo podobni do niej czy młodych ludzi z Zachodu. Studiują, słuchają zachodniej muzyki, nie widzą reżimu ajatollahów, pragną godnej pracy, wolności politycznej, nie chcą władzy dyktującej im, z kim mają spać i jak mają się bawić. Tamar trafia na nielegalną, pełną używek imprezę *rave*, nawiązuje intymną relację z opozycyjnym hakerem. Oglądając ich historię widzimy inny, bardziej demokratyczny i wolnościowy Iran.

„Dolina Łez” dokonuje z kolei rozliczenia z wojną Jom Kippur, jednym z najbardziej traumatycznych wydarzeń w izraelskiej historii. Wojna z 1973 r. rozbiła obraz Izraela, jaki sami jego obywatele wytworzyli sobie po wygranej wojnie sześciodniowej (1967): jako regionalnego, niepokonanego mocarstwa, które dzięki wojskowej i technologicznej przewadze oraz odwadze swoich liderów może dowolnie kształtować rzeczywistość regionu.

Serial miał premierę jesienią 2020 r. Krytycy zwracali uwagę na historyczne analogie. Pandemia, zmęczenie konfliktem z Iranem i Palestyną także skłaniały do pytań o to, czy obraz samych siebie, jaki Izraelczycy zbudowali sobie w „dekadzie Netanjahu” – jako kraju start-upów, który dzięki sile swojej armii i sojuszowi z Trumpem może ignorować za-

dania strony palestyńskiej – nie jest fundamentalnie błędny. Czy oparta na nim polityka nie skończy się katastrofą gorszą niż wojna z 1973 r.

Najbardziej krytyczną wizję konfliktu bliskowschodniego przedstawiają „Nasi chłopcy” (HBO) – najwybitniejszy serial izraelski. Premier Netanjahu oskarżył go o antysemityzm i wezwał do bojkotu emitującej go stacji. Serial oparty jest na faktach: w czerwcu 2014 r. trzech izraelskich nastolatków zostało zamordowanych przez terrorystów z Hamasu. Ich śmierć zmobilizowała radykalną izraelską prawicę. Kilka dni po pogrzebie chłopców w ramach odwetu na Palestyńczykach młody mężczyzna i jego dwóch nastoletnich kuzynów porwali z arabskiej dzielnicy wschodniej Jerozolimy szesnastoletniego chłopca, Mohammeda Abu Khdeira, którego następnie zamordowali, a ciało podpálili.

Serial rekonstruuje te wydarzenia. Patrzmy na nie z dwóch punktów widzenia: rodziny ofiary oraz jednostki Shin Bet zajmującej się zwalczaniem żydowskiego terroryzmu. Inaczej niż w „Faudzie”, źródłem zagrożenia nie jest polityczny islam, ale terror skrajnie prawicowych Żydów. Terror, który nie potrzebuje partii politycznych ani paramilitarnych organizacji i do którego uruchomienia wystarczy kampania nienawiści w mediach społecznościowych oraz kilka gotowych do przemocy jednostek.

„Nasi chłopcy” pokazują też doskonale, jak sprawa palestyńskiego nastolatka zostaje upolityczniona przez obie strony. Rząd Netanjahu naciska, by służby zabiły, czy sprawa nie ma jednak kryminalnego, a nie politycznego charakteru. Zatroškany wizerunkiem Izraela obywatel

→ rozsiewa w internecie dezinformację, sugerując, że Abu Khdeir był homoseksualistą i został za to zamordowany przez własną rodzinę. Palestyńscy liderzy naciskają z kolei na rodzinę Mohammeda, by nie współpracowała z izraelskim wymiarem sprawiedliwości. Zależy im wręcz, by ten zawiódł i nie ukarał zabójców – w ten sposób śmierć nastolatka będzie można wziąć na sztandar walki z izraelską władzą we wschodniej Jerozolimie.

Izraelskie zwierciadło

Zabójcy Abu Khdeira wywodzili się ze środowiska ortodoksów, ojciec głównego sprawcy prowadził jesziwę. W ortodoksyjnym środowisku rozgrywa się też mniej polityczny, zainteresowany obyczajową obserwacją „Shtisel”. Jego sukces w Izraelu krytycy tłumaczyli tym, iż daje on wgląd świeckiej części społeczeństwa w słabo znany świat ortodoksów – mniejszościowej, żyjącej obok społeczeństwa grupy, która w ostatnich latach wywierała nieproporcjonalny wpływ na politykę kraju. Podobne powody mogą stać za sukcesem izraelskich seriali na świecie. W dobie nadpodaży dobrych i świetnych produkcji widzowie szukają obrazów zdolnych zaskoczyć ich czymś specjalnym, oferujących wejście w nieznany świat i jednocześnie będących zwierciadłem, w którym możemy zobaczyć własne problemy.

Izraelskie produkcje opowiadają o słabo znanej widzowi z naszego regionu rzeczywistości zrozumiąłem językiem współczesnej telewizji. A przy tym odbijają problemy, z którymi zmagają się dziś cały świat. Nie tylko izraelskie społeczeństwo podzielone jest na grupy, które z trudem się porozumiewają (świeccy–ortodoksi, prawica–lewica, Żydzi–Arabowie), nie tylko ono zmagало się w ostatniej dekadzie z hegemonią prawicowo-populistycznej polityki.

Konflikt bliskowschodni jest co prawda specyficzny dla Izraela, ale niejedna współczesna demokracja też czuje się uwikłana w sytuację bez wyjścia – od problemu nierówności po kryzys klimatyczny. W połączeniu z rewolucją w dystrybucji treści związaną z ekspansją platform VOD tworzy to dla izraelskich produkcji wyjątkową szansę.

© JAKUB MAJMUREK



KINO ŚWIAT / MATERIAŁY PRASOWE

Jagoda Porębska (*Roma*) i Tomasz Ziętek (*Lowa*) w filmie Doroty Kędzierzawskiej „Żużel”

Rycerz na wirażu

ANITA PIOTROWSKA

Osobliwe to połączenie: wysokooktanowy film sportowy plus stylowy melodramat z zawadiackim wdziękiem i psychoanalityczną otoczką.

KINO DOROTY KĘDZIERZAWSKIEJ, NIEzależnie od tego, jak bardzo kryzysowych momentów dotyka, osnute jest charakterystyczną mgiełką. I nie chodzi tylko o mistrzowskie zdjęcia Artura Reinhardta. Świat niechcianych dzieci („Wrony”), niechcianych ciąż („Nic”) czy nikomu niepotrzebnych, acz zadziornych staruszek („Pora umierać”) przepuszczony zostaje przez idealistyczny, prawie baśniowy filtr, który rozmiękcza brutalne kontury. Czy w tak konsekwentnie pomyślanym uniwersum jest miejsce dla jednego z bardziej ekstremalnych sportów wyczynowych? Okazuje się, że tak. Po ośmiu latach reżyserka powraca właśnie filmem „Żużel”, kwestionując przy okazji stereotyp tzw. kina kobiecego.

„Gdyby polscy piłkarze grali tak, jak my jeździmy...” – mówi dziennikarzowi Lowa (w tej roli Tomasz Ziętek), młody mistrz „czarnego sportu”. Mimo przegranej, mimo swych małomiasteczkowych ograniczeń, ma świadomość, że uczestniczy w czymś wielkim, choć odczuwa coraz mniej frajdy. Zresztą dla żużlowych ignorantów film Kędzierzawskiej może być pewnym odkry-

ciem: wszak od lat jesteśmy w światowej czołówce wyścigów, sport ten ma coraz liczniejsze grono fanów, a jednak nie absorbuje uwagi mediów i zainteresowania sponsorów na taką skalę, jak inne dyscypliny.

Ale żeby pośród warkotu silnika, chmur pyłu i odoru spalin umieścić zwiewną historię miłosną? W dodatku to nie może być buntownicza przygoda na modłę „Easy Ridera”. Żużlowca droga donikąd zapętla się przecież w kolejnych okrążeniach toru, a jedynym mijanym pejzażem są rozgorączkowane trybuny. Za to o wiele łatwiej stracić zdrowie lub życie. Może dlatego reżyserka dostrzega tu swoisty romantyzm (wszak testosteron i adrenalina to mieszanka szczególnie wybuchowa), lecz jeszcze więcej znajduje go w żużlowym etosie, którego doskonałym uosobieniem zdaje się główny bohater.

Lowa ukazany został w taki sposób, żeby przez swój uzbrojony wygląd, przez stalowego rumaka i wierność wobec żużlowego kodeksu kojarzył się ze średniowiecznym wojem. Nie jest to porównanie naciągane ani oryginalne – o analogii pomiędzy speedwayem

a etosem rycerskim pisała m.in. Maria Roszak w pracy naukowej „Rycerze czarnego toru. Wizerunek żuźłowca-rycerza utrwalaony w języku i twórczości kibiców”. Film podąża tym tropem, wyraźnie stylizując Lowę na dawnego jeźdźcę, podkreślając jego osobisty związek z „ujeżdżanym” jednoślądem, nade wszystko zaś przywołując wyznawane przezeń wartości: wierność sportowym zasadom, honor, lojalność wobec współzawodników i oddanie wobec swej bogdanki, czyli rudowłosej Romy (Jagoda Połębska).

Lowa czuje się także odpowiedzialny za swoją rodzinę (samotna i chyba bezrobotna matka plus roszczeniowa siostra), a jednocześnie, w przeciwieństwie do rywala Riczego (Mateusz Kościukiewicz), niczego się w tym sporcie nie dorobił. Kroczy boso, ale w ostrogach – nie licząc oczywiście tych kilku pucharów stojących dumnie w zagraconym mieszkaniu. Im bardziej jednak historia w „Żuźlu” się rozwija, im bardziej zdaje się fetyszyzować sam żużel i jego rytuały, tym bardziej staje się polemiczna wobec stracącego piękna – i piętna – tego sportu.

Owo piętno odciska się, może nawet zbyt mocno i dosłownie, na fatalistycznych wątkach scenariusza. Nad losem Lowy unosi się bowiem cień nieobecnego ojca, a jego funkcję spełniają zastępczo inni dojrzały mężczyźni: zgorzkniały trener pływakki zwany „Papą” (Paweł Wilczak) i miejscowy, trochę bezradny ksiądz (tu obsadowa niespodzianka: Jacek Hugo-Bader). Stąd wrażenie filmu złożonego z samych lustrzanych odbić, w których przeglądają się i dopełniają kolejne relacje: Lowy i „Papy”, Lowy i małego chłopca z sąsiedztwa, który mógłby być wcieleniem głównego bohatera z czasów trudnego dzieciństwa, a do tego mamy jeszcze wątek siostry bohatera, ewidentnie powielającej los swojej matki, czy ukochanej Romy – łudząco podobnej do własnej rodzicielki (Karolina Gruska).

Ta gęsta sieć symbolicznych powiązań przenosi żużlową opowieść w rejony przypowieści. Dlatego w obiektywie Reinharta zaludniona przez filmową rodzinę kamienica chwilami wydaje się piękna w swej ruinie, podobnie jak wnętrza mieszkalne, zabałaganione w stylu iście artystycznym. Osobliwe to połączenie: wysokoekstremowy film sportowy plus stylowy melodramat z awadiackim

wdziękiem i na dodatek z psychoanalityczną otoczką.

Dostajemy zatem coś więcej niż wakacyjne, rozśpiewane kino dla kibiców, w którym najważniejsza byłaby ostra jazda bez hamulców. Twórcy postarali się, abyśmy rozsmakowali się w doznaniach nie tylko pochodzących wprost z granitowej nawierzchni. Stąd tyle w „Żuźlu” filmowanej w zwolnionym tempie czystej młodości. Wspólne nurkowanie w basenie, opijanie klęski czy zwycięstwa w knajpie, zaciąganie się papierosem urasta do rangi rytuału. Na ekranie zamienia się w celebrowanie życia w całej jego zwyczajności, bo przecież tytułowy sport, jako się rzekło, nie bierze jeńców. Nadaje zaś tej filmowej hybrydzie żywych, cielesnych kształtów charyzmatyczny Ziętek w roli idola na życiowym wirażu.

Po drugoplanowych wystąpieniach w „Cichej nocy” Piotra Domańskiego czy w „Bożym Ciele” Jana Komasy aktor doczekał się wreszcie większego materiału do zagrania. Jego Lowa coraz bardziej miota się między sukcesami i porażkami, między pragnieniem wyrwania się z biedy a lękiem przed bezwzględnością żużla, między destrukcją a autodestrukcją. Bo żużel, co ostatecznie wynika z filmu, to sport tyleż rycerski, co podszyty agresją, często niedoinwestowany i podatny na korupcję, na fałszywe przyjaźnie i miłości. Gdzie tu miejsce na romantyczne porywy? Jak na kino z definicji chłopackie (w tym miejscu przepraszam wszystkie fanki „czarnego sportu”) film Kędzierzawskiej oferuje trochę innych rozkoszy niżli tylko sztuka obsługi motocykla. Może dlatego, że nie marginalizuje postaci kobiecych – dziewczyny często podejmują inicjatywę, filmowane są świeżym, nieuprzedzonym okiem, bywają też sumieniem dla sfrustrowanej męskości.

Tymczasem rozpedzony Lowa, uzależniony od turniejowych wyników i własnych słabości, zdaje się nie dostrzegać, jak pod kombinizonem grubieje mu skóra. Film o miłości do żużla i zapewne z niej w dużej mierze zrodzony opowiada także o samotności żużłowca. I żaden radosny hymn z trybun tego nie zakrzyczy. ©

ŻUŻEL – reż. Dorota Kędzierzawska.
Prod. Polska 2020. Dystryb. Kino Świat.
W kinach od 16 lipca.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Helmut Newton. Piękno i bestia



Dokumentalny,
reż. Gero von Boehm,
USA 2020, Cineman,
od 15 VII
Czy jeden z najstojniejszych fotografików

mody był mizoginem, seksistą, czy raczej wielbicielem kobiet? Odpowiedź nie jest jednoznaczna, a udziela jej przed kamerą m.in. słynne modelki Newtona, jak Charlotte Rampling, Isabella Rossellini czy Claudia Schiffer. Efektem jest fascynujący portret kontrowersyjnego artysty.

2. Kruk. Czorny Woron nie śpi

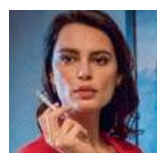


Serial, sezon 2,
reż. Maciej Pieprzyca,
Polska 2021, odc. 1, 2 z 6,
CANAL+ online,
odc. 2, CANAL+ Premium,
16 VII, 21.00,

CANAL+ 1, 16 VII, 22.00

Po udanej serii „Szepty słychać po zmroku” przyszła pora na nowe przygody tytułowego komisarza. Ich tłem są raz jeszcze brutalne wojny mafijne na dzisiejszym Podlasiu, ale dają także o sobie znać wewnętrzne demony bohatera i barwny folklor lokalny. W roli głównej ponownie Michał Żurawski.

3. La Gomera



Kryminał/komedia,
reż. Corneliu
Porumboiu, Rumunia/
/Francja/Niemcy 2019,
Nowe Horyzonty i inne
VOD

Rumuńska Nowa Fala nie zatrzymała się na sporach przy rodzinnym stole, a twórcza „12:08 na wschód od Bukaresztu” jest tego żywym dowodem. Tym razem gwiazda na żelazne reguły kryminalnego gatunku, wysyłając detektywa na Wyspy Kanaryjskie, by rozwikłał sensacyjną zagadkę z pomocą... ptasiego gwizdu.

4. Azjatyckie kino drogi



Przegląd, VOD Pięć
Smaków w Domu,
do 1 września.
Japonia, Tajlandia,
Singapur, Chiny, Tajwan,
Hongkong, Bhutan

– siedem filmowych wypraw przeniesie nas w miejsca niekoniecznie znane z przewodników. To również okazja do dalekowschodnich podróży duchowych, szczególnie z filmami „Podróżnicy i magowie” (2003) Khyentse Norbu czy „Rzeka czasu” (2016) Chao Yanga.

JAN

Klata: Baza



PRZED MIKROFONAMI PREZYDENT LITWY i premier Hiszpanii. Miejsce akcji: baza wojskowa NATO na północy Litwy. Okazja akcji: konferencja prasowa poświęcona międzynarodowemu bezpieczeństwu. Przebieg akcji: prezydent Litwy,

wysoki, przystojny, mówi. Premier Hiszpanii, przystojny, kiwa głową. Nagle ruch w kadrze, za plecami przywódców żwawo przemieszczające się sylwetki w mundurach. Prezydent Litwy, wysoki, przystojny, nie przestaje mówić, z lekka się uśmiecha – na poły do dziennikarzy, na poły do wspinających się po drabinkach za nim pilotów. Nie widać, czy piloci się uśmiechają, szybko znikają w kokpicie. Premier Hiszpanii dostaje przez ucho jakiś istotny komunikat, daje

gospodarzowi znaki, że pora się zmywać. Rosjanie idą! Pośpieszne sprzątanie przywódców najwyższego szczebla oraz ich narodowych flag z kadru. Widać, że myśliwiec, na tle którego pozowali, zaraz zacznie kołować do alarmowego startu...

Życie pisze frapujące scenariusze, zwłaszcza na krawędziach geopolitycznych płyt tektonicznych. Moi litewscy aktorzy starają się sprawiać wrażenie obdarzonych stoickim spokojem, w obliczu tego typu incydentów zachowują kamienne oblicza. Pracujemy nad „Borysem Godunowem”, po prostu – czego się zatem spodziewać po rzeczywistości? Ot, bombowce rosyjskie leciały do Kaliningradu. Dwa Su-24. Akurat teraz dwa. Eurofighterzy się poderwały, Rosjany sobie odleciały.

Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono. Od dawna wiadomo, że braci Litwinów jest mało i nie mają samolotów. Na razie prawdopodobieństwo, że ktoś oprócz braci Litwinów będzie chciał umierać za Kłajpedę, jest niewielkie. Rzut oka na prawo i na lewo na mapie nie przynosi ulgi.

Po co się zamartwiać, gdy lato wspaniałe? Polatają sobie i zlądują, wszak byt ich naniebny na tym się zasadza. Politycy najedli się strachu, śmiechu było co niemiara, i tyle. Wracam do Godunowa, niech tchnie otuchę. ©

Lektor: Upalny dzień na Long Island



■ Louise Glück, **ARARAT**

Przełożyła Krystyna Dąbrowska. Wydawnictwo a5, Kraków 2021, s. 70. Biblioteka Poetycka pod red. Ryszarda Krynickiego, tom 114. Piękna, ascetyczna okładka Joanny Rusinek.

KIEDY W PAŹDZIERNIKU zeszłego roku literacką Nagrodę Nobla przyznano amerykańskiej poetce Louise Glück, nie mieliśmy po polsku żadnej jej książki, zaledwie trochę wierszy w czasopiśmie i w ułożonej przez Julię Hartwig antologii „Dzikie brzoskwinie”. Urodzona w 1943 r. Glück pierwszy tomik wydała jako 25-latką; „Ararat” (1990) był piąty z kolei. Polski debiut książkowy noblistki stanowi przekład całości tego właśnie tomu, bo zgodnie z jej

zyczeniem zrezygnowano z przekrojowego wyboru wierszy.

Dobra to była decyzja, bo „Ararat” stanowi przemyślaną całość, spójną tematem, a zarazem ogarniającą wzajemnie się uzupełniające rejestry – od (powściągliwego) dramatyizmu czy nawet tragizmu po humor. Jaki to temat? Trzeba zacząć od tytułu, który kojarzy się z biblijną opowieścią o potopie. Można by przyjąć taką interpretację, jeśli śmierć potraktować

jako katastrofę, po której świat rodzi się na nowo. Bowiem Mount Ararat to nazwa cmentarza żydowskiego na Long Island, gdzie w 1985 r. pochowano ojca poetki Daniela i gdzie spoczywała już jej starsza siostra, zmarła w niemowlęctwie Susan.

Tom jest elegią na śmierć ojca, przede wszystkim jednak rysuje pole napięć, dobrych i złych uczuć, relacji i konfliktów pomiędzy najbliższymi, stanowi studium własnych i cudzych zranień. W rodzinnym teatrze występują rodzice, babka, owdowiała ciotka, która też straciła kiedyś córeczkę, wreszcie Tereze – młodsza siostra złączona z Louisą węzłem bliskości i rywalizacji („Jeżeli istnieją dwie rzeczy, / to jedna musi być lepsza, / żeby nie? Wiem teraz, / że obie tak myślałyśmy (...)

/ Byłyśmy jak dzień i noc, / jeden akt stworzenia. / Nie umiałam oddzielić / dwóch połówek, / jednego dziecka od drugiego”). Pojawiają się dzieci Louisy i Terezy, a w tle mający cień umarłej Susan, która nie zdążyła wypowiedzieć choćby słowa, ale czasem wydaje się najważniejsza. „Ararat”, dla autorki ćwiczenie w użyciu tonu kolokwialnego, jest – jak pisze tłumaczka – mocny i emocjonalnie gęsty, a rzadkie metafory wybrzmiewają tym wyraziściej. Na koniec polecam wspaniały wiersz „Wdowy”: upalne lato w domu na Long Island, matka i ciotka całe popołudnie grają w karty. To gra, „której babcia nauczyła wszystkie swoje córki”. Gra o życie? Cóż, „ostatecznie / kto nie ma nic, wygrywa”. ©Ⓟ

PAWEŁ

Bravo:

Zepsuta gra



W NIEDZIELĘ BYŁEM NA WEMBLEY, TAK FIZYCZNIE, serio, żadne tam siedzenie przed telewizorem – za oglądanie reklam Gazpromu czy TikToka powinni mi jeszcze dopłacać. Poszedłem za to na odwiedzić prostokątną przestrzeń pomiędzy koloniami

starego żoliborskiego WSM-u, która genialnym projektantom sprzed wojny jakoś się tak wymknęła, nie stanowi klocka w kompozycji, tworzy urbanistyczny odpad i od zarania dziejów tej dzielnicy służyła dzieciarni za klepisko-boisko.

Po sławetnych mistrzostwach zyskała londyńską nazwę i była ośrodkiem szczeniackiego życia szeroko pojętej dzielnicy. Wir mocnej, choć niekoniecznie pozytywnej energii (te awantury, wrzaski i bójki pomeczowe – prefiguracja dorosłej wrogości, agresji i wojen) musiał wsiąknąć w piaszczyste podłoże i mocno je naznaczyć, skoro jeszcze na studiach zdarzało mi się wieczorem siadać z kolegami i piwem na jednej ze złuszczonej ławek.

W poświęcie przedburzowego niedzielnego wieczoru ukazała mi się bujna kwietna łąka, rzecz obecnie w kręgach mieszczańskich modna, pastwisko dla trzmieli i zuczków – wyrosłe mimowolnie, po prostu nikt tej ziemi nie depta i nie rzuca w nią przekleństw ani kapsli. Dziura demograficzna służy owadom, to pewne. Z miasta wyparowały dzieci albo się przestały rodzić, a jeśli już jakieś są, to siedzą przywiązane niewidzialną nicią uzależnień oraz lęków rodzicielskich do ekranów.

Wracalem w to miejsce z półświadomą intencją dotknięcia poobijanej na kolanach niewinności. Wspomnienia są z natury przebarwione na różowo, ale pewnie to, co się kiedyś działo na klepisku, miało w sobie rys naturalnej chłopackiej rywalizacji i samodoskonalenia, uporczywego głodu sukcesów, złości i radości posplatanych w jeden nieporządną warkocz. Jakich trzeba mentalnych szpagatów, żeby wiązać tamte podwórkowe gole z haniebnym spektaklem chciwości, która wodzi za nos miliony naiwnych, sprzedawanych jak najgłupsze bydlę reklamodawcom? Bo to dla nich i pod ich potrzeby turla się tzw. wielka piłka, ta mistrzowska, opiewana heroicznie i lirycznie, naukowiona, jakby tu chodziło o jakieś galilejskie tory gwiazd, podczas gdy jedyne wykresy i diagramy, jakie się tu liczą, to mediaplany, zasięgi dla sponsorów i struktury zależności właścicielskich.

Z tego wszystkiego najmniej obraża moralność skala tego, ile dostają ci współcześni gladiatorzy. W końcu faktycznie trochę się muszą namęczyć, a do ich kieszeni i tak wpadają okruszki w porównaniu z tym, co zostaje do podziału

dla prawdziwych właścicieli tego *Circus maximus*. Pandemia na chwilę zapiaszczyła tryby, ale towarzystwo szybko wróciło do *business as usual* i obawy przed szybkostrzelnym wariantem Delta nie mogły zatrzymać interesów. Całe dyskusje o tym, czy piłkarze powinni klękać, czy UEFA może zakazywać tęczyowych dekoracji lub hasła „chwała bohaterom”, odwracały tylko uwagę od podstawowego faktu, że impreza w tym kształcie i w tylu miejscach naraz nie powinna się była odbyć.

Nie muszę rozumieć czy odczuwać tej siły, która przyciąga ludzi gotowych fascynować się tak bardzo zepsutą grą – przyjmuję do wiadomości, że coś takiego działa. Ale z bliskiego mi kuchennego świata czerpię nauczki, jak dobrze jest rozszczelnić po troszeczkę hipokryzję, w którą przyodziewamy nasze nie bardzo moralne pasje. Każdy miłośnik mięsa i serów dostaje coraz treściwszą porcję wiedzy, jak wygląda od drugiej strony przemysł mięsny i mleczny. Musi konfrontować się z przykrą prawdą i jeść z coraz to cięższym sumieniem. Przez jakiś czas można godzić w sobie chętkę na foie gras z obrazem siłowo dokarmianej gęsi („ależ poza tym to ona ma tu cudowne życie na wybiegu” – zapewniał mnie kiedyś hodowca), człowiek nie jest konsekwentny, ale myślę, że powstały w ten sposób dysonans stopniowo da się zredukować z korzyścią jednak dla gęsi. Ograniczając spożycie, premiując zakupami pośrednie i kompromisowe formy zaspokojenia apetytów z mniejszą nieco krzywdą i szkodą...

Taka delikatna pedagogika wstydu, jak wierzę, odnosi już dziś w kuchennej codzienności skutki. Jeśli dobrze rozpoznamy granice i sztuczki samooszukiwania się w złej sprawie, możemy zacząć się zachowywać odrobinę mniej obłudnie. Jestem na dobrej drodze, żeby za parę lat praktycznie zrezygnować z mięsa. A wy może spróbujcie za rok, kiedy prezydenci Putin i Xi zafundują wam kolejne kopane mistrzostwa, zostawić telewizor w spokoju. ©P

Jednym ze sposobów na twórcze wzbogacenie różnych mięsnych przepisów jest wykorzystanie niektórych sałat, tych gruboliściastych, obrobionych oczywiście termicznie. Dają wtedy odczucia podobne do połykania gładkich „mięsistych” paseczków, a lekko gorzkawy smak dobrze pogłębia prząsne odczucia wielu warzywnych dań. Do tego rodzaju sztuczek nadaje się dobrze sałata rzymska w małych główkach (a także niektóre cykorie i oczywiście radicchio). Zrobiłem niedawno dla znajomych wegetarian takie zabawne zielonkawce risotto: szklimy na oliwie drobno posiekaną **cebule**, dodajemy pokrojoną w kosteczkę **lodygę selera naciowego** i **małą marchewkę** (jako kontrpunkt barwny), dusimy parę minut, dodajemy **małą główkę sałaty rzymskiej** pokrojonej na paseczki i opcjonalnie **parę liści jarmuzu**, dusimy dalej, aż trochę zwiejdnie. Z tak przygotowaną bazą postępujemy jak zwykle z risotto, czyli prażymy w niej **320 g ryżu**, podlewamy lekkim wywarem warzywnym i tak dalej. Już pod sam koniec, dla urody, dodajemy **paski świeżej sałaty**, a jeśli przy stole nie ma wegan, to wkręcamy **2 łyżki masła** i posypujemy **parmezanem** (ale skąpo, żeby jego umami nie przykryło nam warzywną kompozycję).



PRZYJACIELE Z BOISKA

Euro 2020 zakończyło się
zwycięstwem drużyny najlepszej.
Takie rzeczy, wbrew pozorom,
nie zdarzają się często,
ale futbol właśnie
okazał się sprawiedliwy.

MICHAŁ OKOŃSKI

SĄ TAKIE MECZE, KTÓRYCH KOŃCA SOBIE NIE ŻYCZYSZ NIE tylko dlatego, że są niezwykle piękne czy szczególnie dramatyczne. Nie chcesz, żeby się kończyły nie tylko dlatego, że kiedy sędzia gwizdnie po raz ostatni, będzie to oznaczało domknięcie trwającego ponad miesiąc święta – satysfakcjonującego jakością piłkarskiej rozrywki, ale też porównującego rzadkim w tym świecie ludzkim wymiarem. Marzysz, żeby trwały w nieskończoność, bo jeśli o tym, kto lepszy, będą musiały rozstrzygać rzuty karne, wiesz, jaką cenę zapłacą ci, którzy je spudłują.

I zwyczajnie nie chcesz sobie tego wyobrażać.

Początek o angielskim cierpieniu

Ten widok był rozdzierający: trzech młodych Anglików z twarzami ukrytymi w dłoniach. Ze łzami w oczach. Samotnych nawet w objęciach daremnie próbujących ich pocieszyć kolegów. To ich rzuty karne obronił przed chwilą Gianluigi Donnarumma. Dwóch z nich weszło na boisko w ostatnich sekundach dogrywki – właśnie po to, by przydać się drużynie w decydującym momencie – i w starciu z wybranym później najlepszym piłkarzem turnieju bramkarzem Włoch nie dało rady. Byli naprawdę bardzo młodzi – trudno nie myśleć i o tym, że część ich starszych kolegów obawiała się wziąć odpowiedzialność.

Każdy z nich, tak się złożyło, był czarnoskóry – i każdy po włączeniu smartfona w szatni musiał się liczyć z falą rasistowskiego hejtu. Każdy, podobnie jak wielu kolegów z dru-



NICK POTTIS / PA / EAST NEWS

żyny, przeszedł długą i bynajmniej nieusłaną różami drogę, by reprezentować swój kraj w finale wielkiej imprezy. Najbardziej znany z całej trójki, Marcus Rashford, w dzieciństwie korzystał z darmowych programów dożywiania, a po latach doprowadził do tego, że rząd wycofał się z pomysłu ich zawieszenia – naprawdę powinien zostać zapamiętany jako ktoś, kto dał tysiącom młodszych od siebie rodaków nadzieję na lepsze jutro, a nie człowiek, który nie strzelił karnego w jakimś meczu.

O tym aspekcie sprawy trzeba pisać na początku tekstu zamykającego najpiękniejsze Euro w historii – hejt był, niestety, jednym z tematów minionego miesiąca. Owszem, reprezentacja Anglii, z jej selekcjonerem Garethem Southgate'em na czele, opowiadała rodakom historię ich kraju na nowo, pokazując, że szacunek do tradycji (by zacytować samego trenera) musi iść w parze z rozwojem i konieczno-



Radość włoskiej drużyny po obronie ostatniego rzutu karnego w meczu finałowym Euro 2020 Włochy–Anglia, Londyn, 11 lipca 2021 r.

ścią dokonywania nieustannego wglądu w siebie. Owszem, obrońca Kyle Walker pisał przed finałem, że niezależnie od tego, jak ów mecz się skończy, futbol już wrócił do domu, bo Anglicy różnych pokoleń, ras czy religii zjednoczyli się we wspólnym kibicowaniu. Owszem, im lepiej szło tej drużynie, tym słabsze było buczenie, którym fani z Wysp przyjmowali zawodników klękających w geście sprzeciwu wobec przejawów dyskryminacji (i tym głupiej wyglądały deklaracje premiera Borisa Johnsona, że rozumie owo buczenie).

Tematem każdej ważniejszej publicznej wypowiedzi Southgate'a było społeczeństwo chętnie przyjmujące przybyszów i dające szansę każdemu. Jego drużyna pokazywała światu twarz Anglii młodej i skromnej, świadomej, skąd przychodzi, i niepozwalającej na to, by owo pochodzenie determinowało ją negatywnie: ojciec Raheema Sterlinga został zastrzelony, kiedy chłopak miał dwa lata, niedługo później

przyszły reprezentant Anglii pomagał matce czyścić toalety w hotelu, w którym pracowała jako sprzątaczką; ojciec Kalvina Philipsa dzwonił podczas turnieju do syna w więzienia, w którym odsiadywał kolejny wyrok za bójki i handel narkotykami. O tym, skąd przyszli ci, którzy zagraли w finale Euro, wiele mówiła szeroko rozchodząca się w trakcie turnieju grafika pokazująca nazwy pierwszych drużyn, w których trenowali – niemal wyłącznie małych i prowincjonalnych, nie żadnych tam luksusowych akademii.

Rzecz w tym, że ów hejt w mediach społecznościowych towarzyszył reprezentantom Anglii już podczas meczów fazy grupowej – badania fundacji Hope not Hate pokazały, że każdy z zawodników kadry Southgate'a odbierał w trakcie jej trwania po kilkaset nienawistnych wiadomości; najwięcej spadało na samego selekcjonera. I nie było to, niestety, wyłącznie angielskie zjawisko; listy z pogrozkami dotyczącymi



→ jego i jego rodziny otrzymywał także napastnik reprezentacji Hiszpanii Álvaro Morata – zawodnik, którego gol w nieukładającym się pomyślnie dla Hiszpanów meczu z Chorwatami pozwolił później tej drużynie zejść aż do półfinału.

Teza o włoskiej jakości

Chciałoby się oczywiście pisać o czymś innym niż toksyczność naszego kibicowania (a może po prostu toksyczność naszego funkcjonowania w mediach społecznościowych?). Anglicy przegrali przecież nie tylko dlatego, że na ostatniej prostej zawiodły ich nerwy (nie pierwszy raz w historii – pudło samego Southgate'a z karnego podczas Euro 1996 jest jednym z tematów najważniejszej od lat angielskiej pieśni kibicowskiej, właśnie tej o futbolu wracającym do domu, a opisującej niespełnienie i rozczarowanie, nie żaden tam triumf). Przegrali dlatego, że po raz pierwszy w tym tak pragmatycznie rozgrywanym przez nich turnieju stracili kontrolę nie tylko nad piłką, ale także nad przestrzenią, w której ta piłka operowała. I że trafili na drużynę zwyczajnie w tych mistrzostwach najlepszą.

Włosi zachwycali przecież od pierwszego do ostatniego dnia Euro – i mówiąc o zachwycie, nie mam na myśli jedynie pasji, z jaką śpiewali swój hymn. Myślę głównie o tym, że przedstawiciele nacji, która nie zdołała zakwalifikować się na mundial w 2018 r., co nad Tybrem uznano za koniec świata, zaledwie trzy lata później grali piłkę o stopniu różnorodności i wyrafinowania nieosiągalnym w futbolu reprezentacyjnym, właściwą raczej klubom, w których zawodnicy spotykają się dzień w dzień, a nie raz na kilka miesięcy podczas coraz krótszych zgrupowań.

Dla mnie, od lat opisującego piłkę angielską, turniej okazał się czasem nawrócenia na futbol z Italii. Nie tracąc przyrodzonej solidności w defensywie, symbolizowanej przez turyńskich weteranów, Giorgio Chiellinię i Leonardo Bonucciego, Włosi imponowali przecież płynnością rozegrania w środku pola przez tercet Jorginho-Verratti-Barella czy atakami ze skrzydeł błyskotliwych Lorenzo Insigne i Federico Chiesa; kiedy nie szło, zawsze można było się jeszcze posiłkować dalekimi podaniami od obrony Bonucciego – i jego wejściami w pole karne podczas stałych fragmentów gry. Po jednym z takich wejść w finale Włosi zdobyli wyrównującą bramkę.

Żeby zagrać z Anglikami, Włosi musieli wcześniej poradzić sobie z Hiszpanami, a jeszcze wcześniej ograć wymienianych wśród faworytów turnieju Belgów – to w trakcie tamtego meczu przypomnieliśmy sobie, że potrafią nie tylko bajecznie wymieniać między sobą piłkę (nazwano to tiki-talią, czyniąc aluzję do tiki-taki, stylu gry Barcelony za najlepszych czasów Guardioli), ale także stosować sztuczki ze starej szkoły swojego futbolu: po kontuzji jednego z najlepszych w tej drużynie, Leonardo Spinazzoli, niezmordowanie szarżującego lewą stroną boiska, z 22 minut, które upłynęły do ostatniego gwizdka, grali zaledwie przez 9 minut, resztę zaoszczędzili w trakcie zmian, przerw na wznowienie gry po alocie czy wolnym i podczas opatrywania mniej lub bardziej urojonych kontuzji.

Kontuzja Spinazzoli urojona oczywiście nie była – piłkarz Romy zerwał ścięgno Achillesa, przeszedł operację i towarzyszył drużynie podczas finału, chodząc o kulach, ale nawet jego nieobecność na boisku w ostatnich meczach nie odebrała reprezentacji Włoch pewnej naprawdę unikalnej jakości. Zaraz powiem, na czym ona polegała.

Przypowieść o duńskiej emocji

Pierwszy wspomniał o tym założyciel magazynu „Kopalnia”, Piotr Żelazny. Siedzieliśmy w telewizyjnym studiu, długo po zejściu z anteny kontynuując rozmowę zaczęta na wizji: o tym, że będący później jednym z objawień turnieju Duńczycy sprawiają przede wszystkim wrażenie grupy przyjaciół. I że nie chodzi jedynie o ową dramatyczną akcję ratunkową po zawale Christiana Eriksena podczas ich pierwszego meczu, kiedy jedni rzucili się mu pomagać, inni podbiegli do rozpaczającej na trybunach żony, a potem utworzyli wokół niego krąg zapewniający intymność w chwili walki o życie, zasłaniający przed podglądactwem kamer i teleobiektywów.

W każdym kolejnym meczu z udziałem Danii, na każdej przedmeczowej konferencji z udziałem pełnego empatii trenera Kaspra Hjulmunda (kolejny, obok Southgate'a, wzór nowoczesnego przywództwa, w którym rolę decydującą odgrywa właśnie empatia) oglądaliśmy ludzi sobie bliskich, okazujących emocje, walczących do końca – jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. I zapewniających, że nawet bez tamtego traumatycznego i jednoczącego ich doświadczenia, pozostawali ekipą. Taką, w której każdy miał prawo być sobą: płakać rzewnymi łzami, jak Pierre-Emile Højbjerg po zwycięskim ćwierćfinale z Czechami, albo powiedzieć, że po prostu nie jest w stanie już dalej grać, jak postawiony wobec konieczności do-

kończenia przerwanej gry z Finlandią Simon Kjaer po emocjonalnym rollercoasterze związanym z zawalem przyjaciela.

Pamiętam, że do mojej rozmowy z Piotrem włączył się wówczas inny gość TVP Sport, były piłkarz reprezentacji USA, a obecnie komentator tamtejszych stacji telewizyjnych Janusz Michallik. Mówił, że wspólnota, którą udało się stworzyć Amerykanom podczas Pucharu Konfederacji w 1992 r., przetrwała długie lata – że do dziś, choć widują się rzadko, przyjaciele z boiska dzwonią do niego i reagują na każdy publiczny występ, nawet kiedy mignie im w mediach społecznościowych informacja, że oto właśnie skomentował w telewizji z dalekiego kraju występ Ukraińców w meczu z Holendrami. Mówił, że to są jego „*friends for life*”. I że nie zdajemy sobie sprawy, jaki procent sukcesu każdej drużyny stanowi nie tyle udana taktyka trenera albo błysk geniuszu którejś z gwiazd: wszystko jedno, szybkiego skrzydłowego, jak Chiesa, cierpliwego rozgrywającego, jak Jorginho, czy stanowiących zaporę nie do przejścia obrońców i bramkarza, jak Chiellini, Bonucci i Donnarumma, ile właśnie przyjaźń między piłkarzami.

To chyba wtedy (a turniej dopiero się zaczynał) postanowiłem patrzeć na Euro 2020 pod tym właśnie kątem. I Bóg

Kiedy patrzyliśmy
na Włochów, widzieliśmy
grupę ludzi nieustannie
komunikujących się,
żywo gestykułujących,
traktujących się z czułością.
**Wygrała drużyna
złożona z ludzi
naprawdę sobie bliskich.**

mi świadkiem, że się nie zawiodłem. Nawet kiedy zasięgałem języka wśród ludzi przyglądających się z bliska reprezentacji Polski, mówili, że relacje wewnątrz ekipy były tak dobre, jak nigdy w ostatnich dekadach: że przyjaźń trzech chłopaków z Poznania, Józwiaka, Puchacza i Modera, działała na innych zaraźliwie, że nigdy wcześniej Robert Lewandowski nie spędzał tyle czasu z młodymi, wchodzącymi dopiero do drużyny, i że nawet wracając po przegranym meczu ze Szwecją, na pokładzie samolotu podopieczni Paulo Sousy gadali o wspólnej przyszłości, zamiast jak to drzewiej bywało pozasłaniać się swoimi smartfonami.

Opowieść o włoskim pięknie

Nie było oczywiście na tym turnieju grupy większych przyjaciół niż Włosi. To, że Bonucci i Chiellini nawet pomocowych wywiadów udzielali wspólnie (ten pierwszy nieustannie czujny, jak ochroniarz polityka, czekający na jakiś strzał zza węgła, ten drugi przeciwnie – jowialny i rozluźniony), nie mogło umknąć uwadze mediów. Podobnie jak to, że w środku meczowej gorączki gratulowali sobie, poklepywali się i całowali w policzek niemal po każdej udanej interwencji. Wiadomość, że po zakończeniu turnieju pojedą wspólnie na wakacje, nikogo już nie zaskoczyła – tak samo jak to, że pierwszym, który odbierał od działaczy UEFA medal za wygraną w mistrzostwach, był nie kapitan drużyny, a kontuzjowany Spinazzola, któremu po ostatnich meczach śpiewali pieśni w samolocie i którego koszulkę wnosili na boisko. Kiedy w ciągu minionego miesiąca patrzyliśmy na Włochów, widzieliśmy grupę ludzi nieustannie się komunikujących, żywo gestykułujących, traktujących się z czułością – słowem, ludzie naprawdę sobie bliskich.

To też, jak w przypadku Anglików, była opowieść o jednoczącym się na nowo kraju. Nic dziwnego, że im dłużej trwał turniej, tym więcej dostawaliśmy z Włoch relacji o świętowaniu na ulicach przed, w trakcie i na długo po zakończeniu meczów. O obliczu tej drużyny nie stanowili gracze superklubów z północy czy z Rzymu; wielu wzrastało na południu, wielu przeszło przez małe kluby Sassuolo czy Atalantę, również niepozorną z perspektywy takich futbolowych korporacji, jak Milan, Inter czy Juventus. A sztab trenerski, w którym oprócz selekcjonera Roberto Manciniego uwagę zwracał towarzysz jego boiskowych przygód z dawnych lat, Gianluca Vialli, miał korzenie genueskie.

Wiele było na tym turnieju historii poruszających serce kibica, ale ta o Viallim i jego wielomiesięcznej walce z nowotworem, o przejściu przez wyniszczającą radio- i chemioterapię, o powrocie do ekipy – o uścisku, w którym zamknął Manciniego po drugiej bramce w meczu z Austrią, należała do najlepszych. To Chielliniego, z jego wielokrotnie łamanym nosem, z jego odyseję po tylu włoskich boiskach i z jego... dyplomem z ekonomii, portretowano jako faceta po przejściach, ale jak tu zrównywać drogę, którą przeszedł ulubiony dziś obrońca całego kontynentu (to, jak żartami i nieustannym właściwie fizycznym kontaktem – „zawsze dotykam rywali, bo wiem, że w 90 proc. przypadków ich to wkurza”, powiedział kiedyś – zdominował Hiszpana Jordiego Albę podczas losowania stron przed rzutami karnymi na zakończenie półfinału, również pozostanie jedną z najbardziej charakterystycznych scen tego turnieju) z doświadczeniem życiowym, jakie stało się udziałem Viallego?

Puenta o europejskiej jedności

Na ten aspekt sprawy powszechnie – i słusznie – psioczono. Turniej miał zbyt wielu gospodarzy, część meczów rozgrywano niemal bez udziału publiczności w Baku, konieczność wyprawy do Azerbejdżanu niewątpliwie rodziła pytania nie tylko o ślad węglowy. Wielkie wątpliwości budziło też bezpieczeństwo epidemiczne podczas meczów w Anglii, gdzie na Wembley wpuszczano po 60 tys. widzów.

Równocześnie powrót kibiców na stadiony był jednym z najważniejszych składników tego święta futbolu. Równie istotnym jak fakt, że grały drużyny narodowe – wbrew opowieściom o wielkich pieniądzach w klubowej piłce, mających rzekomo koncentrować zainteresowanie zawodników na rozgrywkach ligowych i europejskich pucharach, to właśnie wielki turniej z udziałem reprezentacji wyzwoili i w jego uczestnikach, i w kibicach tak wielkie emocje.

Wśród wielu zapamiętanych przeze mnie obrazków z ostatniego miesiąca był i ten nakręcony smartfonem przez okno na kijowskim blokowisku Trojeszczyna – oto grupa chłopaków szykujących się do gry na asfaltowym placu, śpiewa ukraiński hymn. Popularność filmiku spowodowała, że jego bohaterowie zostali zaproszeni do tamtejszej federacji piłkarskiej, gdzie obdarowano ich reprezentacyjnymi koszulkami. Byli tak mali, że koszulki sięgały im za kolana. Takich dziewczynek i chłopców, zakochujących się po raz pierwszy w piłce nożnej, było na całym kontynencie mnóstwo. To nie był tylko efekt niewiarygodnych meczów, jak rozegrane jednego wieczora spotkania Francuzów ze Szwajcarami i Chorwatów z Hiszpanami (14 goli, dogrywki, karne, nieustające zwroty akcji, kozły ofiarne, które zostają bohaterami – kto widział, ten wie), po których niejednego kibic z kraju postronnego domagał się, by na pamiątkę tej piłkarskiej fiesty ogłosić 28 czerwca międzynarodowym świętem futbolu. To był efekt tego, że grali „nasi”: że tym „naszym” zależało, a nam z nimi również.

Było więc w tym turnieju szczęśliwie coś znacznie większego niż hejt i horror rzutów karnych. Ktoś się zachwycił, że o sile Szwajcarii stanowiło 18 potomków migrantów. Ktoś się radował, że 36-letni Luka Modrić wciąż jeszcze nie ma dość. Ktoś się cieszył, że 17-letni Kacper Kozłowski chce jeszcze więcej. Ktoś, patrząc na szarżę Federico Chiesa, przypominał sobie jego ojca, Enrico. W tym świecie po prostu każdy miał swoją opowieść, którą chciał się dzielić.

Z Piotrem Żelaznym i Januszem Michallikiem spotkaliśmy się w telewizyjnym studiu parę razy – także o poranku w dniu finału. To była ostatnia audycja. Po jej zakończeniu gadaliśmy jeszcze, a wokół nas ekipa techniczna zwijała sprzęt potrzebny już przy produkcji innego programu. Nie minęło pół godziny, a z czegoś, co było pełne kamer, reflektorów i dekoracji, zostały betonowe ściany. Wydawało się, że poza nimi nie było już niczego: turnieju, naszego przy nim zaangażowania, kamerzystów, którzy to filmowali, pana od makijażu, dźwiękowca, widzów – a myśmy dalej rozmawiali. Futbol nie musiał wracać do domu, to myśmy byli jego domem.

© © MICHAŁ OKOŃSKI

Wszystkie teksty Michała Okońskiego o Euro dostępne pod adresem powszech.net/euro

STANISŁAW

Mancewicz: Zapachy



Z OCZYWISTYCH POWODÓW TRZEBA DZIŚ wziąć na tapetę tematykę w Polsce zupełnie szaloną, czyli ogólnie rzecz biorąc – higienę, ale też higienistów, czystość materialną i duchową, a przede wszystkim – oczyszczanie. Jest ono w Polsce tematem

dla jednych szalenie delikatnym, dla innych skrajnie wulgarnym. Oczyszczanie nie jest w ogóle tematem neutralnym.

Każdy świetnie wie, każdy, kto ma dziś więcej niż rodaczki i rodacy podlegający aktywności umysłowo-administracyjnej p. Czarnka, że czystość była tematem przez wiele lat w Polsce całkowicie teoretycznym. Jej brak był powodem rytualnych narzekań na ustrój i klasycznych, relaksacyjnych pogwarek towarzyskich, gdy rozmawiano sobie o walorach świata cywilizacji zachodniej. Kwestiami tymi zajmowały się, prócz towarzystw krzewiących higienę i kulturę osobistą, także arcywąskie, skupione w ośrodkach akademickich, środowiska socjologów, psychologów i humanistów. Wszelkiej maści higieną zajmowali się nieliczni dziennikarze, garstki działacze i społecznicy. Efekty były marne bądź żadne. Warto rodaczkom i rodakom podpadającym z racji wieku pod aktywność umysłowo-administracyjną p. Czarnka rzecz tyle, że nic, co kojarzyłoby się im z czystością, sprzątaniami, oczyszczaniem bądź higienizowaniem, nie miało wtedy miejsca. Polska jako rzekoma ostoja wszelkiej kultury była krajem szalenie brudnym. Toalety publiczne, w tym szkolne, były zmorą ludzi w potrzebie zarówno tej małej, jak i owej dużej, pociągi polskie wydierały zapach przemiany wszelkiej materii, wszelkie gumna w tutejszej zlewni były pułapkami na ludzi bez kaloszy czy raczej – bez woderów.

Ludzie jadący na Zachód za czasów tamtejszego ustroju, podejmujący posady sprzątaczy, zderzali się z poważnym

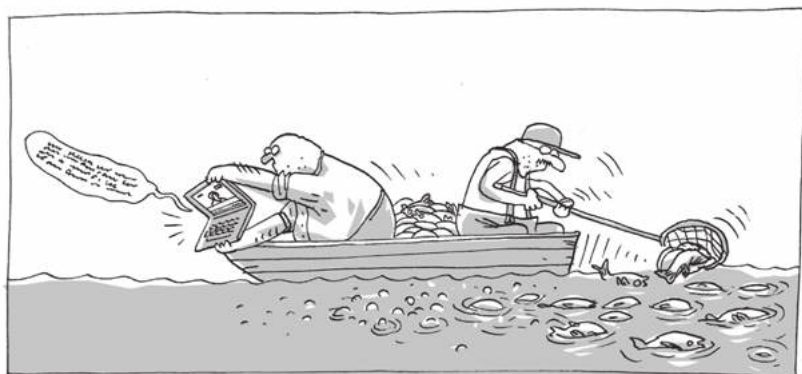
dla ich psychiki dysonansem znaczeniowym. Brutalna rzeczywistość tego, co było wedle ich mniemania wysprzątane, zderzała się czołowo z mniemaniem pracodawców. Były to rozdzierające dowody na rozerwanie więzów cywilizacyjnych, na rozpad pojmowania znaczeń, na całkowite rozwarstwienie wrażliwości estetycznej. Wymurowało to wszystko razem fundamenty pod ówczesne i przyszłe, i też dzisiejsze frustracje, urodziło też powszechne tu poczucie niższości, sublimujące agresywnie w poczucie wyższości wobec świata na zachód od Odry i Nysy Łużyckiej. Przełom roku 1989 – popatrmy – był także przełomem higienicznym, i to trzeba wyraźnie powiedzieć – przełomem w tej branży mentalnym, co ma znaczenie pierwszorzędne.

Można bowiem mieć pod ręką piramidę papieru toaletowego, jeziora płynów do mycia toalet, kosmiczne ilości tub past czyszczących cokolwiek, można mieć pociąg mydła, można mieć fabrykę proszku do prania, a żyć w brudzie i zagrzybieniu, pośród stworzeń gustujących w nieposprzątaniu, niewypraniu i w niewykąpaniu. Polska stała się jednak krajem czystym, miejscami nawet bardzo czystym, by nie rzec – za czystym. Są to wszystko prawdy dla wielu być może zbyt oczywiste, ale pamiętajmy i wbijmy sobie to do głów raz na zawsze, że w Polsce nie ma niczego oczywistego, począwszy od rozumienia prawa grawitacji, prawa karnego i administracyjnego, poprzez zasady termodynamiki, na pojmowaniu tego, co jest czyste i wysprzątane kończąc. Dlatego też, jak ten Syzyf, wciąż i wciąż, owe pozornie oczywiste prawdy w tym miejscu wygłaszamy i sumujemy.

Dzięki temu możemy gibko przejść do rzeczy, tzn. do sławnego ogłoszenia przez Gospodarza decyzji o przepłukiwaniu łona partii z nepotyzmu. O sprzątanii z wyjątkami. Pamiętać zawsze należy, że wyjątki świadczą o intencjach, ale też przydają się do czynienia krwistych portretów świadczących – na przykład – o ogólnej higienie portretowanego. Dziś bohater myje to, a jutro nie myje tamtego lub owego. Łatwo by było powiedzieć, że pojmowanie czystości przez Gospodarza jest z gruntu peerelowskie – wtedy też przemysłowano nie wszystko. Trudniej zaś każdemu pojąć, że mimo tych zabiegów zapach jest dziś – mówiąc najeleganciej – niepiękny.

© P

BARTOSZ MINKIEWICZ



OD PIERNEGO CZASU WŚRÓD KEUSOWNIKÓW POPULARNOŚĆ
ZYSKUJE METODA POŁOWU „NA TUP INFO”

weź, czytaj!

zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań dodajemy gratis „TP Historia. Wiślna 12”!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”, „Święto spotkania”, „Kryzys w Kościele” oraz „Moc mózgu”.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



S-Biznes internet symetryczny dla firm



s-net.pl

Symetryczne łącze internetowe z gwarancją parametrów



wysyłanie



odbieranie

Korzyści dla Twojej firmy niezależnie od pakietu



SLA 99,9%
bezpieczeństwo sieci



Wirtualna centrala
do 25 stanowisk



Hosting w chmurze
Biznes Premium



Techniczne
wsparcie IT

S-Biznes
1000Mbps



S-Biznes
500Mbps



Sprawdź na s-net.pl